SZCZURZE HARCE

BARTOSZ MATKOWSKI

ŚWIT NOWYCH MITÓW
Każda epoka rodzi swoje legendy. Gdy z powodu głodu, nędzy, na ostrzach bagnetów i powszechnego cierpienia upada stary porządek, człowiek dla przetrwania jest gotowy zwrócić się ku nieznanemu. W duchu epoki poszukuje fundamentów swojego jestestwa. Po upadających symbolach, cywilizacyjnych potęgach i kolosach na glinianych nogach, przychodzą kolejne. Dotąd zupełnie irracjonalne wizje i echa przeszłości nabierają nowego znaczenia. Tak wschodzą nowe mity, wyrosłe z esencji tragicznych zdarzeń i ducha ludzi, maszerujących poprzez ruiny.
ŻARY
2022

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I
ROZDZIAŁ II
ROZDZIAŁ III
ROZDZIAŁ IV
ROZDZIAŁ V
ROZDZIAŁ VI
ROZDZIAŁ VII
ROZDZIAŁ VIII
ROZDZIAŁ IX
ROZDZIAŁ X
ROZDZIAŁ XI
ROZDZIAŁ XII
ROZDZIAŁ XIII
ROZDZIAŁ XIV
ROZDZIAŁ XV
ROZDZIAŁ XVI
ROZDZIAŁ XVII
EPILOG

ROZDZIAŁ I

Marzec 1916 r.

Drogi ojcze!

Jestem cały i zdrów. To już kolejny miesiąc walk o Verdun, odkąd do bitwy poprowadził nas książę Wilhelm. Po zimowej zmarzlinie nie pozostał nawet ślad, a dzieląca nas od francuskich pozycji ziemia niczyja zaczęła przypominać jedną wielką breję kolczastego drutu, błota i ciał. Nieustannie tonie w niej cesarski żołnierz. Posuwamy się naprzód, mimo że opór wroga stale przybiera na sile. Podobno zajęliśmy już wzgórza na drugim brzegu Mozy, choć równie dobrze front na tamtych pozycjach może tkwić w miejscu. Komunikacja jest utrudniona i wszystko traktuje się jak plotki, których nikt nie potwierdza, ale też nikt nie zaprzecza.

Panuje chaos, nieopisany chaos, który gnieździ się nad naszymi głowami, toczy się jak maszyna śmierci, a co najgorsze, dopada nas samych. Artyleria daje z siebie wszystko i każde uderzenie poprzedzamy tak potężną nawałą, że poprzednie lata wojny wydają się być wspomnieniem rzędu spaceru wokół bajora otaczającego nasz dom. Francuzi co prawda odpowiadają zaciekle, ale inicjatywa stale jest po naszej stronie, zresztą podobnie uważa porucznik.

Racje żywnościowe nie są znowu tak złe, jak wszyscy wokół mówią. Najgorsze jest to błoto, jakby grunt pragnął wciągnąć nas w swoje odmęty w zemście za obrócenie krajobrazu w piekło. Szykujemy się do natarcia. Pomimo zmęczenia nasze morale ma się dobrze, a major Matthias wygląda na podekscytowanego, co przekłada się na zapał

wielu moich kolegów. Stale powtarza – wytrzymajcie! Jesteście oddziałami szturmowymi! Do Verdun niedaleko! Za Kaisera, Boga i Ojczyznę!

Chciałem wpisać tu nazwę pozycji, do której mamy się przedrzeć, ale podano ją tak szybko, że trudno przypomnieć mi sobie choćby pierwszą literę. Dla kolegów chyba przestało mieć znaczenie, o jaki las, wzgórze czy fort przyjdzie walczyć i ginąć. Jesteśmy na prawym brzegu Mozy i tylko jednego jestem pewien – francuskiego nie uda mi się nauczyć.

Chodzą słuchy o przepustkach, więc mam nadzieję, że gdy skończy się to piekło, uda mi się wrócić do domu. Obraz bawarskich pól, wschodzącego zboża, naszego miejsca na świecie. Dębów starszych od Kaisera, a zwłaszcza widok Was, moich rodziców, utrzymuje mnie przy zmysłach. Martwię się o plony, o Twoje zdrowie, ale wierzę, że Bóg pozwoli mi opuścić okopy na czas.

Ingo

***

Szorstka dłoń opadła na jego ramię, wybudzając z transu, w którym utonął podczas pisania listów do chorego ojca. Te samotne chwile zagłuszały to, co słychać było za plecami pierwszej linii frontu. Niemiecka armia toczyła się po Starym Kontynencie od dwóch lat jak nieprzejednany walec, miażdżacy wszystko na swojej drodze.

Odkąd wyruszył z karabinem w podróż przez Belgię, a potem Francję, Ingo był rozdarty pomiędzy wojennymi zmaganiami a rodzinnym domem. W tym drugim, gdzieś na malowniczej, bawarskiej wsi, czekały na niego żyzne pola uprawne, surowa matka

i ukochany ojciec. W 1914 roku staruszek podupadł na zdrowiu, a w przeciągu ostatnich dwóch lat jego stan znacznie się pogorszył. Ale nawet mimo tego chudawy, piegowaty syn nie wyzbył się swojego pogodnego usposobienia.

Siedział przy ścianie płytkiego okopu, który naprędce przekopano i wydłużono na bazie kolein powstałych po francuskim ostrzale artyleryjskim. Chłód i wilgoć ziemi przebijały się przez mundur i choćby całe wieki spędził na froncie, wciąż nie mógł się do tego przyzwyczaić. Ingo przeniósł spojrzenie jeszcze nieobecnych, zielonych oczu, najpierw na dużą dłoń, a następnie na żołnierza, który go zaczepił. Po lewej kucał przy nim Reinhard. Był to starszy Prusak o przypalonym, czarnym wąsie i brązowej czuprynie, skrywaną pod pikielhaubą – starym, niemieckim hełmie. Choć armia wyposażyła już oddział w nowe i bardziej użyteczne stahlhelmy, tak Reinhard za nic w świecie nie chciał rozstawać się ze swoim poprzednim. Naturalnie oficer mógłby go do tego zmusić, ale przymykał oko na tę zachciankę, jako że i tak wojennego horroru było wszystkim pod dostatkiem.

Reinhard zaliczał się do tradycjonalistów, ponieważ pochodził z wiekowej rodziny o długich, wojskowych korzeniach. Doceniał zalety stahlhelmu, widział w nim jednak jedynie kawał żelastwa, któremu brakowało hardej, pruskiej duszy z czasów Otto von Bismarcka.

– Ingo, rusz się, zaraz uderzamy! – Potrząsnął ramieniem blondyna, jakby chciał go zbudzić ze snu. – Diabły by cię wzięły, porucznik już czeka!

– Idę, idę – odparł niemrawo Ingo. – Francuzi przecież nie uciekną –

Spróbował się podnieść. Reinhard jednak docisnął jego ramię, nie pozwalając mu wystawić głowy ponad okop.

– Naucz się wreszcie, durny Bawarczyku, że nie wychyla się łba z okopów!

– Pamiętam, Wujaszku.

Zwykł zwracać się w ten sposób do starszego Prusaka. Wszyscy w oddziale tak go nazywali.

List złożył i skrył w kieszeni munduru najgłębiej, jak tylko mógł. Twarz młodzieńca spoważniała, kiedy znów, jak przez ostatnie dwa lata, mieli ruszyć do ataku. Obaj zmęczeni, głodni i przemoczeni. O ile wielu narzekało na stagnację wojny pozycyjnej oraz dosłownie gnicie w okopach, tak zarówno Reinhard, jak i Ingo coraz mocniej odczuwali ciężar ciągłego natarcia, gdy rozpoczęła się wielka ofensywa na twierdze Verdun. Niewiele spali, a przy spontanicznych drzemkach w śnie przeszkadzał nieustający huk ostrzału artyleryjskiego. Każdą zdobytą pozycję trzeba było okupić krwią i dodatkowym ciężarem pracy – wiecznym umacnianiem uchwyconego terenu. Drążono w ziemi transzeje, stanowiące bazę do dalszego natarcia. Zaopatrzenie docierało po wielu trudnościach na drodze, a dostarczenie nawet najpotrzebniejszych artykułów, było nie lada wyzwaniem dla zajmujących się tym śmiałków.

Walki rozgorzały miesiąc wcześniej, 21 lutego 1916 roku. Książę koronny Wilhelm, syn Kaisera, za wszelką cenę starał się przełamać impas frontu zachodniego i doszczętnie wybić armię francuską jednym, decydującym ciosem. Zastój trwał cały poprzedni rok, po tym jak obie armie przeryły Francję okopami. |Następnie bezskutecznie starały się przełamać linię przeciwnika. Twierdza Verdun była słabo broniona, wyniesiono z niej większość dział

artyleryjskich, aby przenieść je na bardziej zapalne odcinki frontu. Stanowiła idealny cel na zmasowany atak i dawała duże szanse na skuteczne przerwanie impasu na korzyść Niemiec. Ale nawet pomimo tego i determinacji cesarskich żołnierzy, Francuzi bronili się dzielnie i nie zamierzali oddać ani kawałka ziemi.

***

Stali nisko, blisko siebie, na pozycjach wyjściowych. Baterie artylerii, bezwzględne ogary Kruppa, ustawione gdzieś za ich plecami, siały zniszczenie po drugiej stronie ziemi niczyjej, ciosając krajobraz żelazem i ogniem.

Był wczesny poranek, a szarzyzna trzymała w uścisku niebo. Nie opuszczała frontu od długiego czasu; jawiła się jako nieubłagany zwiastun tego, że najgorsze dopiero przyjdzie. Wiatr zamarł, jakby nie chciał w tym uczestniczyć. Podobnie jak słońce, niewychylające się zza horyzontu.

Przed twarzami wojskowych rozciągała się ziemia niczyja, dzieląca ich od francuskich pozycji obronnych. Na jej zniszczonej pociskami powierzchni sterczały nagie, połamane kikuty drzew. Głębokie, wyżłobione ostrzałem doły, tworzyły jeziora błotnistej mazi, gdzie pozastygali żołnierze obu ścierających się armii. Jak w groteskowym teatrze ciągłych wypadów, kontrataków, wzajemnego nękania i rozpoznania walką. Inne koleiny pozostawały świeże i puste; nieme, niezapełnione jeszcze groby, czekające na nieboszczyków, aby w całości i na zawsze ich pochłonąć.

Oddziały szturmowe, pierwsi na linii frontu maszyny wojennej Kaisera Wilhelma II Hohenzollerna, pod naczelnym dowództwem jego syna, księcia koronnego tego samego imienia. To była nowa

taktyka, polegająca na operowaniu małymi grupami żołnierzy w celu przejęcia pozycji przeciwnika. Doświadczenie pierwszych dwóch lat Wielkiej Wojny i specyfika frontu zachodniego, nauczyły niemiecką armię, że zmasowane ataki dużych oddziałów kończą się rzezią. Natomiast na niewielkich grupach trudniej skoncentrować ogień artylerii i karabinów maszynowych. Szturmowcy skwapliwie starali się to wykorzystać, przedzierając się do umocnień wroga, by je zająć i utrzymać. Było to cenna, lecz krwawo okupiona lekcja.

Część żołnierzy lękała się. Wśród nich znajdowali się dopiero przybyli na front. To był ten rodzaj strachu, który odbierał mowę, ściskał brzuch i gardło do takiego stopnia, że nie pozwalał wyartykułować choćby prostego słowa. Drżeli nerwowo lub wręcz przeciwnie, zastygali jak żywe posągi. Kończyny odmawiały im posłuszeństwa. Wiedzieli, że nie ma już odwrotu. Bardziej doświadczeni przestali się bać, po tym jak wojskowym butem przeszli przez Belgię w swej germańskiej furii. Potem wkroczyli do Francji, maszerując tysiące mil od domu, i widzieli cud nad Marną, swoistą apokalipsę. Na ich szare, nieogolone twarze stahlhelmy rzucały ponury cień, nadto objawiający się w ich oczach jako wspomnienie poprzednich lat. Cień ten odebrał im młodość, a krajobraz ziemi niczyjej stał się trwałym widokiem ich nowego domu – pola bitwy.

Dopalali tytoń, wzięli ostatni łyk wody, sprawdzali zamki swojej broni. Byli wyzuci z człowieczeństwa. Oni jednak chcieli iść na wojnę. Lud odpowiedział na wezwanie Kaisera, i choć z czasem część całkiem straciła wiarę w jej sens, wielu silnie trzymało się myśli, że uczestniczą w tym szalejącym koszmarze dla przyszłości Cesarstwa i narodu niemieckiego.

Atmosfera była napięta jak w ostatnim oddechu przed rzuceniem się w sztorm. Wszyscy milczeli, a ciszę przerywały jedynie kolejne pociski lecące w horyzont. Sierżanci nerwowo pocierali gwizdki, za pomocą których dawali sygnał do ataku. Ingo zgarniał, a następnie wypuszczał z dłoni piach krawędzi okopu. Zerknął na stojącego nieopodal Reinharda. Prusak był skupiony, obaj nie pierwszy raz patrzyli śmierci w oczy. W pewnej chwili blondyn kiwnął głową w lewo, próbując zwrócić uwagę Wujaszka na nadchodzące postacie.

Pierwszą z nich był major Matthias Weide, pruski arystokrata, pełniący na tym odcinku rolę głównodowodzącego. Wbrew obiegowej opinii o wyższych rangą oficerach, Matthias lubił wizytować pierwszą linię okopów, by ocenić stan żołnierzy i ich morale. Za to podobnie jak wielu innych nie miał najmniejszego problemu z szastaniem ludzkim życiem. Żołnierze darzyli go jednak pewną dozą sympatii, zwłaszcza że nie szczędził starań, aby dostarczyć szturmowcom kapki trunku i jakiejś porcji machorki. Za plecami nazywano go prześmiewczo Karłem z Szablą, z uwagi na niski wzrost.

Tuż obok majora szedł prawdziwy symbol batalionu. Żywa legenda, autorytetem stanowczo przerastała dowodzącego. Porucznik Wilhelm Strauss, który przy niskim Matthiasie wyglądał niczym olbrzym z wagnerowskiego dramatu. Potężną aparycję uzupełniał krótki, zadbany wąs, kontrastujący z przeciągłą blizną po walce wręcz. Porucznik pochodził z Saksonii i można było rzec, że armia stanowiła jego prawdziwą rodziną, a koszary dom. Wilhelm istotnie nie potrafił się odnaleźć w życiu poza wojskiem. Zaniedbywał osamotnioną żonę oraz trójkę dzieci, a wszelkie inne,

pozamundurowe zajęcia napawały go wstrętem. Jego miejscem na świecie zawsze pozostawało pole walki i choć był szanowanym w wyższych sferach oficerem, wolał towarzystwo prostych żołnierzy.

Matthias trzymał dłonie splecione za plecami. Spoglądał na szereg żołnierzy, gnieżdżących się przy krawędzi okopu. Przypominali mu jednocześnie baranki idące na rzeź i szykującą się do polowania wilczą watahę.

– Zdaje się, że ziemia niczyja nasiąknęła deszczem – zagadnął Matthias z wyczuwalną nutą ekscytacji, którą starał się ukryć pod kamienną maską. – To źle wróży. Nie możemy jednak odpuścić, rozkaz brzmi: przełamać francuski opór. Lękają się, poruczniku?

Zwycięstwo pod jego komendą mogłoby otworzyć mu dalszą drogę w karierze wojskowej, na co szczerze liczył. Zabiegał o rozpoczęcie szturmu najszybciej, jak to tylko możliwe.

– Niemiecki żołnierz niczego się nie lęka, panie majorze – odpowiedział Wilhelm, chwilowo unosząc zamyślone spojrzenie na teren przed okopem. – Dowództwo dywizji wie o opadach?

– Naturalnie, lecz nie chcą czekać ani dnia dłużej. Moglibyśmy stracić inicjatywę, więc należy kuć żelazo póki gorące.

I faktycznie, pomimo przeciągających się walk i licznych kontratakach ze strony francuskiej, a także wielu ofiarach po obu stronach, armia niemiecka nie traciła przewagi, co starano się wykorzystać po długim impasie wojny pozycyjnej.

– Ale o czym to ja…? A, tak. Pójdziesz ponownie z nimi, poruczniku? Oficerowi tej rangi to już nie przystoi, sztab czeka.

– Oficerowi być może nie, majorze, ale moje miejsce jest na froncie.

– Nie będę się z tym spierał. – Matthias zatrzymał się, unosząc dłoń ku skroni, do salutu, co uczynił również Wilhelm. – A więc za Kaisera, Boga i Ojczyznę. Chyba że wolisz coś z łaciny, poruczniku?

– Niech będzie.

– Morituri te salutant.

– A cóż to znaczy, majorze?

– My, mający umrzeć, pozdrawiamy cię.

Obaj poszli w swoją stronę. Major podążył na drugą linię okopów, aby mieć baczenie na sytuację. Mógł udać się dalej, nawet poza strefę walk, a jednak chciał widzieć triumf na własne oczy. Wilhelm natomiast naciągnął stahlhelm na swoje brązowe, starannie zaczesane włosy. Wyjąwszy pistolet, podszedł do krawędzi okopu, aby przyjrzeć się z pierwszej linii ziemi niczyjej.

– Poruczniku, co mówił major? – zagaił ciekawsko stojący nieopodal Ingo, odrywając się od ściany okopu.

– A bo ja wiem? – Wzruszył ramionami. – Że Francuzów mamy pozdrowić.

– Bagnetem, jak mniemam – mruknął Reinhard. – Szturmem i bagnetem.

– Szturmem i bagnetem – powtórzył Wilhelm.

Podobnie jak Ingo, oderwał wzrok od ziemi niczyjej, a następnie swoje ciało od ściany okopu. Blondyn zdjął karabin z ramienia i postawił przy wojskowym bucie, unosząc podbródek z pogodnym, dziarskim uśmiechem.

Krew wezbrała w żyłach oficera. Zapalał się w nim ten bitewny żar, który zawsze nakazywał przeć do przodu wbrew przeciwnościom i wszelkiemu lękowi. Stawiać czoła losowi, rzucić mu wyzwanie. Jeszcze raz poprowadzić swoich ludzi przez zdradliwą ziemię niczyją.

Czuł w tym powinność, święty obowiązek wobec ojczyzny oraz podwładnych.

– Ostrzał za chwilę ustanie, a my pozdrowimy wroga szturmem i bagnetem – zawołał Wilhelm.

Wojskowi zwrócili ku niemu wzrok. Przerażony bądź martwy, zdeterminowany lub płonący nietzscheańskim triumfem woli.

– Jesteśmy żołnierzami armii niemieckiej, szturmowcami Kaisera i przebyliśmy szmat drogi okupionej życiem najlepszych niemieckich ludzi. Naszym celem jest Fort Vaux, więc sięgnijmy przez ten krótki odcinek, jak wiele razy sięgaliśmy, i obróćmy wroga w miazgę, jaką ta wojna jeszcze nie widziała! Za Kaisera, Boga i Ojczyznę!

Mężczyźni zakrzyknęli gromko jak przed bitwą średniowiecznych wojsk, a Wilhelm prezentował się w ich oczach niczym swoisty bóg wojny, trzymający nad nimi pieczę i prowadzący do walki.

– Bagnety! – Padło hasło od sierżantów, gdy oderwali wzrok od wisiorkowych zegarków, nieubłaganie odmierzających czas do szturmu. Żołnierze na komendę założyli długie ostrza na lufy karabinów.

Artyleria ucichła, słońce zerkało zza horyzontu, jakby jedynie jednym okiem było w stanie oglądać rok 1916. Sierżanci podnieśli gwizdki do ust, a na ich dźwięk rozpoczęto natarcie.

***

Reinhard przebiegł przy złamanym wpół drzewie, przytrzymując wolną ręką pickelhaubę na pochylonej głowie. Stary, obłocony karabin zdążył zaciąć się już dwukrotnie podczas trwającego

szturmu. Wysoki, pęknięty pień zdołał uchronić Prusaka przed pędzącymi w powietrzu odłamkami. Mężczyzna jeszcze bardziej skulił głowę, gnając przez ziemię niczyją w gęstym błocie. Przeskoczył nad zwiniętymi w kłębek ciałami dwójki szturmowców. Szrapnele obróciły ich w stertę mięsa, skóry oraz kości. Widok nie przerażał Reinharda, dantejskie sceny widział już wielokrotnie i jedynie zrządzenie losu sprawiało, że nie skończył jak ci nieszczęśnicy.

Pędził, ile sił w nogach, a odgłosy terkotu karabinów maszynowych i eksplozji pocisków artyleryjskich przeszywały go na wskroś. Dźwięk dręczył przeciążony potwornym hałasem słuch i na stałe zastygał w sercu oraz umyśle. Ciągle bił się z jedna myślą – pocisk runie na niego w tej czy w następnej sekundzie? Po ciągnących się w nieskończoność czterdziestu metrach wreszcie trafił na koleinę, skąd nawoływał go Ingo. Prusak wskoczył do tymczasowego schronienia niczym przerażony zając i przywarł ciałem do leja, ściskając karabin oburącz.

– Jak daleko do ich okopów?! – wrzasnął na całe gardło, ledwie słysząc własny głos. – Ingo! Jak daleko do okopów?!

– Jeszcze z dwieście metrów, Wujaszku! – odkrzyknął blondyn, wychylając na moment głowę, aby rzucić okiem na teren przed nimi. – Widziałeś naszych?

– Co?! – Krzyk Ingo mieszał się Reinhardowi z niekończącą się pożogą ognia i żelastwa, spadającego z nieba. – Żadnego! Wszędzie trupy!

Kolejny szturmowiec wbiegł do leja za ich plecami, a pagony na jego ramionach świadczyły, że jest w stopniu sierżanta. Z jego bladej,

obłoconej twarzy wyzierało dzikie spojrzenie zaszczutego zwierzęcia. Utkwił je w dwójce mężczyzn.

– Przełamanie nieudane! – Z trudem artykułował słowa. – Wycofać się! Wycofać!

Grzmienie sierżanta nawoływało do odwrotu. Jednak gdy tylko oficer poderwał się, aby odszukać pozostałych ocalałych po trwającej apokalipsie, gnące w powietrzu szrapnele roztrzaskały mu szczękę i szyję. Głowa utrzymała się jedynie na cienkim pasie skóry. Ciało stoczyło się do leja, zastygając w kałuży na dnie. Ingo wrzasnął i odwrócił wzrok od tego widoku tak gwałtownie, jakby miał sam skręcić sobie kark. Wojna uczyniła Reinharda gruboskórnym, ale Ingo nie potrafił wyzbyć się swojej dobroduszności, stale tocząc bitwę jednocześnie z przeciwnikiem, jak i z własnym przerażeniem, rodzącym się przez wojenne okropności.

Fort Vaux okazał się być dobrze broniony nawet pomimo tego, że Francuzi wycofali spod Verdun większość sił, uznając ten odcinek frontu za drugorzędny jeszcze przed wybuchem bitwy. Mury warowni zostały uszkodzone po lutowym ostrzale artyleryjskim dział dużego kalibru. Twierdza posiadała niepełny garnizon, lecz stawiała zacięty opór kolejnym falom niemieckiego natarcia, które przełamało front jedynie w paru punktach, za to na wielu innych ponosząc porażkę okupioną licznymi ofiarami.

Słońce stało wyżej na horyzoncie, z trudem przebijając się przez dym, wiszący na ziemi niczyjej. Przywodził na myśl całun lub płachtę, mająca przykryć poległych w ich ostatniej drodze. Krzyki rannych cichły jeden po drugim. Życie za życiem uchodziło w eter, złożone na ołtarzu Cesarstwa Niemieckiego. Karabiny maszynowe nieustępliwie pruły zabójczymi pociskami, w swojej zajadłej obronie

chcąc zabrać każdego, kto odważyłby się zbliżyć do francuskich linii. Szturmowcy w nagłym natarciu nie zaszli daleko, nie osiągnęli nawet pierwszego rzędu okopów przeciwnika, a sama twierdza, gdzieś za szeregiem wzniesień wypalonych ogniem oraz gazem bojowym, jawiła się nacierającym jako betonowy omen ich zguby i porażki.

– Musimy się cofnąć! Mogą kontratakować! – wołał Reinhard.

Wyjrzał zza leja na krótką chwilę. Musiał szybko schować głowę, gdy nieopodal zawrzało przeszywane amunicją błoto.

Ingo milczał, z policzkiem dociśniętym do gleby tak mocno, że pozostawił na niej odcisk. Jego ciało drżało spazmatycznie. Zielone oczy to spoglądały w stronę trupa na dnie leja, to uciekały z powrotem ku zasnutemu niebu. Reinhard chwycił chude ramię i potrząsnął towarzyszem. Ten wydał jedynie trudny do określenia dźwięk żałości i zwymiotował. Prusak szarpnął jeszcze raz, zsuwając się niżej, aby podnieść Ingo do pozycji siedzącej.

– Wracamy, Ingo, rusz się! – mówił, klepiąc siny policzek blondyna. – Głowa przy ziemi!

Bawarczyk w odpowiedzi pokiwał nerwowo głową, zbierając się w sobie. Następnie obaj przeskoczyli na drugą stronę koleiny, ponownie przywierając do ziemi. Serce Reinharda dudniło, a adrenalina buzowała w żyłach. Mimo to jego twarzy nie opuszczał naturalny, ponury wyraz. Ingo trząsł się i pobladł jeszcze bardziej, jednak odzyskał początkowy wigor. Karabiny maszynowe odzywały się już rzadziej, ale wciąż przeszywały ziemię krótkimi seriami. Jeśli kontratak miał nadejść, to właśnie teraz.

– Na trzy! – wydusił z siebie Reinhard, łapiąc haust powietrza. – Raz!

Kule przemknęły nad ich głowami, oboje mocno zacisnęli dłonie na broni. Bagnety nerwowo orały glebę.

– Dwa!

Żołądek podchodził do gardła, oddech przyspieszał. Każdy jeden dźwięk, nawet jeśli były ich setki, zdawał się być o stokroć głośniejszy, jakby dybał nad nimi, zakradał się w cieniu niczym polująca bestia. Reinhard nie zdążył dać sygnału. Jeszcze nim padł, Ingo wyrwał się z wyczekiwania na "trzy" i wybiegł, gnając pochylony ku własnym liniom.

– Szlag by cię, Ingo!

Prusak wypadł z leja chwilę po towarzyszu, zasypując warstwą gliniastej ziemi leżące tam ciało. Usłyszeli za sobą terkot karabinu, choć nie byli w stanie go dostrzec, nie oglądali się za siebie. Biegli do własnych pozycji ile sił w nogach, już nie ze sztormem, a przeciw niemu. Grzęźli w błocie, podnosili jeden drugiego, gdy kolana uginały się pod nieprzyjaznym terenem. Przeskakiwali ponad dołami, omijali zwalone konary, porozrzucane szczątki kolegów; twarze powykręcane w bólu i szoku. Nie wiedzieli, czy kontratak faktycznie się rozpoczął, za to mieli pewność, że kolejna próba zdobycia Fortu Vaux została odparta z całą brutalnością Wielkiej Wojny.

Eksplozja gdzieś po prawej stronie dwójki ocalałych wyrwała ich z grząskiej ziemi. Ciała legły w koleinie znacznie większej od poprzedniej. Znali ją dobrze, ostatnio to w tym miejscu fortowe działa rozpoczynały wstrzeliwanie się w pozycje niemieckie. Ingo stracił hełm, a ramię krwawiło. Potrząsnął głową; dudniło mu w uszach, natomiast widok rozmywał się przy akompaniamencie katatonicznych huków. Leżał na plecach, z trudem łapiąc oddech.

Gdzieś obok siebie dostrzegł zbierającego się z brei Reinharda. Wrzeszczał najprawdopodobniej obrzydliwe przekleństwa.

Młodzieniec zamrugał. Robiło mu się ciemno przed oczami, a ostatnie, co ujrzał, to twarz porucznika Wilhelma i dwójkę innych szturmowców, wściekle oddających kolejne strzały ze swoich mauserów. W odwrocie, jakby przed wrotami piekieł.

ROZDZIAŁ II

Wilhelm Strauss przemierzał wolnym krokiem pierwszą linię okopów. Były głębokie i solidnie rozbudowane. Dorosły mężczyzna mógł kroczyć wśród nich wyprostowany, bez obawy o zbłąkany pocisk. Głowa porucznika została starannie owinięta bandażem. Podczas szturmu na Fort Vaux stahlhelm nie zdołał w pełni ochronić go przed świszczącymi w powietrzu odłamkami. Ból stale mu towarzyszył. Nie był jednak większy od bólu porażki. Batalion, z którym przyszło mu przemierzać ziemię niczyją, został zdziesiątkowany do tego stopnia, że nie mógł swoim stanem osobowym kontynuować walki. Francuzi skutecznie wybili szturmowców, nie pozwalając na powtórzenie ataku ani nawet skuteczną obronę własnych pozycji. Z tego powodu ocalałych wycofano na spokojniejszy odcinek frontu zachodniego, z dala od Verdun, aby mogli zaleczyć rany i uzupełnić mocno przetrzebione szeregi.

Idealnym punktem na rekonwalescencje oddziału okazało się niewielkie wgłębienie. W jego centrum mieściła się francuska wieś Craonne. Całkiem opustoszała, po tym jak w 1914 roku znalazła się na linii walk, a następnie w styczniu 1915 przejęła ją armia niemiecka. Okopy zostały wykopane u jej frontu. To pozwalało odsunąć miejscowość od głównej linii walk, aby w przypadku francuskiego ataku łatwiej utrzymać krwawo uchwyconą zdobycz w niemieckich rękach.

Porucznik odzwierciedlał stan, w jakim znajdował się oddział. Jego ponura twarz wyrażała mękę i zmęczenie pomimo tego, że Wilhelm starannie starał się to ukryć. Bitny, stalowy wzrok, który u podwładnych ożywiał ducha i zapalał do walki, teraz sprawiał wrażenie obojętnego. Zaniedbany mundur wyglądał jakby nie prano go od początku wojny. Żołnierze, widząc oficera, podnosili się ze swoich siedzisk i salutowali. Ten jednak nie odpowiadał, stawiając kolejne ociężałe kroki w wojskowych butach. Stahlhelm drżał przy nerwowym ruchu dłoni, jakby zaraz miał z niej wypaść. To był już piąty dzień po relokacji, a morale zdawało się upadać coraz bardziej, tonąc w mroku dawnej chwały i wigoru. Jedność kruszyła się mimo elitarnego wydźwięku, jaki zawsze towarzyszył oddziałom szturmowym. Zdarzały się pierwsze przypadki dezercji, jeszcze zanim żywi w pełni przenieśli się do nowej lokacji. Nawet ten oddech, który można było zaczerpnąć po trwającej pod Verdun apokalipsie, zdawał się na nic.

– Poruczniku? – Ingo podniósł się spod ściany okopu, dołączając do Wilhelma.

Młodzieniec jako ostatni promieniał jeszcze jakąś żywotnością. Prędko poprawiał stahlhelm na głowie, przytrzymując go obandażowaną ręką, gdy skocznymi susami doganiał oficera.

– Nie teraz, Ingo – odparł twardo Wilhelm, nie podnosząc nawet wzroku na chłopaka.

Jakieś fatum wisiało nad nimi niczym ponure niebo, jakby podczas tego ostatniego szturmu przeklął ich Najwyższy. Zanosiło się na deszcz.

– Wielu zginęło – stwierdził blondyn, nie odrywając oczu od cienia w oficerskich pagonach. – Rozumiem pański ból, poruczniku.

Wilhelm milczał, pogrążony we własnych myślach. Wydawało się, że w ogóle nie słyszał tego, co mówi towarzysz broni. Mijani żołnierze o szarych, zmarniałych twarzach salutowali, inni drzemali lub pisali listy. Byli zrozpaczeni stratą kolegów i porażką. Pozostawieni w obcym kraju, daleko od domu, wciąż jednak zachowywali godną, wyuczoną postawę.

– Armia jest…

– Armia niemiecka nigdy nie przegra! – warknął porucznik, piorunując spojrzeniem Ingo.

Rażony słowami żołnierz, przystanął jak na komendę. Zaraz jednak znów podążył krok w krok za Wilhelmem.

– Oczywiście, poruczniku, nigdy. – Tu pokiwał energicznie głową na potwierdzenie swoich słów, jednak kolejne nie brzmiały już tak pewnie. – Złożyliśmy ofiarę pod Verdun. Armia z pewnością powtórzyła atak i zdobyła ten przeklęty fort.

– Przysłali żółtodziobów. – Wilhelm mało zgrabnie zmienił temat, a jego głos na nowo stał się ciężki, wręcz chropowaty. – Idę ich obejrzeć.

– Pójdę z panem, poruczniku – odparł ciszej Ingo.

***

Deszcz lunął z chmur ciemniejącego nieba. Ledwie nastało południe, a front wyglądał, jakby szykował się do snu. Mieszanka tej sennej atmosfery z toczącym się po żołnierzach jak wirus bólem porażki tworzyła jeszcze bardziej ponury obraz zgryzoty. Krąg piekła inny od tego wokół Verdun. Może nawet straszniejszy, bo pełen marazmu. W opustoszałej wsi Craonne obraz ten był jeszcze lepiej widoczny. Milczące domostwa zostały uszkodzone wymianą ognia

artylerii, a większa część z nich całkiem obróciła się w ruinę. Sprawę dewastacji dokończyło wkraczające wojsko Cesarstwa, zabierając wszystko, co mogło się do czegokolwiek przydać. Nawet deski i cegły, przy których pomocy umocniono okopy i wiele jam, gdzie spali i urzędowali żołnierze. Niegdyś żyzne pola, które karmiły francuskich obywateli, stały się jednorodną płaszczyzną błota, wyrw, kolczastego drutu oraz połamanych drzew, które przed wojną otaczały miejscowość szerokim kręgiem.

Nieopodal ratusza stał szereg żołnierzy, przybyłych na front, aby tak jak ich poprzednicy, przelać krew za Cesarstwo i Kaisera. Było ich niewielu. Za mało, by uzupełnić braki, toteż przybywali partiami. Młodzi, ledwo pełnoletni, kwiat młodzieży, któremu przyjdzie stawić czoło nieubłagalnie pędzącej machinie śmierci. Czyste mundury bez najmniejszej skazy, równo ustawieni, jak przystało pruskiemu porządkowi, Sparcie wśród niemieckich krain. Wilhelm przechadzał się przed szeregiem, oglądając twarz każdego z młodzieńców. Ingo stał w pobliżu, dopalając tytoń.

– Jakie twoje imię? – zapytał niemrawo porucznik.

– Karl, panie poruczniku! – zakrzyknął młodzieniec, prostując się jak struna.

– Twoje? – Wzrok padł na żołnierza obok.

– Viktor, panie poruczniku! – rozległa się ponownie głośna odpowiedź.

– A ty? – Wilhelm przystanął, krzyżując dłonie za plecami.

– Sepp, panie poruczniku!

– Sepp? To nie imię – odparł, podchodząc bliżej szeregu, aby spojrzeć w twarz żółtodzioba. – Pytałem o twoje imię.

– Josef, panie poruczniku! – zakrzyknął jeszcze raz młodzieniec – Sepp, tak się mówi.

– Wiem, jak się mówi, szczurze. Ale jak pytam o imię, to pytam o imię, czy to jasne? – wycharczał porucznik i cofnął się o dwa kroki.

Nieopierzeni żołnierze spoglądali chwilę w stronę nieszczęsnego Seppa, który strzelił gafę przed przełożonym. Niektórzy z trudem powstrzymali się od śmiechu. Pierwszy dzień i już wpadka. Wszyscy jednak wzdrygnęli się na podniesiony głos oficera. Robił wrażenie samym tonem, a zimny wyraz twarzy z blizną potęgował poczucie respektu wobec kogoś, kto nieraz żywił się bitewnym amokiem.

– Witajcie na pokładzie tonącego okrętu, szczurki – mówił głośno, a deszcz dudnił o stahlhelmy z uporem. – Nazywam się porucznik Wilhelm Strauss i jestem tu szczurem naczelnym, a wy będziecie krzątać się po moich korytarzach wedle tego, jak wam przykażę. Nie jesteście jeszcze żołnierzami, odbyliście jedynie szkolenie. Aby zyskać takie miano, trzeba najeść się błota na ziemi niczyjej. Na razie więc jesteście tylko turystami i musicie zasłużyć sobie na szacunek w oczach kolegów. Mam nadzieję, że pobyt w moich okopach przypadnie wam do gustu.

Ingo uśmiechnął się pod nosem, deszcz całkiem zgasił tytoń w niedbałej zwijce. W 1914 roku został przywitany w podobny sposób. Stare, dobre czasy, gdy piekło wojny nie wypełniło jeszcze duszy i umysłu.

– Jako że głupcy – kontynuował Wilhelm – którzy nie umieją się nawet przedstawić, nie są mi tu potrzebni i najlepiej by było, gdyby zginęli jako pierwsi. Żartowniś Sepp nażre się błota jeszcze dziś i po zmierzchu pójdzie naprawić zasieki. A teraz marsz do okopów!

– Tak jest, panie poruczniku! – odpowiedział mu równy, żołnierski głos.

***

Sepp, tak jak wielu innych młodych mężczyzn, na wieść o przystąpieniu Cesarstwa Niemieckiego do wojny zareagował z entuzjazmem. W roku jej wybuchu był jednak jeszcze zbyt młody, aby wyruszyć w szeregach armii na front. Stale wspominał towarzyszące społeczeństwu wzniosłe emocje, gdy na placach miast i miasteczek odczytywano ten znamienny komunikat. Tłum jak jedno ciało rzucił się w sam wir apokalipsy niczym niepokonany heros. Josef dał się porwać tej zdeterminowanej woli mas. Nie łaknął krwi, z zasady stronił od przemocy, pragnął jednak ujrzeć triumf narodu niemieckiego i samemu przyłożyć rękę do jego osiągnięcia. Pochodził z drobnomieszczańskiej, niewyróżniającej się niczym rodziny, od pokoleń zajmującą się krawiectwem. Prowadzony przez nią zakład chwalono za sumienność i staranność. Sam Sepp jednak zawsze był typem wędrowca. Nie mógł odnaleźć swojego miejsca w szerokim świecie, a kontynuowanie rodzinnej tradycji nijak go nie interesowało. Wędrówka, poszukiwanie, wręcz tułaczka po rosnącym w potęgę Cesarstwie wreszcie zaprowadziła go do armii.

Był chuderlawy, za to dość wysoki, bo stanowczo ponad miarę. Miał niebieskie, wiecznie podkrążone oczy oraz szpakowaty nos, nieco krzywy, jakby po bójce lub wypadku. Prezentował się z iście pruską dokładnością: starannie ostrzyżony i ogolony, nie przypominając niczym doświadczonych frontowców, wyglądających raczej jak obraz nędzy niż porządku.

Siedział przy wylocie jamy wydrążonej w ziemi. Robiła za schronienie i nocleg dla sześciu towarzyszy broni, w pierwszej z trzech głównych linii okopów. Ziemisty sufit wzmocniono balami, deskami, a także siatką, aby był w stanie wytrzymać ostrzał artyleryjski. Sprawdzało się to z różnym rezultatem. Posłania były brudne, a samo pomieszczenie przesiąkło do granic potem, ziemią i wilgocią. Szczury i myszy harcowały, walcząc z żołnierzami o prawo do tej urągającej wszelkim standardom przestrzeni. Zupa w misce Seppa zdążyła już dawno wystygnąć, a mały zatarg z porucznikiem, odbił się na samopoczuciu.

– Masz ty tupet, by pierwszego dnia już podpaść przełożonemu – zaśmiał się Ingo, dosiadając się do nowego nabytku batalionu. – Sepp, prawda?

– Tak, proszę pana. – Pokiwał głową, szurając wolną ręką po swoim policzku, apetyt wnet go opuścił. – Tak wyszło, sam nie wiem czemu.

– Mów mi Ingo, nieszczęśniku.

Żołnierz podał dłoń Seppowi. Na prawo od nich, z ramionami skrzyżowanymi na klatce piersiowej, stał Reinhrd. Przyglądał się z kamienną twarzą schludnemu młodzieńcowi. Milczał, jak zawsze oszczędzając słowa.

– Miło poznać, Ingo. – Uniósł wzrok na ścianę okopu przed sobą, za którą zaczynała się ziemia niczyja. – Nieszczęście to dopiero nadejdzie.

– To ten? – wtrącił Reinhard.

Ingo kiwnął potwierdzająco głową.

– Masz więc szczęście w nieszczęściu, Sepp. – Ingo poklepał nowego po ramieniu, o mało co nie wytrącając miski z jego dłoni. –

Reinhard potowarzyszy ci na ziemi niczyjej, jako że takie naprawy dokonuje się w parze. Nie martw się na zapas, nauczysz się. Wujaszek wszystko ci pokaże.

Ta informacja odrobinę pokrzepiła Seppa. Towarzystwo doświadczonego żołnierza było stanowczo lepszą perspektywą niż samotne szamotanie się w zasiekach. Zjadł jeszcze dwie porządnie łychy zupy i odstawił metalową miskę na bok.

– Pan porucznik nazywa się Strauss, prawda? – zagaił Sepp, uśmiechając się mocniej.

– Tak, bo co? – Ingo uniósł wzrok, pocierając dłonie o siebie.

– Jak ten kompozytor, Strauss. – Spojrzał na szare niebo, zaraz znów opuszczając zapadnięte oczy na Ingo i Reinharda. – To rodzina?

– Kompozytor? Co ty pleciesz, Sepp? Porucznik kompozytorem, to ci dopiero. Chyba w jeziorze bagnetów – zaśmiał się blondyn, kręcąc głową.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego tak wkurwiasz Wilhelma – mruknął Reinhard, wzdychając ciężko.

Sepp odczuł lekką dezaprobatę wobec nieznajomości Richarda Straussa, mimo że ten dla ówczesnych Niemiec był odkryciem niewiele mniejszym od jego imiennika – Wagnera. Trudno jednak było się żołnierzom dziwić, gdy kolejny rok tkwili w oderwaniu od ojczyzny i jej kultury, zwłaszcza wyższej. Być może udałoby się znaleźć wyznawców filozofii Fryderyka Nietzschego, która zdobywała popularność jeszcze przed wojną, teraz jednak, w tej okopowej nędzy osaczonej zasiekami, nikt o triumfie woli i nadejściu nadczłowieka nie rozmyślał.

– Panowie mnie źle zrozumieli…

– Zdradzę ci coś, Sepp – oschłym pomrukiem przerwał tę próbę Reinhard. – Nie gadaj tyle. Nikogo tu kompozytorzy nie obchodzą. Wiesz, dlaczego cię przysłano?

– Trwa walka o Verdun, uzupełniacie…

– Właśnie. – Kiwnął głową z osadzoną na niej pikelhaubą, ponownie przerywając. – Cały tłum znawców muzyki, literatury, malarstwa i filozofii, a także całkiem prostych ludzi, został wykrwawiony pod Verdun, a ich ciała spoczywają pod tonami błota i stali, więc skończ.

Młodzieniec zamilkł i jedynie pokiwał głową. Jeśli wyraz twarzy mógł być jeszcze bardziej ponury, to zapewne stałby się taki właśnie w tej chwili. Surowość frontowców uderzyła w niego z całą siłą, ukryta pod postacią Reinharda, a nawet nie opuścił okopów.

– Do zobaczenia o zmierzchu – dodał złowieszczo Reinhard.

Spojrzał krótko na Ingo, a wzrok Prusaka mimo tonu głosu, był apatyczny. Kroki pokierowały go w dalszą drogę przez transzeję.

Ingo potarł skronie pod stahlhelmem, a Sepp wpatrywał się w udeptaną glebę okopu. Zapanowała cisza, przerywana jedynie przechodzącymi z rzadka żołnierzami oraz deszczem dudniącym złowieszczo o ziemię.

– Nie przejmuj się Wujaszkiem – odezwał się wreszcie blondyn. – Armia jest dla niego wszystkim. Ta wojna też.

– A dla ciebie, Ingo? – zapytał Sepp, przenosząc spojrzenie z ziemi na twarz rozmówcy.

– Prawie wszystkim.

***

Nad frontem nastał zmierzch, a widoczność spadła praktycznie do zera. Oboje walczący ze sobą rywale za wszelką cenę starały się zdusić jakikolwiek sygnał świetlny ze swoich pozycji. Nikt nie chciał zaświadczać o jakimkolwiek ruchu po swojej stronie. Palący tytoń żołnierze kryli się z tym na dnie głębokich okopów, aby wychylając się ponad poziom dziury, nie zostać potraktowanym, jako nieruchomy cel dla wroga. Dźwięk również zamarł, a milczenie frontu przerywał jedynie wiatr i kroki wojskowych patrolujących pierwszą linię. Wielu spało, a przynajmniej starało się spać. Wilgoć i wszechobecny swąd najbardziej przeszkadzały wyczulonym w ciszy zmysłom. Nic jednak nie mogło równać się ze wspomnieniami walk, które zadręczały szturmowców. O ile za dnia potrafili je chociaż częściowo zadusić codziennymi obowiązkami, o tyle nocą wszelkie obrazy odżywały ze zdwojoną siłą. Ktoś stale wiercił się w swoim posłaniu. Inny z kolei szlochał, ściskając karabin przy piersi. Wpatrywali się tępo w ciemność wokół własnych legowisk, a także metafizycznie znosili tę, która zagnieździła się w ich żyłach.

Reinhard stał przy drabinie opartej o ścianę okopu. Wchodzono po niej na przedpole ziemi niczyjej. Na nieogolonej twarzy utrzymywał się kamienny, apatyczny wyraz, ale jego umysł pozostawał skupiony. Mężczyzna przerzucił sobie przez ramię karabin i starą torbę z podstawowymi narzędziami. Miał zamiar użyć ich do naprawy zasieków. Sepp dołączył po krótkiej chwili z nadzieją, że choć trochę zyska w oczach starszych kolegów, jeśli sumiennie zabierze się za wykonanie zadania.

– Jestem – wyszeptał, stając na baczność przed Prusakiem.

– Widzę. – Reinhard ledwie widocznie pokiwał głową i chwycił drążek drewnianej drabiny. – Wyjdę pierwszy. Nie podnoś się, nie

hałasuj, a przede wszystkim nie oddalaj. Robimy, co mamy do zrobienia i wracamy.

Sepp odpowiedział skinięciem, a gdy Reinhard zaczął się wspinać, odczekał chwilę, aż kompan, czołgając się, zwolni dla niego miejsce. Następnie sam wdrapał się po szczeblach, krok za krokiem, przywierając płasko do błotnistej ziemi za butami Prusaka. Zrównał się z nim, pełznąc powoli w rozciągającej się przed oczami nocy. Wybór tej pory nie był przypadkowy. Snajperzy obu stron stale wyczekiwali, aż ktoś wysunie choćby kawałek głowy ponad linię ziemi, aby paść ofiarą jednego, celnego strzału. Niejednokrotnie wystarczyła chwila nieuwagi, zwłaszcza przy płytszej części okopów, nieroztropne wystawienie fragmentu ciała na widok wyczekujących po drugiej stronie frontu samotnych wilków, wpatrzonych w swoje lunety. Ciemność nocy zapewniała naturalną ochronę przed takim ryzykiem.

Ziemista breja rozmywała się w ich palcach. Centymetr po centymetrze parli jeden przy drugim w stronę zasieków. Sektor B, w którym się znajdowali, stale starano się zniszczyć, a jego obrońcy byli zmuszeni bez końca go naprawiać. Reinhard wydawał się spokojny, natomiast serce Seppa przyśpieszyło bicie w wyczuwalnym napięciu nocnej aury. Nawet księżyc prawie ich opuścił, pozostając w formie ledwie widocznego sierpa. Zatrzymali się dopiero u celu, rozglądając bacznie w ciemnościach. Drut kolczasty wiązał w dwóch, trzech lub czterech liniach dwa oddalone od siebie o parę metrów paliki. Takie proste konstrukcje ustawiano nieregularnie na całej długości okopów, aby utrudniać przeciwnikowi potencjalny szturm. Jedne były niskie, prawie tuż przy ziemi, inne z kolei wysokie,

sięgające ponad pas. Ciała martwych żołnierzy często znajdowano zaplątane w ten symboliczny konstrukt wojny pozycyjnej.

– Przecinasz i splątujesz, potem zaciskasz – szepnął Reinhard, chwytając po omacku wiszącą bezwładnie wiązkę drutu, aby zejść rękami niżej i znaleźć zniszczone fragmenty.

– Wiem, uczono nas tego – odparł Sepp, podobnie jak towarzysz, szperając przy zasiekach obok.

Dwójka żołnierzy zabrała się do pracy. Narzędzia odkładano blisko ciała lub od razu chowano do toreb, ponieważ trzymanie ich w zasięgu wzroku było niemożliwe. Sierp księżyca wisiał nad nimi jak zły omen, a każdy, nawet najdrobniejszy dźwięk, zwracał ich baczną uwagę. Część zasieków należało ustawić od podstaw, gdy znajdowali złamane paliki. Pozostałe zaś były wyłącznie na wpół uszkodzone. Kolczasty drut ranił dłonie, nadgarstki i przedramiona. Sepp przy jednej z prób zaplątał ramię, co spotkało się ze skarceniem ze strony Wujaszka, naturalnie bardziej ostrożnego i nawykłego do takich zajęć. Młodzieńcowi pot spływał po twarzy, mieszając się z wszechobecnym błotem. Błocko dostawało się nawet do ust, jeśli osadził głowę zbyt nisko. Dłonie jednak nie drżały, wyćwiczona w koszarach determinacja okazała się przy tym bardzo pomocna.

– Cisza – syknął nagle Reinhard i podniósł głowę odrobinę wyżej, zastygając w bezruchu jak nasłuchujący myśliwy. Jego wzrok przebiegał bacznie po terenie wokół. Sepp również znieruchomiał, spoglądając w stronę towarzysza.

– Co się stało? – zapytał szeptem, przysuwając się do Prusaka po omacku, aż nie odnalazł jego rękawa.

Starszy żołnierz milczał. Napięcie zdawało się gęstnieć jeszcze bardziej, dłoń nerwowo zacisnęła się na brei i zadrżała. Wtedy też

usłyszał dźwięk pękającego drutu kolczastego i zauważył przez sekundę cień, jedynie zarys czołgającej się postaci około 15 metrów od siebie.

– Francuzi – szepnął, chwytając na oślep ramię Seppa, do którego zaraz odwrócił głowę. – Przecinają zasieki. Chyba trzech.

Młodzieńcowi serce podeszło do gardła, a niebieskie ślepia otworzyły się szeroko, gdy próbował wypatrzeć francuskich żołnierzy. W ciemnościach niewiele dało się dostrzec i już był pewien, że Reinhardowi się przewidziało, gdy sam usłyszał kolejny odgłos przecinanego drutu. Oddech Seppa przyśpieszył. Wiedział, że tam są, chociaż poza zasięgiem wzroku. Panika ogarniała umysł, przywarł do błota jeszcze mocniej.

– Co teraz? – zapytał nerwowo, dalej nasłuchując kolejnych dźwięków.

– Zostań tu – odparł Reinhard po krótkiej chwili milczenia.

Puścił Seppa, wyrywając się również z uścisku jego drżącej dłoni. Zsunął z siebie torbę i przysunął ją ostrożnie bliżej towarzysza.

Prusak dobył bagnet i zaczął powoli czołgać się w stronę, skąd dobiegał dźwięk. Nie oddalił się nawet na pięć metrów, a Josef całkiem stracił z nim kontakt. Młodzieniec pozostał w bezruchu, nasłuchując i próbując cokolwiek dostrzec. Takie wypady przez ziemię niczyją zdarzały się co jakiś czas po obu stronach. Żołnierze przedzierali się pod osłoną nocy niczym skrytobójcze cienie, z jak najmniejszym ryzykiem wypatrzenia ze strony przeciwnika. Zakradali się do przedpola i niszczyli rzędy zasieków. W ten sposób wymuszali ich ciągłą, ryzykowną naprawę, bo podczas potencjalnego

szturmu ta osłona nie stanowiła żadnej przeszkody w przedarciu się do nieprzyjacielskiego okopu.

Pośród bezkresnej, zimnej nocy, każda sekunda ciągnęła się w nieskończoność. Odcinek za odcinkiem Reinhard zbliżał się do przeciwników. Niewielkie światło księżyca pozwoliło mu dostrzec zarys francuskiego, charakterystycznego hełmu adrian gdzieś u spodu zasieków. Kolejny dźwięk przecinanego drutu przeszył powietrze. Byli zbyt głośni, zapewne dopiero przybyli na front, podobnie jak czający się za plecami Sepp. Na dźwięk szeptów po francusku Reinhard przystanął, ściskając bagnet. Dostrzegł drugą postać, która klęczała nisko tuż nieopodal pierwszej. Zauważył nawet zarys podawanego między sobą przecinaka.

Prusak wziął głęboki oddech, który następnie starał się uspokoić. Otworzył i zamknął szorstką dłoń na rękojeści bagnetu, chcąc ją dobrze wyczuć. Nogi zdrętwiały mu od niewygodnej pozycji. Zbliżył się jeszcze trochę – na tyle, na ile mógł. W takich chwilach nie istnieje nic poza celem; ani świat, ani życie, nie ma śmierci, nawet bólu. Kolejny oddech, jakby miał być ostatnim. Powoli podniósł się na kolana, z głową nisko, nie wydając przy tym najmniejszego szmeru. Nagle susem, jak wprawny łowca, doskoczył do francuskiego żołnierza, wolną ręką chwytając go za twarz.

Bagnet, niczym jadowite żądło, osadził w jego plecach. Rył ostrzem głęboko, czując pod dłonią, jak rozrywa skórę i wnętrzności. Nieszczęśnik szarpnął się w agonalnym szoku. Serce Reinharda biło jak oszalałe, wzrok pozostał jednak zimny. Wyrwał broń z ciała, nim towarzysz przeciwnika dostrzegł nagłą zmianę w sytuacji. Żołnierz walczył tym, co miał pod ręką, i wściekle, w ostatniej chwili, niczym

zapędzone w róg zwierzę, zamachnął się przecinakiem, którego cios spadł na szczękę Prusaka, zamortyzowany jednak bagnetem.

Reinhard chwycił gniewnie za mundur i naparł na wroga tak, że oboje legli w błocie u stóp kolczastego drutu. Walka była cicha i choć toczyła się na śmierć i życie, przerwanie tego milczenia napawało obu największą zgrozą. Francuz próbował złapać rosłego mężczyznę za przedramię, gdzie trzymał ostrze, a następnie wyprowadzić kolejny cios przecinakiem, Reinhard jednak trzasnął go w twarz, łamiąc nos swoją wielką pięścią. Powtórzył uderzenie, potem jeszcze raz, jednocześnie blokując ramieniem zadawane kontruderzenia. Gdy uścisk rozluźnił się, poderwał bagnet, obracając go w dłoni, i opuścił, przebijając mostek szamoczącego się, otumanionego wroga. Doszedł go paniczny charkot łapanego powietrza; krwisty kaszel oblepił szyję i twarz Wujaszka, aż ciało pod nim zastygło w bezruchu.

Reinhard załapał ciężko oddech i rozejrzał się gwałtownie. Przedtem dostrzegł trzy postacie, u jego kolan natomiast martwe w błocie leżały dwie. Szalejące serce zwalniało. Już chciał powrócić do Seppa, gdy nagle spojrzenie padło na ostatniego z wrogich żołnierzy, który klęczał dalej od przedpola, przez co pozostał niezauważony w pierwszej chwili. Słabe światło księżyca oświetlało sylwetkę ubranego w granatowy uniform Francuza. Nie ruszał się. Broń trzymał wymierzoną nie w samego Reinharda, lecz w małe pole bitwy, w której Prusak przed chwilą brał udział.

W tym bezruchu postać zdawała się jednocześnie martwa i żywa. Jakby zamrożona w trakcie ruchu. Oczy zastygłe w przymrużeniu, usta zaciśnięte do oddechu, który żołnierz wstrzymał. Wpatrywali się w siebie na tej błotnistej ziemi, pośród mroku. Gdy Niemiec

przyjrzał się bliżej, dostrzegł liczne zarysy pomniejszych cieni, które figlowały po mundurze tam i z powrotem. Tworzyły iluzję ruchu ciała, mimo że faktycznie pozostawało statyczne. To były szczury; kilkadziesiąt gryzoni traktowało żołnierza jak pole do żeru. Wspinały się po bladej, zastygłej w topornym wyrazie twarzy, przystawały na hełmie. Wpełzały pod ubranie, w jego kieszenie i toboły.

Dźwięk wystrzału ukrócił ciszę. Omotany przez szczury Francuz legł w błocie, przeszyty kulą w klatce piersiowej. Hełm poszybował w powietrzu, upadając na ciało właściciela. Gryzonie w mgnieniu oka rozbiegły się w amoku we wszystkich kierunkach. Sepp klęczał na pozycji, w której go zostawiono, z wymierzoną w przeciwnika bronią. To wyrwało Reinharda z dziwnego, hipnotycznego transu nad tym niebywałym obrazem, którego nie umiał wyjaśnić, a umysłem uchwycić jego sens. Wytrzeszczył w przestrachu oczy i poderwał się na równe nogi, odwracając głowę w stronę kompana.

– Sepp, ty durniu! – wrzasnął na całe gardło. – Do okopu, biegiem!

Młodzieńca zaskoczyła reakcja Prusaka. Spodziewał się, że raczej otrzyma słowa podzięki za uratowanie życia. Tymczasem wedle jego rozkazu rzucił się biegiem przez przedpole do okopu, grzęznąc w zlanej deszczem ziemi i potykając się. Dopiero po chwili zrozumiał swój błąd. Nocne niebo rozświetliły błyski, pędzące po ciemnym sklepieniu jak ogniste bicze w apokaliptycznych wizjach średniowiecznych mędrców. Pociski rozrywały się w szale na ziemi niczyjej i okopowym przedpolu. Dudniły, zasiewały grozę w sercach oraz umysłach, wybudzały udręczonych, zmarniałych. Sepp i Reinhard wpadli na swoje pozycje, wtaczając się pomiędzy ziemiste ściany, aż nie skryli głów na ich dnie.

***

Ostrzał artyleryjski okazał się krótki i niecelny. Najmniejszy ruch w ciemnościach na ziemi niczyjej lub jej przedpolu odbierany był przez drugą stronę jako wypad grupy przeciwnika. Takie przedzieranie się po zmierzchu mogło mieć różne powody: zakradano się i rzucano wiązki granatów, niszczono zasieki, robiono zwiad, zabierano ciała poległych. Co jednak najważniejsze, pozbawiano przeciwnika możliwości snu, tego jedynego stanu, gdy żołnierz nie był na froncie, a daleko poza nim, w uścisku sennych marzeń, ponad okopami i drutem kolczastym. Nie szczędzono amunicji, każdy trup po stronie wroga to jeden żołnierz mniej w jego szeregach.

Sepp i Reinhard tkwili na dnie okopu, kryjąc głowy i uszy w ramionach przed potwornym hukiem oraz świszczącymi w powietrzu odłamkami. Żołnierze powybiegali ze swoich jam, usadawiając się na pozycjach, które wcześniej im przydzielono. Obsługa karabinów maszynowych szukała wroga w ciemnościach, inni przywarli do ziemistych ścian, wszyscy klęli w niebogłosy. Gdy krótki ostrzał ucichł, pojawiła się gorycz wywołana fałszywym alarmem. Jednocześnie jakieś ukłucie ulgi, że to nie próba nocnego ataku. Takowego zresztą nikt się nie spodziewał, bowiem nawigacja większymi grupami była niemożliwa w ciemnościach. Reagowano jednak na wszelkie prawdopodobieństwo ruchu ze strony wroga.

– Dlaczego strzelałeś do cholery? – warknął Reinhard, szturchając kompana. Łapał oddech, siadając z plecami ciasno dociśniętymi do ściany okopu. – Co ja ci mówiłem? Zostań na pozycji!

– Mierzył do ciebie, gdyby nie ja, to padłbyś trupem! – odkrzyknął Sepp w nerwach, z szeroko rozwartymi oczami. Był blady jak ściana.

– On nie mierzył, on… – urwał Prusak i spuścił na moment głowę.

– Tak? – ponaglił do wyjaśnienia i sam podniósł się, aby oprzeć plecy o ścianę.

– Mniejsza. Idź spać, Sepp – odparł Reinhard.

Nie umiał wyjaśnić towarzyszowi broni tego, co widział. Choć nieraz widywał na ziemi niczyjej sceny z najgorszych koszmarów, tak ten obraz był zagadkowy na tyle, że nie potrafił wytłumaczyć go nawet samemu sobie.

ROZDZIAŁ III

Ponury obraz postury Wilhelma rzucał cień od pnącego się ku górze słońca. Po ulewie zapowiadał się ciepły dzień, choć nikogo to nie cieszyło. Mijani przez oficera żołnierze już od pobudki musieli zmagać się z wszechobecnym błotem i spływającą małymi strumykami deszczówką. Jednak tym, co było najgorsze, był kolejny dzień frontowej rzeczywistości. Porucznik przemieścił się przez transzeje na drugą linię okopów, którą zazwyczaj używano do trzymania rezerwy. Ta w założeniu miała zmieniać się z pierwszym szeregiem, gdy ten zostanie wycieńczony walką, poniesie zbyt wiele ofiar lub minie czas, jaki ustalono dla przebywania na najbliższej linii frontu. Rezerwy jednak nie było, konwoje uzupełnień dopiero przysyłano.

Zdecydowano się więc umieścić na drugim rzędzie szturmowców najbardziej wyczerpanych walką pod Verdun. Tych, którzy pozapadali na choroby, potracili kontakt z rzeczywistością, o wiele mocniej niż reszta oddziału. Trafili tam również ranni, ale wyłącznie ci, którzy nie stracili zdolności do walki, a przynajmniej obrony pozycji, jeśli trzeba by było ją kimś wzmocnić. Mimo że drugą linię osłaniała pierwsza, warunki bytowania pozostawały tam równie naganne, co na samym czole, jeśli nie jeszcze gorsze. Wydrążone w ziemi jamy, gdzie przebudzali się ludzie—cienie, powszechna wilgoć, utrapienie oraz odór. Żołnierzom było tym trudniej, że gdy na pierwszej linii sprawni walczyli z niedogodnościami

i przynajmniej starali się zachować jakikolwiek porządek, tak drugi szereg był już tylko jego imitacją.

– Poruczniku! Jak na pierwszej linii? – zakrzyknął żołnierz, wynurzając się z jamy, z twarzą obwiązaną bandażem.

– Cisza, żołnierzu – odparł Wilhelm, przechodząc obok.

– To może przepustki dla drugiej linii? – Wynurzył się kolejny kształt przypominający człowieka. Duchem już dawno stał się czymś strasznym.

– Dowództwo odmówiło – odpowiedział porucznik, nie odwracając się za siebie. Serce zakuło oficera nad losem straconych.

– Pieprzone przepustki! – krzyknął za nim podwładny.

W szeregi wkradał się defetyzm. Szturmowcy już nie chcieli walczyć i trudno było im się dziwić. Ogromna ofensywa pod Verdun wymagała każdej pary rąk, przez co wielu nie dostało przepustek, aby choć na chwilę odsapnąć od wojny poza jej brutalnym obliczem. Byli ranni, już nie zmęczeni, lecz wycieńczeni. Umysły pękały jak mydlane bańki. Wszechobecny smród lekarstw, chorób, krwi, potu i fekaliów ani na chwilę nie opuszczał jam oraz ciasnych korytarzy. A do tego swąd, nieprzeznaczony dla zmysłu węchu. Zapach strachu, beznadziei, obdarcia z godności i człowieczeństwa, chłonięty przez duszę, która nim nasiąkała.

Celem porucznika była jednak trzecia linia okopów, do której musiał pokonać kolejne transzeje wyrytej w ziemi pajęczyny. Gdzieś na horyzoncie majaczyła opustoszała wieś Craonne, napawając swoim widokiem odrazą, a jednocześnie miłym wspomnieniem o tym, że człowiek zwykł budować siedziby w stronę chmur, nie zaś ryć w gruncie, w jego głąb, i zamieszkiwać podziemia. Na ostatnim, wyciosanym w ziemi rzędzie stacjonowali sanitariusze. Część z nich

przeniosła się do samego Craonne, tworząc prowizoryczne szpitale polowe w piwnicach ocalałych budynków. Ranni, którym dawano jeszcze jakąś szansę, trzymani byli jednak tutaj. Co jakiś czas zdarzał się także istny cud, który żołnierze traktowali jak dar z niebios. Mobilna pralnia, gdzie można było odświeżyć, a przede wszystkim odwszawić mundur i bieliznę.

Wszy stały się dla frontowców przykrą codziennością, utrapieniem nie mniejszym niż chłód, wilgoć i błoto. Ciało swędziało, drażniło; insekty doprowadzały do szaleństwa, odbierały sen nawet skuteczniej od przeciwnika. Mimo tych niedogodności najważniejsze było, że z trzeciej linii okopów nie dało się dostrzec apokaliptycznej ziemi niczyjej. To oddawało żołnierzom przynajmniej namiastkę pozornego bezpieczeństwa.

Wilhelm stawiał kroki śmielej i żwawiej, a napotykani sanitariusze i przybyli na front żołnierze salutowali. Słychać było dobiegające z jam krzyki oraz skomlenia rannych. Pierwsze zderzenie żółtodziobów z wojenną rzeczywistością miało miejsce właśnie tutaj, jak zapowiedź tego, że niewiele trzeba, aby samemu stać się jedną z licznych ofiar. Porucznik zatrzymał się dopiero przy kwaterze bardziej wysuniętej od reszty jam. Wejście do niej okryto gęstą, metalową siatką, którą odchylało się niczym prowizoryczną zasłonę. Wewnątrz panował ciepły zaduch, a w powietrzu było czuć wilgoć. Mrok rozświetlały dwie naftowe lampy, zawieszone na prętach z haczykami. Na wyłożonej deskami podłodze stał stolik z mapą okolicy, a także solidne łóżko, biurko i szafa. Meble najpewniej zabrano z jednego z ocalałych domów w Craonne, a przynajmniej czuć było w ich wykonaniu francuską rękę.

– Majorze?

Porucznik stanął w wejściu, po czym śmiało postawił dwa kroki, wkraczając do pomieszczenia.

Przymrużył oczy, pozwalając im przyzwyczaić się do mniejszej ilości światła. Odpowiedziała mu cisza, więc wszedł głębiej, rozglądając się uważnie po siedzibie majora Matthiasa. Pod ścianą leżał obłocony herb rodowy, który urwał się z wbitego w ziemistą ścianę haczyka. Wilhelm zbliżył się powoli, aby go podnieść i zawiesić na miejscu, wtedy jednak dostrzegł samego lokatora.

Matthias siedział tyłem, oparty plecami o małe biurko, przez co porucznik nie zauważył przełożonego w pierwszej chwili. Rozplótł sine dłonie, trzymane wcześniej podkulonych kolanach. Ociężale i jakby z bólem zaczął podnosić się ze swojego siedziska, kładąc dłonie na pustym blacie. Milczał, wpatrując się w Wilhelma. Mimo że zachowywał się spokojnie, wręcz z męką wykonując każdy ruch, wzrok miał pusty, a twarz bladą, o upiornym wyrazie, jakby wszelkie nieszczęścia storpedowały ją w jednej chwili.

Porucznik zatrzymał się tuż przy biurku, bacznie obserwując twarz majora. Poczuł wzbierający niepokój na sam jego widok. Ostatni raz spotkali się przy okazji relokacji, wtedy jeszcze tak źle nie wyglądał. Postanowił jednak uznać stan przełożonego za naturalny. Tak jakby do niczego złego nie doszło.

– Przywieźli wczoraj pierwszą partię żółtodziobów, już ich rozlokowano – zaczął taktownym, spokojnym głosem, choć i nad nim wisiała ponura aura, jednak całkiem innego rodzaju. – Same dzieciaki, jeszcze nie nażarli się błota.

Major wciągnął nerwowo powietrze, a dłonie zatrzęsły się na blacie. Przez moment wyglądało to tak, jakby dusił się lub słowa zastygły mu gdzieś w gardle.

– Dużo ich? – zapytał, zebrawszy się w sobie. Oddychał przy tym nerwowo.

– Niewielu, ale mają dołączyć kolejne konwoje. – Tutaj kiwnął pewnie głową, zaraz dodając: – Może zechciałby major, jak zawsze samemu, zwizytować nowych żołnierzy?

– Nie mogę – odparł gwałtownie Matthias i potrząsnął głową. – Nie wyjdę stąd, poruczniku, nie mogę.

– Dlaczego? – Wilhelm wzdrygnął się na ten nagły ruch i podniesienie głosu przez przełożonego. – Co się dzieje, majorze?

– Tam… – Zatrząsł ledwie wyczuwalnie biurkiem i oderwał od niego dłonie. – Oni umrą, poruczniku, wszyscy. Tak jak pod fortem Vaux! Wszyscy padną pod tą lejącą się z nieba pożogą. Pod tym deszczem stali i ognia. I nikt nie wróci! Niczego nie zdobędziemy!

Wilhelm wpatrywał się w Matthiasa oniemiały jego zachowaniem. Najbardziej niepokoiły go jednak oczy – pusty, przerażony wzrok, jakby relokacja nigdy nie przebiegła, a oni wszyscy dalej tkwili w piekle pod Verdun. Nic w tych oczach nie było prócz strachu i zniszczenia, jakiejś nieopisanej paniki na samo wspomnienie o wyjściu z wyrytego w ziemi legowiska.

– Szturmowcy cię potrzebują, Matthiasie – odezwał się po dłuższej chwili milczenia i wpatrywania w zlanego potem arystokratę porucznik. – Nie możesz tu wiecznie tkwić.

– Nie mogę, nie mogę stąd wyjść. – Z przestrachem spojrzał w stronę prowizorycznej zasłony i zakrył twarz dłońmi, trzęsąc się jak osika. – Nie mogę tego oglądać, Wilhelm!

Porucznik cofnął się o krok, spuszczając dłonie wzdłuż ciała, a stojący przed nim obraz rozpadu potęgował wrażenie zguby. Twarz

zmarniała, próbując ostatkiem sił zachować odpowiedni, kamienny wyraz.

– Coś czai się w cieniu, poruczniku. Wisi nad całym frontem tak na wschodzie, jak i na zachodzie – wydukał skulony w sobie major, nerwowo pocierając ręce.

– Co takiego, majorze?

– Śmierć, poruczniku. Dybie na nas wszystkich i tylko czeka, aż wynurzymy głowy z naszych nor – ściszył głos, uspokajając się na krótką chwilę, gdy rozmowa odrobinę zmieniła bieg.

– Trwa wojna, majorze. Wojna o być albo nie być dla Cesarstwa Niemieckiego. – Wilhelm uniósł podbródek. – Morituri te salutant, pamiętasz? My, mający umrzeć, pozdrawiamy cię.

– I nigdy już nie zapomnę – odparł z ociężałym wydechem.

***

Przymknął zmęczone oczy i potarł skronie, spuszczając głowę w akcie bezsilności. Wilhelm był człowiekiem twardym, wręcz urodził się na froncie. Choć przywykł do ran cielesnych swojego batalionu, stale uszczuplających się i uzupełnianych szeregów, tak za nic nie mógł znieść okropieństw wymierzonych w ducha jego ludzi. Jakby tonęli w błocie również w ujęciu metafizycznym, pochłaniani przez front. Zapaść i upadek w ciemność, wiszące gdzieś na krawędzi, nad przepaścią. Obraz ten umocnił się w nim jeszcze bardziej, gdy miał okazję zmierzyć się ze stanem, w jaki popadł major.

Nie opuszczała go pewność w jednej, konkretnej kwestii – dalszy los oddziału i tego wycinka frontu leżał wyłącznie w jego rękach. Wilhelm, właściwie jako ostatni, zyskał posłuch u żołnierzy,

stanowiąc dla nich swego rodzaju autorytet. Niemniej jednak był tylko porucznikiem, a więc zarówno pod względem rangi, jak i doświadczenia brakowało mu wprawy, aby dowodzić ludźmi w większej sile. Co mu wszakże pozostało? Mógł zdać się jedynie na samego siebie, w ostateczności nadrabiając wolą i intuicją. Major zamknął się w swoich czterech ścianach i stracił kontakt z rzeczywistością. Przyszło mu samotnie wziąć na barki odpowiedzialność za straceńców, którzy uszli z serca apokalipsy.

ROZDZIAŁ IV

Noc minęła Seppowi szybko, pomimo urągających wszystkiemu standardów okopowego życia. Wydarzenia wspólnej wyprawy na przedpole i próba naprawy zasieków wycieńczyły go do tego stopnia, że nic nie było w stanie mu przeszkodzić w twardym śnie. Sierżanci nawoływali i poganiali, lecz on potrzebował chwili, aby zwlec się z posłania, składającego się głównie ze słomy. Ta dobrze izolowała od wszechobecnego zimna i wilgoci, a jednocześnie trzymała ciepło. Każdy frontowiec cenił sobie tego rodzaju materiał i starannie walczył o pozyskanie dla siebie jak największej jego ilości.

Nie tylko Sepp miał problem z rozpoczęciem kolejnego dnia służby. Wielu nie spało przez całą noc, inni budzili się dużo wcześniej, a mimo to, gdy nastawała szarzyzna, nie zwlekali się z posłań aż do ostatniej chwili. Nie chcieli wychodzić ze swoich jam, ponownie napawać oczu księżycowym krajobrazem ziemi niczyjej i czuć jej wzroku na sobie. Tej przeszywającej ciszy przed burzą, która w końcu musiała nastać.

Wreszcie jednak rozpoczęto zbiórkę. Grupy żołnierzy ustawiły się w szeregach, a przypisani im oficerowie i podoficerowie nakazali kolejno odliczyć. Oficerowie starali się, jak mogli, aby zachować pozory dyscypliny. Ci, którzy lepiej znieśli piekło pod Verdun, nawet podejmowali próby stałego jej odbudowania.

Po porannych obowiązkach przyszła kolej na śniadanie. Składało się głównie z konserwowej żywności. Co najmniej kilku zapijało jej nieznośny smak przy pomocy alkoholu. Inni zaś zaczynali poranek

od solidnych łyków gorzały. Inaczej już nie potrafili, tak łatali przeciążone umysły. Koniec końców zmieniano warty, pozwalając nocnym stróżom udać się na spoczynek lub w gorszym wypadku rzucano ich w wir kolejnych zajęć. Zwłaszcza gdy oficer przyłapał któregoś na drzemaniu podczas stróżowania.

– Jeśli będziesz szedł załatwić potrzebę do latryny, pamiętaj, by nie iść samemu – radził Ingo przy śniadaniu, kierując słowa do Seppa.

Siedzieli jeden obok drugiego, przy wejściu do jednej z jam, oparci plecami o ścianę.

– Dlaczego? – zapytał zaskoczony młodzieniec, mrużąc przy tym zapadnięte oczy.

– Bo cię upiorstwa z ziemi niczyjej zabiorą i nie zobaczysz już mamusi – zaśmiał się któryś ze szturmowców, wyjadający resztki ze swojej konserwy.

Pozostali zawtórowali rechotem.

Reinhard, siedzący dalej od Ingo, powoli spuścił głowę, w zamyśleniu. Wczorajszy widok francuskiego żołnierza oblepionego szczurami nie opuścił Wujaszka ani na chwilę. Nękał go całą noc, choć Prusak uchodził za człowieka gruboskórnego i oddanego sprawie Kaisera.

– A tak poważnie, Sepp. – Blondyn urwał swój śmiech i zamachnął się prowizorycznym widelcem, aby zwrócić na siebie uwagę. – Chodzenie samotnie do latryn to kiepski pomysł. Jeśli Francuzi będą w pobliżu i przyuważą, żeś sam, to już z latryny nie wrócisz.

– Postaram się pamiętać – odparł Sepp, kiwając powoli głową na znak zrozumienia.

Silny wiatr hulał po ziemi niczyjej. Był jeszcze chłodny, wciąż trochę zimowy, jednak dzięki temu szarzyzna nieba przeminęła prędzej niż zazwyczaj, a słońce dało się dostrzec na sklepieniu. Zalany wczorajszym deszczem grunt w dalszym ciągu nie wchłonął wody, przez co ziemista breja utrzymywała się nieustannie. Brakowało również roślinności, która mogłaby pochłonąć deszczówkę, natomiast sama gleba nie nadąża przy licznych opadach. Na ziemi niczyjej tworzyły się swoiste bagna i potoki, czekając, aby zabrać nieszczęśników w swoje odmęty.

– Reinhard, żona pisała? – zakrzyknął ktoś spośród zebranych. – Pochwal się, Wujaszku!

– Ani słowa od miesiąca – mruknął Prusak, unosząc zmęczone spojrzenie na krawędź okopu przed sobą.

– Może już o tobie zapomniała – zaśmiał się kolejny żołnierz, ale zaraz urwał, widząc gniewny wzrok Reihnarda. – Dobra, dobra, bez nerwów!

– To przymknij mordę.

– Listy nie dochodzą – wtrącił Ingo. – Ja też dawno nic nie dostałem, a rodzice zawsze odpisywali regularnie.

– Szlag by strzelił pocztę polową. – Któryś z żołnierzy pokręcił głową.

– Szlag by całą tę wojnę – skomentował kolejny.

Po tych słowach zapanowała cisza, jakby całe towarzystwo wpadło we własne rozmyślania nad sensem i okolicznościami, w jakich się znaleźli. Maszyna wojenna Cesarstwa Niemieckiego toczyła się od dwóch lat na wschodzie i zachodzie Europy. Rok 1914 był pełen sukcesów i wydawało się, że nic nie powstrzyma zdeterminowanej armii Kaisera, prącej naprzód z wiatrem w żaglach.

Los odmienił się podczas bitwy pod Marną i serii wzajemnych manewrów flankujących, które musiały mieć ostatecznie jakiś koniec. I on nastał. Front zamarł.

Obie strony starannie okopały się na swoich pozycjach, ryjąc przez całą szerokość francuskiej ziemi rowy i tunele. Wtedy też przyszło piekło wojny pozycyjnej: dwóch stojących naprzeciw siebie ścian, której żadna ze stron nie potrafi przebić. Front był tym bardziej martwy, im zacieklej starano się zrobić wyłom; nie dało rady dostrzec rosnącego stosu poległych, a ich ofiara zdawała się daremna. Pozycje obu armii nie zmieniały się w żaden widoczny sposób mimo licznych prób przełamania.

– To nie ma sensu. – Ingo cisnął niedopałek w ziemię i potrząsnął głową, przerywając ciszę. – Jesteśmy jak w jednym wielkim młynie, który zmieli nas w proch. O tam, w tym błocie za krawędzią okopu.

– Przypomnieć ci, co ślubowałeś armii i Kaiserowi? – zapytał Reinhard, gwałtownie obracając głowę w stronę blondyna.

– Na pewno nie siedzenie w tych tunelach jak szczur. Mieliśmy iść po zwycięstwo Niemiec! – odrzekł Ingo i oparł mocno głowę o ścianę okopu, naciągając stahlhelm. – Jesteśmy tylko tonącym mięsem, niewiele wartą padliną.

– Typowy bawarski dureń. Pieprzony wygodniś – mruknął pogardliwie Reinhard, zaciskając wargi. – Masz dzieci, Ingo? Nie masz. Ja mam i to dla nich tu jestem, bo chcę podarować im Niemcy potężniejsze niż kiedykolwiek.

– Sam jesteś dureń, Reinhard. Żeby nie przyszła chwila, od której będą wychowywać się bez ojca.

– Spokojnie, panowie. Każdy ma swoje powody, dla których tu jest lub dla których nie chce tu być – wtrącił znikąd Sepp, odkładając na bok opróżnioną konserwę.

– A ty, Sepp? Co cię tu przywiało? – zagaił Ingo, zerkając w stronę drugiego młodzieńca.

– Tułaczka, Ingo. Nie jestem tu ani dla rodziny, ani z żadnego innego powodu. Los mnie tu pchnął.

Grupa dyskutowała żarliwie nad przyczynami, toczyła też spory o sens całej wojny, gdy nagle nad ich głowami zawrzało. Warkoczący dźwięk przeszył powietrze, sprawiając, że szturmowcy skryli uszy w dłoniach i skulili się w sobie. Następnie usłyszeli eksplozje gdzieś na ziemi niczyjej, a potem kolejną wrzawę. Mimo że nie podniesiono alarmu, grupa jak jeden mąż zerwała się na równe nogi i podbiegła do krawędzi okopu, aby zorientować się, co doprowadziło do tak gwałtownej zmiany wobec spokojnego poranka.

Stal Kruppa spadała z czystego nieba na francuskie pozycje po drugiej stronie ziemi niczyjej. Zadawała cios za ciosem, siejąc zniszczenie, wyrywając błotnisty grunt w powietrze. Wybijała kolejne, świeże koleiny. Żołnierze wprowadzili mały zamęt, widząc swoją własną artylerię, plującą ogniem do przeciwnika. Radość była jednak krótkotrwała, bowiem nie zauważono, aby Francuzi nacierali lub robili chociaż zwiad. To mogło oznaczać, że za chwile sami dostaną rozkaz do ataku. Z drugiej strony, o takowym nikt nie uprzedzał, ani nawet nie krążyły plotki, że w najbliższym czasie szykuje się jakiś szturm.

Nie ściągano oka z widowiska, było w nim coś hipnotyzującego. Przyprawiało o ciarki na myśl, że można byłoby być pod takim ostrzałem, a jednocześnie przychodziła jakaś ulga. Przeciwnik

odczuwa na skórze to, co sam funduje. Baczne, ponure i zarazem ciekawskie spojrzenia żołnierzy przebiegły jednak na inny cel.

Do pierwszej linii okopów wkroczył porucznik Wilhelm. Coś zmieniło się w jego surowym obliczu. Sprawiał wrażenie odradzającego się majestatu, który napawał szturmowców wiarą przed atakiem na Fort Vaux. Teraz jednak nie oddziaływał na nich tak jak wówczas, a mimo to stanowił jakiś promień światła w tych zmarniałych ciemnościach. Zatrzymał się przy krawędzi okopu, aby obejrzeć ostrzał artyleryjski.

– Będziemy szturmować, poruczniku? – zapytał z lękiem żołnierz stojący obok.

– Nie, przynajmniej nie w najbliższym czasie – odparł krótko Wilhelm, nie odrywając wzroku od krajobrazu.

– Dlaczego więc strzelamy? – padło pytanie od Ingo, który przysunął się bliżej, aby jak zawsze rozeznać się w sytuacji.

– Przekonałem majora do odpowiedzi na wczorajszy, nocny ostrzał. Odebrali nam sen, więc my odbierzemy im spokojny poranek.

***

Kolejni żołnierze zbierali się przy krawędziach okopu. Jedni z ciekawości, inni, aby poznać powód rozpoczęcia ostrzału. Wypełzali ze swoich nor, przystawali lub zbierali się z własnych siedzisk. Widoczne poruszenie wśród szturmowców nie miało jednak takiego rozmiaru, jak mogło się wydawać. Część z nich już całkiem pogrążyła się w apatii. Wpatrywali się tępo w przestrzeń, ani drgnęli ze swoich miejsc. Niektórzy jedynie krótko spojrzeli, szybko tracąc zainteresowanie. Ich już nie obchodziło, czy to szykowanie kolejnego

szturmu czy też sami Francuzi grzęźli w błocie ziemi niczyjej. Perspektywa śmierci lub kalectwa wydawała im się czymś tak naturalnym, jak codzienne cierpienia przebywania na pierwszej linii. Często wręcz pragnęli takiej śmierci, lub jakiejkolwiek innej, byle zakończyć żałosne bytowanie.

Wreszcie ostrzał artylerii ustał. Po drugiej frontu unosiły się szerokie, gęste kłęby czarnego dymu. U jego spodu co bardziej uważny mógł dostrzec delikatną, zgniłożółtawą mgiełkę, która przesuwała się dalej z wiatrem, niczym pełzający, żywy obłok, w głąb pozycji przeciwnika. To był chlor, od 1915 roku często stosowany jako gaz bojowy. Jeśli zapytać żołnierza, czego w ostrzale lęka się najbardziej, prawie pewną odpowiedzią byłby widok tej śmiercionośnej chmury, jednego z pierwszorzędnych symboli tej wojny. Chlor palił płuca, a żołnierz dusił się własną krwią; towarzysząca konaniu męczarnia była wręcz trudna do opisania. Możliwość zobaczenia ofiary tej grozy odbierała mowę i zmysły. Jedyną obroną były maski przeciwgazowe, które na przestrzeni lat doskonalono od najprostszej formy materiału zasłaniającego drogi oddechowe, po bardziej kompletne i skuteczne. Żołnierz zawsze miał ją przy sobie, niezależnie od pory i sytuacji.

– Są w piekle – skomentował Sepp, oglądając rosnący, czarny obłok po eksplozjach.

– Wszyscy w nim jesteśmy – odparł ciszej Ingo, ledwie widocznie kiwając głową na swoje słowa, i sięgnął po zwijkę.

Pomimo porywistego wiatru kłęby dymu tkwiły na swoim miejscu i wbrew wszelkiej logice zauważalnie zaczęły powiększać się jeszcze bardziej, stopniowo zasłaniając kolejne fragmenty horyzontu. Pogoda zdawała się ich nie imać lub też jeszcze wspierać

ich rozrost. Czerń górowała nad okopami wroga, a wkrótce nie dało się już nawet dostrzec fragmentów umocnień ani tego, co znajdowało się za nimi. Wkrótce nieboskłon został zakryty kurtyną; pokonany, blednąc w jej stale gęstniejącej aurze. Wreszcie przebijała się zaledwie niewielka część światła, stopniowo również gasnąc.

Gapie nie byli w stanie oderwać wzroku od tego obrazu. Zrobiło się ciemno, a w zniszczone szeregi wkradała się jeszcze większa niepewność. Reinhard odwrócił się, chcąc z powrotem zająć się codziennymi sprawami, gdy głos pobliskiego szturmowca zwrócił jego uwagę:

– Spójrzcie!

Dym zadrżał niczym pulsująca, chaotyczna ściana. W jednej chwili rozdzierał się jak tkanina, a w kolejnej na powrót łączył. Cień padał na cesarskie okopy. Olbrzymi kłąb poruszał jak żywa, bolesna masa, aż po długiej chwili u jego szczytu uformował się zdolny do rozpoznania ludzkim umysłem kształt. Był to łeb wielkiego, czarnego szczura, którego obrzydliwe wąsika ciągnęły się dymnymi smugami, sięgając ziemi. Potworny majestat górował nad wszystkim, co człowiekowi było do tej pory znane. Sięgał daleko poza wyobraźnię, a jego ogrom na sklepieniu przytłaczał swoją wszechobecnością. Szczurzy, cienisty ogon sunął przez zawisły dym jak jadowita żmija, a czarne, nieruchome ślepia utkwione były w niemieckiej armii.

Kłąb z niebywałym tworem znieruchomiał i jedynie ciemne, chmurne obłoki u jego dołu kołysały się niemrawo, jakby utworzony kształt wyczekiwał przed skokiem. Ten jednak nie nadchodził.

– Co to do cholery jest? – wydukał Ingo, akcentując każdą głoskę. Nie odrywał przy tym wzroku od zjawiska, a jego zielone oczy

pełne były grozy.

– Diabeł, to cholerny diabeł! – zakrzyknął jeden ze szturmowców, drżącym ze strachu głosem.

Reinhard milczał, uczynił powoli znak krzyża, ściągając z głowy pikelhaubę. Cofnął się dwa kroki. Potknąwszy się, upadł w błoto. Zwykle mruknąłby jakieś przekleństwo, teraz jednak nie wypowiedział ani słowa. W głowie ponownie pojawiło się wspomnienie francuskiego żołnierza, po którym harcowały szczury, jak symboliczna zapowiedź tego, co właśnie się wydarzyło. Błoto dostało się do ust, zakaszlał, próbując je wypluć. Zęby zazgrzytały z ziemią pomiędzy nimi. Czuł opalowe ślepia na swoich plecach, wdzierające się, by sięgnąć po najgłębsze sekrety duszy. Każdy szturmowiec teraz je odczuwał.

W krótkiej chwili opamiętania z bluźnierczo hipnotyzującego widoku Sepp chwycił Prusaka pod ramionami i pomógł mu podnieść się z grząskiego błota. Umysł młodzieńca był sceptyczny, kierował się logiką. Jednak nawet on nie potrafił wyjaśnić, czym jest potworny, dymny kształt i dlaczego się pojawił. Nie wierzył w przypadki, to natomiast było jedyne, co teraz przychodziło mu do głowy.

– To tylko dym, nic więcej. Wiatr go rozwieje – rzekł w końcu.

Niecierpliwie wyczekiwano momentu, o którym wspomniał. Jednak potworność zdawała się nie opuszczać swojego legowiska. Nawet ci, których dopadła apatia, ze zgrozą obserwowali czarny horyzont. Kolejni podnosili się i podchodzili do przeciwległej krawędzi okopu. Ktoś załkał przy ścianie ziemnej jamy, kuląc się w sobie jak zaszczute zwierzę, bez drogi ucieczki.

– Diabeł się o nas upomniał – wycharczał nieszczęśnik, kryjąc zmęczoną twarz w rękach.

– A kto inny mógłby? Bóg zapomniał o świecie! Pozwolił przeryć go okopami i obtoczyć drutem kolczastym, a swoje owce posłał na rzeź – odparł wściekle stojący przy krawędzi okopu szturmowiec.

– Nie waż się wypowiadać takich słów przeciw Bogu! – Ingo gniewnie zrugał żołnierza. W gardle ugrzęzły mu dalsze słowa wściekłości.

Blondyn odwrócił głowę i ciężkim krokiem przeszedł wzdłuż okopu, aż dotarł do Seppa. Wyciągnął do niego rękę i poprosił o broń. Ten pierwszy raz widział Ingo tak zdenerwowanego i szybko pojął, że zapewne takie oblicze zdobiło Bawarczyka podczas walki. Bez namysłu oddał swój karabin, a młodzieniec gwałtownie się z nim odwrócił i wymierzył w horyzont, mocno dociskając kolbę do barku.

– Precz diable! – krzyknął, a palec pociągnął za spust.

Wystrzał uciszył wszelkie rozważania batalionu na temat tajemniczego zjawiska. Wiatr świszczący nad głowami i po ziemi niczyjej ustał jak za dotknięciem różdżki. Dymny kształt pozostał jednak na swoim miejscu. Niewzruszony ani zmieniającą się pogodą, ani też gniewem Ingo. Młodzieniec zadrżał w duchu, a wewnętrzne rozdarcie między tęsknotą za domem a słabnącą lojalnością wobec wojskowej przysięgi zachwiało się w nim mocniej niż zwykle.

– Dość! Wracać do swoich obowiązków! – warknął nagle Wilhelm, rozglądając po oddziale. – Starczy tego gmerania po religii, diabłach i omenach. Jesteśmy szturmowcami Kaisera. Choćby tam na horyzoncie pojawił się najgorszy z upiorów, nie ujdzie nam żywy. Ruszać się!

Porucznik w przeciwieństwie do reszty oddziału odczuwał spokój, który z każdą minutą go napełniał. Oddech zwolnił, umysł dotknęła przyjemna cisza. Towarzysząca temu obecność opalowych ślepi sprawiła, że wilgoć i zimno przestały mu wadzić. Uszły wszelkie okropieństwa wojny. Jedynie obraz przed oczami przypominał mu, że wciąż ją toczy, od długich dwóch lat. Nie czuł czegoś takiego od czasu, gdy przyszło mu maszerować na front przy wiwatach niemieckiego ludu. Ściągnął hełm, a następnie odwinął okalający głowę bandaż. Przestał mu być potrzebny. Było w tym geście coś rytualnego, jak wojownik wychodzący z ran, by znów stanąć do walki.

Choć wielu nie mogło oderwać wzroku od bestii, żołnierze grupkami zaczęli wracać do obowiązków. Część do tych faktycznych, inni ponownie wpadali w letarg. Wkrótce rozległy się pierwsze szepty, a wraz z nimi plotki i strach. Wybrzmiewały nim wszystkie trzy rzędy okopów.

***

Matthias siedział za biurkiem w swojej kwaterze na trzeciej linii okopów. Gdyby nie skaza na umyśle, która zabraniała mu opuszczać pomieszczenie, zapewne przeniósłby się jeszcze dalej. Być może do jednej z piwnic w Craonne. Odciął się zupełnie od zewnętrznego świata, nawet promienie słońca wpuszczając w swoje progi niechętnie. Jedynie jeden z podporuczników musiał osobiście dostarczać mu posiłki. Poza tym nie widywał już nikogo. Wyżej postawieni oficerowie nie byli zainteresowani wizytacją tego odcinka frontu, w pełni skupieni na krwawych zmaganiach pod Verdun. Inni z kolei czujnym okiem obserwowali Ypres. Ostatni fragment Belgii

w rękach państw Ententy. Przede wszystkim jednak dowództwo nie chciało wchodzić do zgubnej przestrzeni okopów, jakby wisiała nad nimi klątwa. Byli wygodni, zawsze kryli się gdzieś na zapleczu, w bezpiecznych posiadłościach. Błoto żołnierzom, komfort oficerom, przynajmniej tym wysokiego szczebla.

Major spojrzenie miał ospałe, a jednocześnie oczy wciąż szeroko otwarte. Pozostawały puste, szaleńcze w swoim przerażonym bezkresie. Słyszał huk artylerii wycelowanej we francuskie okopy. Przeszedł go nieprzyjemny dreszcz, a dłonie nerwowo zacisnęły się na blacie biurka. Spuścił głowę; na umysł napierały makabryczne wspomnienia rzezi podczas szturmowania fortu Vaux. Był tym, który upierał się o jak najszybsze rozpoczęcie ataku. To on o niego zabiegał, złakniony sławy zdobywcy, która miała przynieść chwałę jego rodowi. Odpowiedzialność za niepowodzenie i potworny obraz strat utkwiły w pustych ślepiach jak lustrzane odbicie tamtego dnia.

Ostrzał artyleryjski w końcu ustał, co Matthias przyjął z ulgą. Zapanowała cisza, nerwowo potarł dłonie, jakby w obawie, że zaraz znów coś ją przerwie. Kiedy rzucił okiem znad blatu, dostrzegł, że zrobiło się jeszcze ciemniej niż zazwyczaj. Nawet lampa naftowa zdawała się dawać mniej światła. Ostrożnie podniósł się ze swojego miejsca, które okrążył, zmierzając w stronę lampy. Tuż pod nogami przebiegł duży szczur, ze wściekłym piskiem umykając spod wojskowego buta, i zniknął za kratowaną zasłoną wejścia do jamy. Major łypnął krótko na gryzonia, po czym wyciągnął dłoń w stronę światło.

Ucichły nawet najdrobniejsze dźwięki. Matthias podświadomie odczuł czyjąś obecność i rozejrzał się po pomieszczeniu z przestrachem. Puls przyśpieszył, blada twarz zlała się potem.

– Kto tu jest? – rzucił w eter, a nieprzenikliwy półcień potęgował jego obawy z każdym spojrzeniem w kąty oficerskiej kwatery.

Kompletną ciszę przerwały piski szczurów, których pochodzenie trudno było ustalić. Właściwie niespecjalnie się nimi przejmował, ot, stanowiły kolejny element frontowej codzienności.

Nagle gdzieś u wylotu jamy jak niemrawa fala poruszył się cień. Matthias odwrócił się gwałtownie w jego stronę, uchylając wargi w przestrachu. Postać przybrała ludzki, acz rozmyty kształt o konsystencji i kolorze czarnego dymu. Pozostawała nieruchoma, bacznie obserwując lokatora. Majora całkiem ogarnął lęk, cofnął się za biurko, o mało co nie potykając się. Wyciągnął ramię, jakby chciał zasłonić się przed nadchodzącym ciosem. Ten jednak nie spadał; tajemnicza postać zbliżyła się jedynie.

– Kim jesteś? Czego chcesz? – Major przylgnął plecami do ściany za biurkiem, wskazując palcem na intruza.

– Dlaczego nie dowodzisz armią, Matthiasie?

Głos przybysza nie przypominał niczego, co kiedykolwiek Matthias słyszał. Był zimny jak bryła lodu, przeszywający niczym wdzierające się w ciało ostrze bagnetu. Wybrzmiewał chórem konających na ziemi niczyjej, a jednocześnie zaciskał gardło, jakby ktoś owinął wokół niego kolczasty drut.

– Nie mogę. Po prostu, nie mogę – wydukał major, wpatrując się ze zgrozą w przybysza.

– Musisz, majorze. Nie można Francuzom odpuścić tej rzezi.

– To ja jestem sprawcą tej rzezi – odparł półprzytomnie, a dłonie opadły na ścianę, tuż przy ciele.

– A ona pęta twój umysł. Wojna obtoczyła go zasiekami, już to widziałem. Puste, szalone spojrzenia tych, którzy wrócili z ziemi

niczyjej. Strach i szok sięgają zenitu, a następnie go przekraczają. Wtedy też nerwy idą w drzazgi.

Matthias gwałtownie potrząsnął głową i odepchnął się od ściany, ponownie wskazując na dymny cień dłonią. Sam już nie wiedział, czy to sen czy też jakaś okropna zjawa przyszła zabawić się jego nieszczęsnym kosztem.

– Zdobędą Verdun i szala przechyli się na korzyść Niemiec, to pewne. Ja nie muszę stąd wychodzić.

– Nie bez twojego udziału.

– Co sugerujesz?

– Szturm, tutaj.

– Atak? Myślałem, że spadł deszcz. – Zadrżał w bezsilnym wyrazie, panikując na samo wspomnienie. – Tak jak pod fortem Vaux.

– Niemcy zawsze są w natarciu, majorze.

ROZDZIAŁ V

Marzec 1916 r.

Drodzy rodzice!

Podróż na front okazała się być bardziej zmorą niż przygodą, ale nie mogę powiedzieć, bym kiepsko to zniósł. Opuszczając Berlin, czułem swojego rodzaju ulgę. Bezmiar stolicy coraz bardziej napawał mnie niechęcią do życia na jej ulicach, a tułaczka po innych miastach Niemiec, jak sami wiecie, czyniła mi więcej szkody niż pożytku. W jednostce dowiedziałem się, że jesteśmy pierwszym rzutem, który ma uzupełnić ciężkie straty batalionu po walkach pod Verdun. Przedtem spodziewałem się, że trafię raczej prosto w wir bitwy, tymczasem oddział wycofano na lżejszy odcinek frontu – pod Craonne. Gazety zapewniały, że Francuzi ponoszą potworne straty, mi zaś nie przyszło do głowy podumać nad faktem, że nic nie wspominały o naszych własnych.

Podróż pociągiem nie trwała długo. Większość drogi do Craonne musieliśmy pokonać pieszo. Marsz był forsowny, nie pozwalano nam zatrzymywać się na zbyt długo. Powodem miał być niski skład osobowy oddziału, co dawało szansę przeciwnikowi na przełamanie linii w tym miejscu. O ile, oczywiście, takie informacje wpadłyby w jego ręce. Ciągle byliśmy świadkami potęgi naszej machiny wojennej, gdy przemierzając kolejne odcinki trasy, stałym towarzyszem w wyprawie był wszechobecny krajobraz zniszczeń. Bez przerwy omijaliśmy kolejne koleiny i niewypały. Po wsiach pozostały puste domostwa, ponuro łypiące na nas za swoją krzywdę. Jeśli spotykaliśmy cywilów, wyglądali na przyjaźnie nastawionych, jednak bez przerwy czułem wiszące

w powietrzu napięcie. Nienawiść w ich oczach potrafiłaby topić skały i jedynie wprowadzona przez nas okupacyjna dyscyplina trzymała jakikolwiek porządek.

Stale padało, drogi i pola zamieniły się w grzęzawiska, co niebywale spowalniało nasz marsz. W końcu jednak dotarliśmy do Craonne. Za wsią rozciągały się okopy oddziału, do których nas przydzielono. Deszcz nie ustępował, a przy zmierzchu przywitał nas porucznik Wilhelm Strauss. Nie przypominał oficerów, których zwykłem oglądać w koszarach. Raczej bliżej mu do straceńca, który niegdyś piastował wyższą szarżę. Zaliczyłem przed nim małą wpadkę i to już pierwszego dnia! Ze wstydu nie podzielę się szczegółami. Otrzymałem karę. Jeśli doszukiwać się pozytywnych stron, dzięki niej mam za sobą chrzest bojowy, jeśli można to tak nazwać. Poznałem frontowców – straszny widok. Zostało mi już tylko wspomnienie o wyobrażeniu bitwy jako czymś chwalebnym, rodem z rycerskich legend. Nie mam żadnych złudzeń co do tego, że pod Verdun otworzono bramy piekieł, a ci ludzie z nich wrócili. Nie tacy jak dawniej; tym razem zniszczeni, wewnętrznie martwi – wiele oddali ołtarzowi ojczyzny i Kaisera.

W dwóch z tych straceńców zdobyłem koleżeństwo, a przynajmniej akceptację. To rozwiało moje obawy po wpadce przed porucznikiem. Nazywają się Ingo i Reinhard, teraz starają się wprowadzić mnie w tajniki okopowego życia. Są dobrymi nauczycielami.

Nad ranem rozpoczęliśmy krótki ostrzał na pozycje przeciwnika. To, co ujrzeliśmy po jego zakończeniu, wprawiło w osłupienie cały batalion, w tym mnie. Nie potrafię wyjaśnić tego zjawiska, choć próbuję w każdej sekundzie, odkąd to zobaczyłem. Potworna, wisząca chmura czarnego dymu, na której osiadł Czarny Szczur. Wszyscy szepczą tylko o nim. Nie myślcie, że zwariowałem – on tam jest i nawet mój dociekliwy umysł nie

potrafi wyjaśnić dlaczego. Utrzymuje się już dobre parenaście godzin. Zasłania niebo. Zatruwa, a następnie zadusza resztki woli i tak pognębionych żołnierzy.

Wasz Sepp

***

Nastał zmierzch, choć jedynie na podręcznym zegarkach. W rzeczywistości ciemność wisiała nad cesarskimi okopami przez cały dzień. Ogromna chmura dymu i spoglądający z niej Czarny Szczur niczym nieprzenikliwa ściana zasłaniali horyzont. Zdawać się mogło, że pozycje oddziału znajdowały się tuż przed murem, oddzielającym żołnierzy od innego świata. Krainy mrocznej, obcej, gdzie świt nie wstaje, a istoty w niej żyjące nie potrzebują światła. Tymczasem potworność na szczycie strzegła jej bram. Wrażenie to potęgowała ziemia niczyja o iście księżycowym krajobrazie licznych rowów, kolein i kikutów drzew. Zimny wiatr ponownie się zerwał, świszcząc groźną melodię ku czci istoty osiadłej na dymnym tronie.

Sepp oderwał przymrużone oczy od listu i prędko ukrył go w kieszeni munduru, składając uprzednio wpół. Stał na warcie, więc musiał stale uważać, by oficer nie przyłapał go w trakcie pisania. Przelewanie słów na papier było tym trudniejsze, gdy światła pozostawało niewiele, a nie chciał prowokować francuskich snajperów użyciem zapalniczki. Oczywiście jeśli ci cokolwiek widzieli zza tej dymnej, czarnej ściany. Młodzieniec co jakiś czas zerkał w stronę ziemi niczyjej, szukając najmniejszego ruchu. Jego uwagę skupiało jednak niecodzienne zjawisko nad okopami wroga. Nie opuszczał go niepokój. Wciąż miał wrażenie, że bestia nie odrywa od niego opalowych ślepi, jakoby oczekując.

– Josef Fischer? – padło półszeptem pytanie do odwróconego plecami Seppa.

Nieznajomy wyraźnie nie chciał mówić na głos z lęku, że to coś dybiące na nich z czarnego muru może nie tylko patrzeć, ale też słuchać.

Młodzieniec zwrócił się twarzą do przybysza. W wyuczonym odruchu stanął od razu na baczność. Zaraz jednak spoczął, widząc, że gościem jest szeregowiec, żołnierz o tym samym stopniu, co on. Był to krępy brunet, kryjący włosy pod stahlhelmem owiązanym kawałem materiału w kolorze błota. Podobnie jak Sepp zaliczał się do kwiatu młodzieży, któremu przyszło wyruszyć na front. Twarz miał opaloną, z dużym nosem i parą piwnych oczu. Dłonie zniszczone pracą zaświadczały, że najpewniej pochodził ze wsi lub trudnił się w jednej z wielu niemieckich fabryk.

– Karl? Cholera, nastraszyłeś mnie – odparł z krótkim śmiechem, rozpoznając żołnierza. – Myślałem, że to sierżant.

– A, to ty, Sepp. – Przybysz pokiwał głową z lekkim uśmiechem. Nikt młodzieńca nie nazywał Josefem Fischerem, wszyscy znali go jako Seppa. – Nie poznałem cię. Koniec męczarni, znaczy zmiana warty.

Karl nie przestawał mówić półszeptem nawet mimo tego, że rozmówca nie ściszał głosu. Gdy zamienili się miejscami, ściągnął z ramienia karabin snajperki. Broń owinięto starannie kolejnymi kawałkami ciemnego materiału, który miał maskować żołnierza w błocie. Oczywiście był to amatorski kamuflaż. Taki, na jakie pozwalają okopowe warunki. Z pewnością wiele mu brakowało do porządnego ghillie suitu. Wykopany w ziemi posterunek obtoczono belkami, wspartymi dodatkowo ciężkimi worami z ziemią, tworząc

coś na kształt półokręgu. W tej zaporze, na wysokości głowy, znajdowała się mała, ukryta wyrwa, pozwalająca obserwować teren przed sobą. Snajper mógł uczynić z niej jeszcze więcej pożytku.

Krępy żołnierz uniósł broń i wycelował, raczej bez większego zainteresowania wodząc spojrzeniem po ciemnicy na ziemi niczyjej. Wypatrywanie szansy w okopie przeciwnika i tak mijało się z celem, głównie ze względu na obecność potężnej chmury dymu.

– Karl, jak sądzisz, co to jest? – zapytał Sepp, opierając się na chwilę o ścianę okopu.

– Bo ja wiem. – Wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od lunety karabinu snajperskiego. – Jedni mówią, że diabeł we własnej osobie. Inni natomiast, że omen naszej zguby. Słyszałem też, że kara boska za tę wojnę.

– To mówią inni, a ty co sądzisz?

– Że to jakaś cholerna sztuczka Francuzów.

Sepp uśmiechnął się pod nosem na słowa kompana i jeszcze raz obejrzał na postać Czarnego Szczura na horyzoncie. Jego twarz momentalnie wykrzywił grymas na samo skrzyżowanie wzroku z tajemniczą potwornością. Na pożegnanie klepnął Karla w ramię bez słowa, a następnie, poprawiając mausera na ramieniu, opuścił strzeżoną przez siebie pozycję. Nie odszedł daleko, gdy za plecami usłyszał odgłos wystrzału. Zatrzymał się i odwrócił gwałtownie, badawczo zerkając za snajperem.

– Miałeś go tuż pod nosem, Sepp! – rzucił niedbale Karl.

***

Wielu poukrywało się w ziemnych jamach. Kłębili się w nich niczym gryzonie, zbyt zlęknione, by wyjrzeć na światło dzienne.

Okop nieprzerwanie przywodził na myśl apokaliptyczne wizje, tuż przed końcem świata, w oczekiwaniu na kataklizm, który zmiecie wszystko, co znane z powierzchni przeoranej transzejami ziemi. Jedynie co jakiś czas jakiś żołnierz wysuwał głowę, jakby chciał sprawdzić, czy czarna ściana zniknęła. Dyscyplina była jedynie pozorem, a sierżanci zostali zmuszeni do ciągłego reagowania na kolejne akty łamania porządku. To rzutowało na ich własne morale i poczucie obowiązku. Pozbawieni chwili wytchnienia żołnierze, męczyli się coraz bardziej. Obserwowali na własne oczy, jak niegdysiejsza duma i buta batalionu cesarskiej armii sypie się u fundamentów.

Sepp przemierzał okop wolnym krokiem, starając się nie oglądać tego obrazu, co zresztą przychodziło mu z niemałym trudem. Doskonale zdawał sobie sprawę, że stanowi jego część, gdy i własne myśli kierował w stronę potworności na szczycie dymnej kurtyny. Wzdłuż ściany okopu siedzieli ci, którzy jeszcze się nie ukryli. Szare stahlhelmy pochylone ku glebie w markotnym, straceńczym wyrazie. Kulili się z zimna i wilgoci, z lękiem przed łypiącym na nich Czarnym Szczurem. Nie ważyli się spojrzeć w stronę horyzontu, kryjąc się przed opalowymi ślepiami, a nawet mimo tego stale odczuwali ich obecność. Pocierali i chuchali w zziębnięte dłonie. Bardziej pocieszającego widoku można by poszukać wśród nowo przybyłych żołnierzy, jednak ci, mimo że dopiero przybyli na front, krok po kroku przestawali różnić się od weteranów. Byli nie mniej przerażeni, nie z takimi nadziejami tu przybyli. Widok wytrącił z nich cały zapał, jaki dotychczas mieli.

– Ojcze nasz, któryś jest na niebiosach… – żołnierz mamrotał modlitwę, ściskając w dłoniach różaniec. Siedział skulony,

z pochyloną głową u wylotu jamy, nie podnosząc wzroku. – Święć się imię twoje, przyjdź królestwo twoje.

Uciekali w objęcia religii, szukając w niej jakiegokolwiek ratunku przed naciskającym chaosem i wszechobecnym obłędem. Jednak ani niebiosa, ani Królestwo Boże nie ukazywały się modlącym. Zamiast niego nadeszła ciemność nocy, potęgująca trwogę i sprawiająca, że nie widzieli potworności po drugiej stronie ziemi niczyjej. Czuli jednak jej obecność i byli pewni, że opalowe ślepia bestii przenikają swoim spojrzeniem nawet ten mrok.

Ktoś wyrywał kawały ziemi przy pomocy saperki i wywalał je na zewnątrz kwatery. Wydawało się, że to jego sposób na przetrwanie zgrozy. Maniakalny upór, z jakim kopał w głąb gruntu, miał coś wspólnego z niewyartykułowanym lękiem. Jama, w której urzędował, wciąż była mu za płytka. Niezależnie, na ile ją pogłębił. Gdy dno okopu dzieli od ognia artylerii, zawsze jest zbyt płytko.

– Daj sobie wreszcie spokój – wyszeptał z naganą współlokator kopacza. – Czas spać.

– Sam widzisz, im głębiej, tym lepiej, przed jego wzrokiem, przed szrapnelami.

– Przy większym deszczu będziemy mieli tu bagno.

– Ale łbów nam przynajmniej nie urwie.

Drobna poprawa nastroju po rozmowie z Karlem stopniowo opuszczała Seppa. Wreszcie całkiem zgasła. Zatrzymał się na krawędzi niestrzeżonego odcinka transzei i podniósł wzrok na ciemne niebo rozświetlone niewielką ilością gwiazd. Ostatnim światłem, gdzieś z oddali wszechświata, które przedzierało się do nich, górując nad czarną zasłoną. Wdrapał się wyżej po ziemistej

ścianie i spojrzał w mrok, bezskutecznie szukając wzrokiem sprawcy terroru.

– Czym ty jesteś, Czarny Szczurze? – zapytał szeptem w eter. Zapadnięte, niebieskie oczy skupiły się na jednym punkcie, jakby wiedział, gdzie dokładnie w głębinach nocy bestia ma swoje leże. – Czego od nas chcesz?

Odpowiedział mu szum wiatru, a później przenikliwa cisza uśpionego frontu. Nie wiedział już co sądzić na ten temat, a zadanymi pytaniami złapał się na tym, że wbrew logice, którą kultywował, zaczął wierzyć w istnienie bestii jako rzeczywistego, osobowego tworu. Wbrew trzeźwemu umysłowi, który wciąż starał się dostrzegać jedynie ścianę dymu po ostrzale artyleryjskim.

– Nie wychylaj się bez potrzeby, Sepp – głos Reinharda rozbrzmiał za plecami młodzieńca.

Ten odwrócił głowę, a następnie zsunął się niżej, aż wojskowe buty napotkały grunt. Prusak zachowywał beznamiętny, zimny wyraz twarzy, jakby jako jeden z ostatnich stawiał opór grozie.

– Jest ciemno, nie zauważą mnie. O ile cokolwiek są w stanie zobaczyć zza tej kurtyny.

– Nie raz bywało, że pojedynczy Francuzi podchodzili na tyle blisko, aby dostrzec durnia, któremu wydaje się, że pod osłoną nocy nic mu nie grozi – skwitował, krzyżując ramiona na klatce piersiowej. – Jak myśliwi. Chcesz być ich zwierzyną?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Więc cokolwiek tu robisz, zawsze zakładaj najgorszą opcję.

Oboje nieśpiesznie ruszyli przez okop. Milczeli dłuższy czas, mijając kolejnych straceńców, którzy schodzili z warty lub wędrowali w jakimś innym, bliżej nieokreślonym celu. W pewnej chwili dołączył

do nich Ingo. Blondyn, choć nie ustępował pozostałym w strapieniu i niepewności, był jak zawsze żywiołowy, co podkreślał nieopuszczającym go, pogodnym usposobieniem.

– Pierwsza warta za Seppem. Aż w szoku jestem, że cię diabli nie porwali – zaśmiał się krótko.

– Bywało gorzej, Ingo. – Sepp zerknął na Reinharda, idącego z lekko spuszczoną głową, wyraźnie nad czymś dumając.

– Tam na przedpolu, jak naprawialiśmy zasieki – zaczął Prusak. – Żołnierz, do którego strzeliłeś, był trupem.

– Mierzył do ciebie – odparł Sepp. – Może było ciemno, ale wiem, co widziałem.

– Owszem, ale on… – urwał, zmrużył oczy i pokręcił głową. – Jego ciało pokryte było niezliczonymi szczurami. Szabrowały po nim, jak po przysmaku, jakby karmiły się odorem walki.

– Szczury? Wiem, że tu ich pełno, ale żeby tak całkiem, po walczącym żołnierzu?

– Był jak posąg, nagle zastygł. Nieruchomy i martwy. A te szczury na nim jak…

– Zapowiedź – wtrącił Ingo.

***

Trójka żołnierzy rozdzieliła się przy jamie, którą przydzielono Seppowi. Mieszkało w niej łącznie sześć osób, choć sama powierzchnia w najlepszym wypadku przeznaczona była zaledwie dla czterech. Nawet okopowa prowizoryczność wymagała nakładów pracy i sporej pomysłowości, co skutkowało też tym, że ich rozbudowa nie następowała tak szybko, jak było to konieczne. Ciasne wejście wzmocniono dwoma belkami. Użyto ich także jako stropów

podtrzymujących niski sufit, który z kolei od zewnątrz obłożono siatką i kolejnymi wzmocnieniami. Starannie ociosane wnętrze wyłożono słomą, aby izolowała lokatorów od wilgoci. W starym, pojedynczym kufrze pod ścianą złożono graty codziennego użytku: garnek, pordzewiały czajnik, trochę blaszanych naczyń, a także narzędzia, którymi regularnie naprawiano legowisko. Najistotniejsze jednak było miejsce do snu – składało się z koców, które żołnierze najczęściej zabierali ze sobą z domu. Wielu wykładało je słomą, aby zapewnić sobie możliwie dużo ciepła. Łóżka z prawdziwego zdarzenia były rzadkością, choć bywało, że co bardziej wprawny potrafił przygotować je sobie ze znalezionych w Craonne materiałów.

Pełnia nocy zdążyła już zastać cesarskie okopy. Korytarze prawie całkiem opustoszały. Pozostała jedynie nocna warta i nieliczni, którzy nie chcieli powracać do swoich jam. Sepp ułożył się ciężko na słomianym posłaniu, wcześniej zawieszając stahlhelm na opartym o ścianę karabinie. Czwórka lokatorów również leżała na posłaniach, jedynie ostatni z nich tlił jeszcze leniwie tytoń u wylotu, wpatrując się gdzieś w czerń. Wkrótce jednak i on dołączył do kompanów. Wszyscy spoczywali ciasno ułożeni, rozpychając się w stronę ścian na tyle, na ile mogli, aby wywalczyć choć trochę prywatności i wolnej przestrzeni z dala od innych.

Spali w mundurach, które nosili na co dzień. W razie alarmu musieli być gotowi do szybkiej reakcji na potencjalny atak. Zaduch i smród potu nie odpuszczał, nawet weterani nie mogli się do niego w pełni przyzwyczaić. Żółtodziobom odbierał sen niewiele mniej skutecznie niż inne frontowe niedogodności. Miało to jednak swoją

zaletę, a mianowicie ciepło, którego brakowało zziębniętym, przemoczonym i tonącym w błocie żołnierzom.

Rozległo się chrapanie, ktoś zasnął. Sepp wpatrywał się w sufit, choć nic nie widział w tej ciemnicy. Gdzieś w rogu krople wody jednostajnie kapały, rozbijając się o grunt. Czuł, jak słoma przyjemnie go grzeje. Nie przeszkadzało mu nawet, że kłuje i wdziera się pod ubranie. Zamknął oczy, chcąc zapaść w sen i oderwać się na chwilę od frontowej rzeczywistości. Wyostrzył się słuch, a opad kropel i chrapanie kompana układały się w jego umyśle w prostą melodię, mającą wepchnąć go w objęcia Morfeusza.

Odpływał powoli, wkraczając w krainę odległą od okopowych upiorów i gnającego wszędzie wokół szaleństwa. Wtedy jednak usłyszał dźwięk, który wyrwał go z oków sennej aury. Szczurzy pisk rozległ się tuż obok posłania, na którym leżał. Sepp zerknął w tamtym kierunku, krzywiąc się niemiłosiernie, po czym znów zamknął oczy, ignorując gryzonia. Chwilę później jego uszu dobiegł warkot któregoś z lokatorów, a następnie rumor wściekłego szamotania się.

– Szlag by go, wlazł mi na twarz! – wycharczał wściekle żołnierz.

– Przymknij się i śpij – odparł drugi.

Ponownie zapanowała cisza. Nikt w dłuższej mierze gryzoniami się nie przejmował, były codziennym elementem frontowej rzeczywistości, podobnie jak wszy. Szczurze harce jednak nie ustały. Tym razem milczenie przerwały liczniejsze piski, pochodzące z różnych stron ziemistej jamy. Wybrzmiały pojedynczo, jeden po drugim. Zawtórowały im kolejne, jakby zwierzęta dyskutowały ze sobą nawzajem, a ich rozmowa stawała się coraz żarliwsza. W następnej minucie bardziej przywodziły na myśl pieśń. Nie cichły

ani na moment, a wkrótce popiskiwanie przerodziło się w prawdziwą katatonię dźwięków. Żołnierze zerwali się z posłań, a jeden z nich szarpnął się gwałtownie i jęknął, ugryziony przez gryzonia. Po samych odgłosach dało się ocenić, że szczury dziesiątkami wypełniły pomieszczenie i wszystkie jednocześnie wpadły w jakiś niekontrolowany amok.

Josef trzęsącą się dłonią wydobył zapalniczkę z kieszeni munduru i rozświetlił mrok. Światło uderzyło szóstkę żołnierzy po oczach tak, że musieli je na chwile przymrużyć. Całego legionu szczurów jednak nie dostrzegli, jedynie kilka szczurzych ogonów zniknęło gdzieś po kątach i na zewnątrz jamy. Kompani byli wściekli i siarczyście klęli na sytuację.

– Co to do cholery było? – zawrzał któryś z żołnierzy i obszedł pomieszczenie w poszukiwaniu gryzoni.

– To przez ten piekielny omen – odpowiedział drugi. – Mówię wam, to przez to diabelstwo na niebie.

– Szczury to codzienność w okopach – wtrącił Sepp. – Nie wysuwajmy pochopnych wniosków.

Szturmowcy wałęsali się jeszcze chwilę, potrzebowali paru minut, aby ochłonąć. Ktoś wyszedł zapalić, inny pociągnął spory łyk berbeluchy. Wkrótce jednak ponownie ułożyli się na swoich posłaniach, chcąc zapomnieć o tym, co miało miejsce. Szeroko rozwarte oczy szóstki żołnierzy wpatrywało się w ciemny sufit. Nasłuchiwali każdego szmeru, a wyobraźnia podsuwała im widok dziesiątek gryzoni czających się gdzieś w ciemnościach, aby w dogodnym momencie na nowo rozpocząć harce. Dźwięk skrobania ścian szczurzymi pazurkami wypełniał ich umysły. Czuli przebiegające po ciałach małe łapki. Gdzieś w ciemnościach mignął

długi ogon. Nikt z nich nie wiedział, czy to faktycznie ma miejsce, czy też zmęczone głowy płatają figle. Wiercili się nieustannie w legowiskach, senność rychło wszystkich opuściła.

Na zewnątrz rozległ się oszalały wrzask, a następnie wybuchło poruszenie. To momentalnie zerwało z posłań czujną grupę lokatorów, którzy od razu wypadli z ziemnej jamy, potykając się o siebie nawzajem w ciemnościach. Dostrzegli paru kolejnych żołnierzy, którzy również opuścili swoje miejsca spoczynku. W amoku rozglądali się półprzytomnie po okopie. Tuż przed Seppem przebiegł sierżant z pistoletem w dłoni. Młodzieniec obrócił się za nim, spojrzał krótko po towarzyszach, a następnie podążył tą samą drogą, by sprawdzić, co się dzieje.

Miejscem, do którego zmierzał oficer, okazał się posterunek Karla. Punkt pozostawiony sam sobie, a po snajperze nie było nawet śladu. Na ziemi leżała jedynie łuska pocisku, który wystrzelił po zmianie warty z Seppem. Sierżant rozejrzał się wściekle, a jego wzrok padł w końcu na trójkę żołnierzy, która przyglądała się sytuacji.

– Gdzie szeregowy Karl? – zapytał gniewnie. – Odpowiadać natychmiast!

– Jak boga kocham, sierżancie… – zaczął żołnierz drżącym głosem.

– Do rzeczy!

– Usłyszeliśmy jego wrzask. – Potrząsnął głową i zebrał się w sobie. – Wyjrzałem, a ten susem wyskoczył z okopu, biegiem przez ziemię niczyją i tyle go było widać!

Oficer milczał, aż podszedł do krawędzi stanowiska, by nachylić się i spojrzeć przez szparę na przedpole. Spoglądał tam chwilę,

jednak w mroku nie dostrzegł niczego prócz kolczastego drutu. Mężczyzna wyprostował się i odwrócił się w stronę żołnierzy z surowym wyrazem na zmęczonej twarzy.

– Zaginiony lub martwy – obwieścił sucho.

– To coś wpatrujące się w nas go zabrało – wydusił z siebie żołdak, dalej cedząc przez zęby. – Wezwało go do siebie, tak jak innych, przy pomocy swoich małych, skrobiących ściany sług.

– Na żarty się zebrało, żołnierzu? – odparł oficer, wychylając głowę w stronę rozmówcy. – To staniesz za niego na warcie.

W oczach szturmowca pojawiło się widmo strachu i paniki, a przesądny umysł zaczął przesiąkać najciemniejszymi obrazami, jakie tylko był w stanie sobie wyobrazić. Sepp przysłuchiwał się i przyglądał całej sytuacji. Zdążył polubić Karla, a teraz zapadł się pod ziemię, gdzieś na polu zdarzeń rozciągającym się w ciemnościach przed nimi. Powoli podniósł łuskę i obrócił ją w palcach.

– Ja stanę, panie sierżancie – odezwał się niemrawo.

– Jak cię zwą?

Choć nie było tego widać, oficer odczuł ulgę. Był nie mniej wykończony od swoich podwładnych i nie miał najmniejszej ochoty na przymuszanie zlęknionego żołnierza.

– Szeregowy Josef Fischer, panie sierżancie. – Stanął na baczność.

– Dobra, Fisher, to twoja warta.

Żal się Seppowi zrobiło żołnierza. Chęć na sen w dusznej jamie całkiem opuściła młodzieńca. Oficer ruszył w dalszą drogę, ocierając po drodze czoło, jakby zażegnanie sytuacji sprawiło mu nieopisany wysiłek. Uratowany od warty szturmowiec podszedł bliżej i uścisnął

z Josefem dłoń. Trudno było opisać strach w jego oczach, ale chociaż na chwilę zagościło w uczucie ulgi oraz wdzięczności.

– Uważaj na siebie, Josef. Wielki Czarny Szczur z horyzontu widzi nas doskonale.

– Podobno – odparł krótko Sepp, zerkając na chwilę w mrok za plecami. Zaczynał żałować tego nagłego ataku altruizmu. – Wspominałeś o skrobaniu w ścianach. U was też tyle gryzoni?

– Cała chmara! – odpowiedział, otwierając szerzej oczy, po czym dodał szeptem: – Gryzą, drapią i harcują. Są jego uszami i słyszą nas wszystkich.

***

Pozostał sam ze sobą, po raz drugi na warcie tej doby. Wszelcy gapie zniknęli, ponownie kryjąc się w ziemnych norach. Panowała późna, chłodna noc, z wiatrem smagającym oblicze wojny pozycyjnej. Wysoko położony księżyc z trudem przebijał się swoim światłem przez dymną ścianę. Ledwie niewielka jego część docierała do cesarskich okopów. Poczucie heroizmu zaczęło opuszczać młodzieńca, a zastępowały go zmęczenie i żałość. Nocą pozycje wydawały się być jeszcze bardziej martwe, jakby spisane na straty lub pozostawione same sobie, tak jak ci, którzy ranni dogorywali w błotach pod Verdun. Opuszczeni, cierpiący i straceni.

Sięgnął do stahlhelmu, zabranego ze sobą przed objęciem warty. Ściągnął go i odrzucił na bok, a zaraz po tym otarł twarz dłoniami, zamykając na chwilę oczy. Chłodny wiatr zmierzwił jego rzadkie włosy. Na posterunku czuł się jeszcze bardziej osamotniony, więc odczytywał na nowo list, który napisał do rodziców, aby chociaż w ten sposób przypomnieć sobie o więzi łączącej go z poprzednim,

tułaczym życiem. Trzymał już kawałek papieru w dłoni, gdy kątem oka dostrzegł pojedynczego szczura na okopowej ścieżce. Gryzoń zajadał się resztką żołnierskiej konserwy, wpatrując się paciorkowatymi ślepiami w młodzieńca. Jego długi, łysy ogon ułożył się tuż przy czarnym, dość opasłym ciele. Dwójka przyglądała się sobie, aż Sepp ostrożnie przykucnął na jedno kolano.

– Cześć mały – szepnął, dodając żartobliwie po chwili ciszy: – Patrolujesz okopy, prawda? Jesteś jego sługą?

Zwierzę podniosło się na tylnych łapkach, uważnie obserwując Seppa. Nie wyglądało na przestraszone. Raczej przyzwyczajone do obecności człowieka. Zabawnie, badawczo poruszyło wąsami. Szturmowiec złapał się na tym, że próbuje porozmawiać z gryzoniem. Samotnia, zmęczenie i okropieństwa chyba całkiem wdarły się do głowy.

Sepp podniósł się z pozycji kucającej, kręcąc głową na swoje postępowanie. Tymczasem gryzoń przeszedł kawałek w głąb posterunku, zatrzymując się co jakiś czas, aby przy pomocy wąsów zbadać teren. Wreszcie wdrapał się do wnętrza leżącego na ziemi stahlhelmu, na co młodzieniec uśmiechnął się przez krótką chwilę.

– Jak prawdziwy żołnierz – stwierdził z resztką pogody ducha i westchnął, obracając się w stronę ziemi niczyjej. – My natomiast niczym okopowe szczury.

Cień poruszył się na przedpolu. Sepp, gdy tylko go dostrzegł, od razu chwycił za mausera, a niebieskie oczy rozszerzyły się gwałtownie w przestrachu. Wymierzył, szukając na nowo celu, dłonie jak na zawołanie zadrżały. Usłyszał dźwięk poruszającego się kolczastego drutu. Zwrócił broń w tamtą stronę, a potem znowu w bok, gdy ten sam odgłos rozległ się w innym miejscu. Padło

niemrawe światło księżyca i odsłoniło przed nim widok mężczyzny wplątanego ciałem w gęste zasieki. Od razu rozpoznał charakterystyczny stahlhelm, a później poszarpany niemiecki mundur i leżący u stóp karabin. Po żołnierzu gromadnie harcowały szczury.

– Karl! – wydusił jedynie.

Szczur pierzchnął z chwilowej kwatery w hełmie, jakby w szyderczym geście wobec młodzieńca. Josefa natomiast dobiegły wściekłe warkoty szturmowców, którzy próbowali usnąć w swoich ciemnicach. Jazgot, nieustające drapanie i piski. Ponownie rozpoczęły się szczurze harce, które wprawniej niż najgorszy ostrzał artyleryjski odbierały możliwość snu. Klęli, łkali, wściekle ciskali przedmiotami, bili kolbami karabinów i saperkami. Niestety w tych ciemnościach nie stanowili zagrożenia dla sprytnych gryzoni. Można było odnieść wrażenie, że całe setki szczurów znikąd pojawiły się w kwaterach i transzejach, niczym wewnętrzny, przebiegły wróg.

Sepp usiadł na dnie okopu i podkulił nogi, obejmując głowę ramionami, aby zatkać uszy i nie nasłuchiwać straceńczych wrzasków. Uczynił to w bezsilności, skrajnej beznadziei wobec tej plagi, która wiodła ich wszystkich w odmęty szaleństwa. Nad tym wszystkim, gdzieś ukryty w mroku za jego plecami, dybał na nich wielki, dymny omen.

ROZDZIAŁ VI

O poranku promienie słońca przebijały się do cesarskich okopów. Wielu żołnierzy nie było w stanie dostrzec czarnej ściany przez nocną ciemność. Teraz, o poranku, gdy wynurzyli się ze swoich nor, tumany dymu zdawały się urosnąć jeszcze bardziej. Sięgały wyżej niż poprzedniego dnia. Sam Czarny Szczur, siedzący na swoim tronie u szczytu muru, również przybrał na rozmiarze. W oczach szturmowców przerastał największe europejskie katedry, monumenty minionych wieków. Był większy od średniowiecznych zamczysk, potężniejszy od królewskich i książęcych pałaców, jakby jego celem pozostało zakryć niebo nad całą Europą i wojną, która w niej wrzała.

– Batalion jest w fatalnym stanie, poruczniku – rzekł Ingo. – Sam nie zmrużyłem oka.

Wydawał się bledszy niż zwykle. Podkrążonymi oczami wodził po przechodzących obok szturmowcach. Snuli się jak cienie, bez celu i sensu.

– A żółtodzioby? – zapytał Wilhelm.

Porucznik sprawiał wrażenie wyspanego. Nawet mundur doprowadził do porządku. Jednak wyraźne strapienie zaświadczało, że cierpienia codziennego życia w okopach dotykały go tak samo jak innych.

– Jakby się przeobrażali w nas, frontowców. – Blondyn pokiwał głową na swoje słowa, zaciskając wargi. – Ten omen tak na nich działa.

Stali nieopodal jamy, gdzie swoje legowisko miał Ingo. Palili papierosy. Młodzieniec niemrawo, porucznik nerwowo. Wilhelm zamilkł, zatrzymując spojrzenie na błotnistym gruncie. Zastanawiał się nad czymś. Kolejni szturmowcy mijali dwójkę, przyśpieszając kroku, gdy tylko znaleźli się na tyle blisko, aby dostrzec oficera. Wyglądali coraz gorzej, ich mundury zmieniały się w łachmany. Przechodzący sierżanci salutowali od niechcenia. Nocne, szczurze harce nie dały spać praktycznie nikomu. Nikt też nie widział tak licznych stad gryzoni. Wszyscy winili o to dybiącą na nich bestie o opalowych ślepiach.

– O czym pan myśli, poruczniku? – przerwał ciszę Ingo, skierowawszy wzrok na przełożonego. – O omenie? Wszyscy mówią tylko o nim. Moim zdaniem jest…

– Nie o nim, Ingo – przerwał mu, podnosząc głowę, aby spojrzeć w stronę ziemi niczyjej. – Mam ważniejsze rzeczy na głowie niż upiory i inne bajania.

– Przyzna pan jednak, że utrzymująca się tak długo ściana dymu z diabłem na szczycie jest niepokojąca.

– Pytanie, co na to Francuzi.

– Może się podusili w tej czerni. – Blondyn zaśmiał się pod nosem i łypnął w bok na wychodzącego z jamy Reinharda. Przytrzymywał pickelhaube na swojej głowie, aby z niej nie spadła. – Wujaszek skakałby z radości.

– Żebyś ty zaraz nie wyskoczył z butów – mruknął Prusak. – Dzień dobry, poruczniku – dodał, pochylając się.

Podobnie do kompana Reinhard miał podkrążone, niewyspane oczy, a nieogoloną twarz z długim, pruskim wąsem wykrzywiał grymas bólu i gniewu. W dłoni ściskał pałąg blaszanego wiadra, po

brzegi wypełnionego utłuczonymi nocą gryzoniami. Były ich dziesiątki; od chuderlawych i niedożywionych, po spasione, wielkie szczurzyska. Spojrzał na obu mężczyzn i po chwili odstawił kubeł.

– Coś się szykuje?

Na pytanie Reinharda Wilhelm ponownie zatopił się we własnych myślach, jakby potrzebował chwili w zastanowieniu się nad odpowiedzią. Rzucił niedopałek papierosa w błoto, co zaraz uczynił również Ingo. Blondyn wbił wzrok w porucznika w oczekiwaniu na wyjaśnienie. Ten natomiast ponownie podniósł głowę, zmarszczył czoło i wskazał dłonią w stronę ziemi niczyjej.

– Musimy zrobić rozpoznanie na pozycjach wroga – stwierdził, opuszczając rękę. – Przez ten dym niczego nie widać, żadnego ruchu. Jeśli francuskie okopy opustoszały lub ich siły zmalały do takiego stopnia, że nie są w stanie się obronić, to dobry moment, aby je przejąć.

– Z całym szacunkiem, poruczniku, ale rozpoznanie robimy zazwyczaj nocą – odpowiedział Ingo.

– Owszem – odparł Wilhelm i podszedł bliżej ściany okopu. – Ale wątpię, by cokolwiek widzieli zza tego czarnego muru z, jak to mówiłeś, diabłem na szczycie.

– To polecenie majora?

Odkąd wrócili z pola bitwy pod Verdun, w Ingo cały czas kiełkowała niechęć do dalszej walki. Wcześniej wyróżniał się śmiałością i brawurą, której wielu mogło pozazdrościć, teraz jednak narastała w nim tęsknota za domem, martwił się o chorego ojca, a bezsens i bestialstwo wojny stale go w tych odczuciach utwierdzały. Mimo to wciąż pozostawał lojalny wobec armii, a zwłaszcza towarzyszy broni. Rozłam ten uciskał go coraz mniej.

Wilhelm milczał przez parę sekund nad pytaniem, ponownie zbierając się do odpowiedzi, a raczej decydując, czy faktycznie powinien jej udzielić.

– Major nie jest w stanie dowodzić, ale nie mówcie o tym nikomu.

Ufał tej dwójce, przemaszerował z nimi wiele kilometrów w tej straszliwej wojnie. Nic tak nie zespala jak wspólne lęki, widmo śmierci i przelana krew.

– Więc teraz ty dowodzisz, poruczniku – wtrącił Reinhard, krzyżując ręce na piersi.

– Tak – potwierdził krótko i pewnie Wilhelm. – Zbierzcie dwie grupy ludzi, którzy jeszcze całkiem nie zrośli się z błotem i szaleństwem. Macie kogo zabrać?

Ingo uśmiechnął się ponuro.

– Zawsze się jakiś szturmowiec znajdzie, panie poruczniku.

Wilhelm zdobył się na lekki uśmiech, słysząc słowa Ingo, jednak nie trwało to długo. Podniósł wzrok na dybiącą z horyzontu bestię, która wpatrywała w cesarskie okopy swoje opalowe ślepia. Czuł na sobie ich ukłucie, jakby bez przerwy spoglądała wprost w niego, w każdej możliwej chwili. Milczący obserwator horroru ciał i dusz, który napawał się widokiem piekła wojny pozycyjnej. Totem o szczurzych łapach, trzymający w uścisku te jednolitą maź błota, stali, kości, śmierci i życia.

– Tym razem nie pójdzie pan z nami – odezwał się Reinhard. – Ktoś musi dowodzić na liniach.

– Pójdę. Chcę to obejrzeć z bliska – odparł z przekonaniem. – Widzimy się za dwie godziny. I wywal gdzieś to wiadro, Reinhard.

Wilhelm ruszył w swoją stronę, wkrótce znikając wśród straceńców w stahlhelmach. Ingo i Reinhard spojrzeli po sobie krótko. Przyszło im więc po raz kolejny wejść na ziemię niczyją. O ile blondyn potrzebował chwili, aby się z tym oswoić, o tyle Prusak dobrze rozumiał potrzebę powierzonego im zadania.

– Weź Viktora, Felixa i Jonasa. – Wujaszek chwycił pałąk wiadra i poszedł je opróżnić. – I tego Seppa, wydawał się być jeszcze całkiem zdrowy na łbie – dodał na odchodnym.

***

Josef uchylił powoli niebieskie oczy i sięgnął dłonią do głowy, która aż pulsowała z bólu. Siedział skulony na dnie posterunku, a ciało przeszywał chłód ciemnego poranka. Zasnął tak, kuląc się przez całą noc w grozie, która opanowała cesarskie okopy. Nawet nie zauważył, kiedy zapadł w sen, bo ciągle nasłuchiwał szczurzych harców i szturmowców, którzy w furii próbowali im się przeciwstawić. Tak spędził wartę. Mięśnie miał obolałe, a wzrok mętny i zmęczony.

– Sepp, tu jesteś. Kto cię na wartę wystawił? – Ingo stanął przed młodzieńcem, kręcąc głową zaskoczony. – Przecież odbębniłeś swoje.

– To długa historia – wymruczał niemrawo.

– Później mi opowiesz – stwierdził blondyn i otrzepał ramię Seppa z brudu. – Słuchaj no, wyruszamy na rozpoznanie i zbieramy co bardziej tęgich. Zabierasz się z nami?

– Za dnia?

– Dymna ściana z diabłem chroni nas przed wzrokiem Francuzów. Polecenie porucznika. – Wsparł dłonie na bokach

wyczekująco. – On też idzie.

Sepp skrzywił się i przez krótką chwilę rozmyślał nad słowami Ingo. Tymczasem blondyn wpatrywał się uważnie w twarz rozmówcy. Żal mu było wyciągać tego chłopaka na bezkres ziemi niczyjej, a jednocześnie wiedział, że bez sprawnej, nieogarniętej trwogą drużyny rozpoznanie może zdać się na nic. Nie zaskoczyłaby go odmowa i w pełni by to zrozumiał. Nie posunąłby się do rozkazu, a tym bardziej o powiadomienie któregoś z oficerów o niesubordynacji.

– Pójdę z wami – stwierdził w końcu Sepp i sięgnął po broń.

– U was też tak harcowały?

– Wujaszek wyniósł z rana całe wiadro szczurzysk. Nikt nie zaznał snu. – Blondyn zerknął na horyzont. – Bądź gotowy za półtorej godziny, zjedz coś i zdrzemnij się chociaż chwilę.

Blondyn dziarsko ruszył w dalszą drogę na poszukiwanie ochotników. Naturalnie Wilhelm mógł pokusić się o przymuszenie dowolnych śmiałków do tej wyprawy, jednak miał świadomość w jak ciężkim stanie znajduje się oddział. Obawiał się buntu. Ponadto jakiekolwiek odważne wysunięcie się ponad linię okopów wymagało ludzi zdeterminowanych i gotowych. Poszarpani psychicznie, o całkowicie wymuszonej subordynacji, na nic by się zdali przy takim zadaniu i stanowiliby jedynie niepotrzebny balast.

Josef podążył wzrokiem za Ingo i cicho odetchnął, rozglądając się jeszcze po budzącym się do codziennych obowiązków okopie. Na torpedowanych nieszczęściami straceńców spadło nowe utrapienie: ukradziony przez szczury odpoczynek. Niegdyś wysoko podniesione twarze stały się blade i zapadnięte, ze wzrokiem wbitym w dna transzei. Apatycznie słaniali się na nogach. Widok mroził

młodzieńca za każdym razem, gdy oglądał go na własne oczy. Ranił duszę i umysł, zapadając w nich na zawsze.

– Zmiana warty – usłyszał gdzieś z boku.

Był to żołnierz, któremu wczoraj oszczędził chwili sam na sam z nocą. Choć po zmierzchu wyglądał jak lawina nieszczęść, dzień zdawał się przynosić mu jakąś ulgę. Lękał się ciemności i tego, co w niej skryte.

– Wyśpij się, panie Josef.

***

Stali w równym szeregu, uprzednio podzieleni na dwie grupy. Łącznie czternastu śmiałków, którzy mieli przeprowadzić rozpoznanie. Wyprostowani, wpatrywali się w ziemię niczyją z dybiącym na nich Czarnym Szczurem o opalowych ślepiach. Wybrano tych, których nie opuściła jeszcze determinacja, a wola walki o przyszłość Cesarstwa Niemieckiego dalej była ich priorytetem. Pierwszą drużyną naturalnie dowodził porucznik Wilhelm. Do przewodzenia drugą wybrano jednego z sierżantów. Żołnierze jeszcze raz sprawdzili, czy zabrali ze sobą wszystko, co potrzebne; saperki, granaty ręczne, manierki, maski przeciwgazowe, a przede wszystkim bagnety i mausery.

Porucznik przechadzał się powoli wzdłuż linii, tląc tytoń. Stahlhelmy rzucały ponury cień na zimne, posągowe wyrazy twarzy. Jedynie Ingo uśmiechał się półgębkiem za plecami Wilhelma, aby sprowokować do podobnego gestu Reinharda, ale Prusak pozostawał nieustępliwy. Blondyn wyłącznie w taki sposób potrafił wytrącić z sobie lęk przed rzuceniem się w paszcze śmierci. Sepp oddychał miarowo, wpatrując sie w ziemię niczyją, którą do tej pory widział

jedynie z okopu i jego przedpola. Teraz miało się to zmienić. Żołnierze wyglądali ciekawsko ze swoich jam lub gromadzili się po obu stronach okopowej ścieżki, aby spojrzeć na śmiałków i być może przypomnieć sobie powód, dla którego toną w błocie, skazani na bezwzględne oblicze wojennej apokalipsy.

– Wyruszamy przez ziemię niczyją w celu rozpoznania pozycji i siły wroga – zaczął Wilhelm, odwracając się twarzą do szturmowców. – Dwie grupy w zasięgu wzroku. Pomiędzy sobą trzymamy się w odstępach. Żadnej brawury, robimy swoje i wracamy.

Mówił powoli, uważnie lustrując każdego z żołnierzy. Szukał w nich lęku i wahania, jednak takowych nie odnajdował. Dawna duma oddziału tkwiła w tych ludziach. Mężczyzna również odczuł, że jest na swoim miejscu, tuż przed szeregiem towarzyszy broni, tak jak powinno być. Jego zimny wzrok stalowych oczu wreszcie przemknął na bok.

– Za Kaisera, Boga i Ojczyznę!

– Za Kaisera, Boga i Ojczyznę – odpowiedzieli.

– Nie słyszę!

– Za Kaisera, Boga i Ojczyznę!

– Do dzieła.

Porucznik z sierżantem pierwsi wspięli się po drabinach na przedpole ziemi niczyjej i pognali w dół łagodnego zbocza, wyżłobionego przez liczne deszcze. Za nimi kolejno wspinali się żołnierze, by w odstępach podążyć za oficerami. Wszyscy trzymali głowy nisko, początkowo idąc wężykiem. Gdy minęli linię zasieków, obie grupy oddzieliły się od siebie, a szeregowcy rozproszyli, tworząc również odstępy pomiędzy sobą. W razie ostrzału byli w ten sposób trudniejszym celem dla przeciwnika niż jako zbita grupa. Wilhelm

kucnął i uniósł dłoń, dając znak drużynie, aby ta się zatrzymała. Baczny wzrok oficera przebiegł po terenie. Napięcie wzrosło, wszyscy wsłuchiwali się w ciszę. Nie padł żaden strzał, nie otworzono ognia artyleryjskiego. Martwota, jakby wszelkie życie opuściło zniszczony świat. Wreszcie Wilhelm wykonał gest „naprzód" i grupa podniosła się, ruszając w toń księżycowego krajobrazu.

Ziemia w dalszym ciągu nie zdążyła w pełni odebrać wody, która spadła z nieba przez ostatnie deszczowe dni. Grzęźli więc w gęstym błocie, zostawiając głębokie odciski wojskowych butów. Wszelka zieleń zniknęła z tych terenów dawno temu, wyciosana pociskami i skażona gazem bojowym. Nagie kikuty drzew były pozostałością po swoim dawnym majestacie, niegdyś licznie otaczając Craonne również od tej strony. Teraz niewiele z nich pozostało, prócz tego martwego, żałosnego obrazu. Wiekowe kamienie leżały stertami, wyrzucone na wierzch wymianami ognia lub wymyte deszczem. Tworzyły nieme kurhany jak niegdyś dla pradawnych, pogańskich wojowników. Poświęcone tym, którzy tu polegli.

Poruszali się skokami, wyszukując potencjalnych osłon, za którymi można by schronić się w razie odpowiedzi ze strony francuskiej. Sepp przywarł plecami do drzewa i zerknął zza niego, szukając wzrokiem kompanów. Ingo, kryjąc się w płytkiej transzei, dał mu znak, by ruszał dalej. Młodzieniec postawił krok naprzód i usłyszał charakterystyczne chrupnięcie pod ciężkim butem. Serce uderzyło jak młot, wzrok pognał ku ziemi. Dostrzegł nagą, zmiażdżoną przez siebie czaszkę, która częściowo była przykryta przez warstwę błota. Tuż obok sterczał widoczny kawałek pordzewiałego stahlhelmu.

Oddech przyśpieszył, a zapadnięte oczy rozszerzyły się w zlęknionym wyrazie. Cofnął nogę i zastygł w bezruchu, dociskając się mocniej plecami do drzewa. Pobladł, oblał go zimny pot. W panice przebiegł wzrokiem ku zachmurzonemu niebu.

– Sepp, co z tobą? – syknął Ingo i jeszcze raz machnął ręką do kompana. – Rusz się.

Żółtodziób jednak ani drgnął na wołanie. Kończyny odmówiły mu posłuszeństwa, ciało natomiast było niczym bryła lodu, kompletnie zmrożone widokiem. Płytki, spazmatyczny oddech rozdzierał powietrze. Doskoczył do niego Reinhard i mocno ścisnął ramiona młodzieńca, aby nim potrząsnąć. Grobowy wyraz twarzy Prusaka zdawał się w oczach Seppa zupełnie zamglony. Młodzieniec czuł, jak błoto wdziera się pod mundur, zakrywa twarz i wszelkie światło. Weteran chwycił twarz nieszczęśnika w dłonie i ponownie potrząsnął.

– Uspokój się, Sepp. Oddychaj. To tylko kości – rzekł w oszalałe, zwierzęce oczy. – Oddychaj razem ze mną.

Twarz zdążyła osiągnąć kolor kredy. Sepp zwolnił oddech i zaczął go powtarzać za Reinhardem. Głęboko, napełniając płuca po brzegi, aż stopniowo udało mu się unormować kolejne powtórzenia. Wujaszek poklepał młodzieńca po policzku i ściągnął dłonie, gdy ten odzyskał rezon, a jego umysł powrócił do rzeczywistości.

– Słodka wojenko, co? – prychnął weteran i dogonił posuwającą się coraz dalej drużyną.

Josef potrzebował jeszcze krótkiej chwili, zaraz jednak podążył za resztą żołnierzy, zostawiając nagą czaszkę za sobą.

***

Wraz z pokonanym dystansem napotykali coraz więcej kolein. Rok 1916 bratał się już dawno z taktyką nacierania za zaporą ognia. Artyleria wstrzeliwała się w pozycje, rozpoczynano szturm, a żołnierze atakowali okopy przeciwnika, osłaniani przez dziki warkot dział. Na tyłach ogromnej, pełzającej ściany żelaza i płomieni gnali jako najeżony bagnetami finał bitewnej symfonii.

Przemierzając kolejne metry, zdali sobie sprawę, że robi się ciemniej. Im bliżej wielkich kłębów dymu znajdowali się, tym więcej przysłaniała im słońca, które w dodatku kryło się za chmurami. Czarny Szczur górował nad szturmowcami jak sięgający nieba, ruchomy monument wojny. Śledził każdy ich krok opalowymi ślepiami, niezależnie od tego, za jakim elementem terenu próbowali się ukryć. Mimo że przeszli już sporą odległość, nie dostrzegali okopów przeciwnika. Dymna ściana wyrastała tuż przy glebie, gdzie legły cesarskie pociski. Zasłaniała miejsca położenia potencjalnych zasieków i przedpola, a sama pozycja wroga tym bardziej nikła w gęstych smugach u stóp bestii.

Za plecami nie dostrzegali już własnych okopów, a do tych przed nimi brakowało im więcej, niż mogła sięgnąć kula z pistoletu. Ominęli łukiem jezioro utworzone w ciągu ostatnich paru dni przez szukającą ujścia deszczówkę. Stojąca woda szybko stawa się płytkim, brudnym bagniskiem ze sterczącymi z jego tafli gałęziami, konarami i niewypałami pocisków artyleryjskich. Wilhelm ponownie zatrzymał drużynę i przykucnął, co uczynili również pozostali. Stalowy wzrok przebiegł po krajobrazie wokół i wtedy też wszyscy zdali sobie sprawę, że stracili z oczu drugą drużynę, która jeszcze przed paroma chwilami przemykała po prawej stronie niczym cienie. Teraz jednak nie uświadczyli żadnego ruchu.

– Widzi ktoś ich? – zapytał porucznik.

– Ani śladu, panie poruczniku – padła odpowiedź od Ingo.

– W tej ciemnicy niewiele widać – dodał Reinhard.

Przez dłuższy moment nie ruszali się z miejsca. Ani jednego dźwięku prócz szumiącego wiatru. Tylko oni i dybiący z czarnego muru szczurzy omen.

– Zapadli się pod ziemię – skomentował któryś ze szturmowców.

– Muszą gdzieś być – odparł półszeptem Sepp.

– Nie mamy czasu, podejdziemy bliżej. Może już czekają na pozycji – padło polecenie porucznika.

Żołnierze zaczęli podnosić się na gest dłoni. Wilhelm już sam miał stanąć na wyprostowanych nogach, gdy jego uwagę przykuł przeskakujący nieopodal szczur, który zaraz zniknął pomiędzy kamieniami. Nagle padł dźwięk wystrzału, a kula świsnęła tuż nad głową porucznika, obalając jednego ze szturmowców za plecami. Bolesny skowyt rozdarł powietrze, a ciało legło w błocie.

– Strzelec! – ryknął oficer. – Kryć się!

Żołnierze zerwali się ze swoich miejsc. Nikt nie widział, skąd padł strzał. Wilhelm ruszył gwałtownie w stronę pobliskiej koleiny, za nim pognali Ingo i Reinhard. Jeden z pozostałych szturmowców ani drgnął, choć usilnie próbował. Szybko zdał sobie sprawę, że obuwie całkiem zapadło się w błoto, które łaknęło nowych ofiar na swoim ołtarzu. Wyrwał jedną nogę, zostawiając but w ziemistej mazi. Już chwycił drugą, gdy padł kolejny strzał i powalił uwiązanego straceńca w miejscu jego kaźni. Sepp znieruchomiał, ogarniała go panika. Za ramię chwycił go ostatni z członków drużyny.

– Rusz się, do cholery! – warknął wściekle, ciągnąc w stronę transzei, do której stoczyła się już pozostała trójka z oficerem.

Wyrwana w ziemi koleina wydała się Seppowi najodleglejszym miejscem na świecie, choć faktycznie położona była może kilkanaście metrów od niego. Biegli we dwoje z pochylonymi głowami, wystawieni jak na strzelnicy. Buty zapadły się w błocie, a umysły całkiem opanowała adrenalina, mieszająca się ze strachem. Zaglądali w oczy śmierci. Padł kolejny, bezwzględny strzał. Żołnierz wskoczył do dołu, mało nie tratując przy tym Ingo.

Sepp oberwał w ramię i legł na ziemi jakieś pięć metrów od bezpiecznego leja. Jego bolesny wrzask przeszył ciała towarzyszy na wskroś. Zamroczony bólem i szokiem podczołgał się pośpiesznie pod jeden z wielu sterczących głazów, przylegając się do niego tak mocno, jak tylko potrafił. Skulił się. Nie mógł uspokoić oddechu, który urywał się przy każdej fali bólu pochodzącej z postrzału. Niebieskie, wytrzeszczone w panice oczy utkwił w ziemi; najpierw zaszły mgłą, potem ciemnością, a krzyki towarzyszy nikły w tle. Wreszcie stracił przytomność.

***

Front ponownie zamarł po krótkiej chwili przebudzenia. Wiatr zupełnie ustał, a cisza na nowo stała się niematerialną królową ziemi niczyjej. Czas sięgał już popołudnia, gdy ocalali znaleźli się w potrzasku wewnątrz szerokiego leja. Czwórka żołnierzy nie podnosiła się ani o centymetr ponad jego krawędź, leżąc płasko, dociśnięci do lepkiej, mokrej gliny. Ta szybko przywierała do mundurów, nasączała materiał brudem, a skórę zimnem. Na dnie krateru zebrała się duża kałuża nieprzejrzystej wody, przypominając niewielkie, porośnięte bajoro. Spływało do niej wszystko, co udało się porwać uciekającej w zagłębienia deszczówce.

Adrenalina opuściła ciała, oddechy zwolniły. Szturmowcy zdawali sobie sprawę, że strzelający do nich snajper z pewnością zna ich pozycję i jakakolwiek próba ucieczki z wgłębienia skazana jest na porażkę. Nawet przebiegając od transzei do transzei, mogli zostać wystrzelani jak kaczki. Dybiący na nich szczur o opalowych ślepiach pozwalał przemknąć się niewielkiej ilości światła. Dzięki temu, że słońce stało wysoko na horyzoncie, docierało do nich więcej promieni niż przed godzinami.

– Sepp! – krzyknął Ingo i rzucił kamyczkiem w nieprzytomnego żołnierza. Ten jednak ani drgnął, siedząc ze spuszczoną głową, dociśnięty plecami do głazu.

– Stul pysk, Ingo – syknął Reinhard i łypnął spode łba w stronę przykutego do kamienia młodzieńca. – Trzeba pomyśleć, jak go stamtąd zabrać.

Mundur na ramieniu Seppa przesiąknięty był krwią. Towarzysze zauważyli, że jego klatka piersiowa unosiła się miarowo, a więc żył. Zadrżały kończyny, co potwierdziło, że powoli się wybudzał. Stahlhelm poszurał o głaz, następnie rozległ się urywany kaszel. Zamroczone oczy uchyliły się, a głowa podniosła niemrawo. Sepp czuł suchość w ustach i przeszywające zimno na całym ciele. Umysł pozostawał otępiały, czemu towarzyszył silny ból głowy. W pierwszej chwili nie zdawał sobie nawet sprawy, gdzie się znajduje. Dopiero gdy poruszył postrzelonym ramieniem, młodzieńca przeszły bolesne spazmy i przypomniał sobie, że przebudził się w koszmarze.

– Nie ruszaj się, Sepp – padło polecenie od porucznika. – Strzelec ma na nas oko.

Sepp otworzył szerzej oczy w przestrachu i mocniej podkulił pod siebie nogi, słysząc słowa Wilhelma. Rozejrzał się szybko na boki

i dostrzegł dwa leżące w błocie ciała żołnierzy. Oddech na nowo przyśpieszył, a wzrok końcowo utkwił w koleinie, gdzie przebywali towarzysze broni. Nie wydusił z siebie ani słowa.

– Gdzie on właściwie jest? – zapytał Ingo. – Widział ktoś skąd padły strzały?

– Nie z okopów – odparł porucznik i jeszcze raz odrobinę uniósł głowę, aby się rozejrzeć. – Strzelano gdzieś z pozycji drugiej drużyny.

– A raczej z pozycji, gdzie powinna ona być – dopowiedział Reinhard.

– Psia krew, mają ich. – Pokręcił głową czwarty szturmowiec okupujący koleinę.

Wilhelm wypuścił ciężko powietrze przez nos i potarł gliniastą ziemię otwartą dłonią, mrużąc gniewnie stalowe oczy. Uznawał w życiu dwa rodzaje hańby: odwrót wynikający z tchórzostwa oraz przygwożdżenie bez szansy przeciwdziałania mu. Zacisnął palce w pięść i uderzył w breje.

– Granaty. – Spojrzał po podwładnych. – Zróbcie wiązki granatów. Stworzymy zamieszanie i Sepp zdoła przeskoczyć.

– Mogą uznać, że atakujemy, panie poruczniku – rzekł Ingo, lekko unosząc policzek z błota. – Zwrócimy na siebie uwagę posterunków.

– Nie dyskutuj – wtrącił Reinhard i sięgnął po zabrane przez siebie granaty.

Pozostali żołnierze również zaczęli ściągać granaty trzonkowe. Wersję M15 wprowadzono niedawno, a oddziały szturmowe jako jedne z pierwszych miały szansę się z nią zapoznać. Zazwyczaj zabierali ze sobą po trzy egzemplarze tej broni. Kolejnym elementem były sznurówki wojskowych butów, które najpierw zdjęto,

a następnie starannie obwiązywano wokół trzonków, aby te trzymały się razem.

– Sepp, przygotuj się – zawołał porucznik. – Przeskocz na dźwięk eksplozji.

– To zły pomysł, panie poruczniku – rzekł Ingo, nie kryjąc swoich obaw. Mimo wszystko trzymał już gotową wiązkę granatów.

– Mówiłem, stul pysk i rób swoje – wtrącił ponownie Reinhard.

Młodzieniec jedynie pokiwał nerwowo głową na słowa Wilhelma i jeszcze raz zerknął w bok, na ciała poległych szturmowców. Za chwilę mógł stać się jednym z nich. Na zawsze utonąć w błocie ziemi niczyjej. Zamienić się w szkielet, tak jak żołnierz, którego czaszkę rozdeptał. Przyjdą kolejni, nowy pobór i któryś z nieopierzonych również odnajdzie w ten sposób jego kości – ofiarę tej gigantycznej machiny śmierci. Lub też nikt do końca wieku nie spostrzeże jego szczątków i na zawsze już tak pozostanie.

– Gotowi? – Oficer spojrzał po wszystkich żołnierzach. – Teraz!

Szturmowcy odbezpieczyli po jednym granacie trzonkowym we wiązce, a następnie pociągnęli za zawleczki. Sekundę później każdy cisnął najdalej, jak potrafił, przygotowany przez siebie ładunek. Te zaś pognały nad głową Seppa, w stronę pozycji, skąd ustalono, że przeciwnik strzelał. Jedynie Wilhelm posłał swoje granaty w kierunku okopów, w razie nietrafności tych ustaleń. Wszyscy skulili się, zasłaniając uszy. Rozległy się dźwięki gwałtownych, rozrywających huków, a eksplozje podrywały tumany ziemi ku niebu, chwilowo przysłaniając widok. W tym momencie Sepp zerwał się z miejsca i ruszył biegiem do bezpiecznej transzei.

Padł strzał i jak słusznie spostrzegł porucznik, pochodził on z pozycji, gdzie powinna znajdować się druga drużyna niemieckich

żołnierzy. Sepp oberwał w udo i z krzykiem zwalił się na błotnistą maź tuż przy krawędzi transzei. Twarz wykrzywiła się w żałosnym wyrazie. Ból ponownie rozdarł jego ciało w spazmach uniemożliwiających jakikolwiek ruch. Rany wrzały, jakby zatapiano w nich rozżarzone do czerwoności ostrze.

Ocalały szturmowiec wychylił się gwałtownie z rowu i chwycił młodzieńca za fraki, ciągnąc mocno, aby wrzucić go do transzei. Wtedy też rozległ się dźwięk kolejnego wystrzału, a śmiałek legł trafiony w klatkę piersiową i potoczył się po ścianie krateru wraz z Seppem. Ten wbił mocno palce w gliniastą maź i zatrzymał ich ciała dwa metry od bajora na dnie.

Pas krwistej brei znaczył ścieżkę dwójki żołnierzy. Zastygli w bezruchu, oblepieni od stóp do głów lepkim błotem. Szturmowiec zaniósł się płytkim, urywanym kaszlem, jakby z każdym gasnącym wydechem ulatywało z niego życie. Sepp zadrżał i daremnie próbował podciągnąć się odrobinę wyżej razem z towarzyszem, którego trzymał ranną ręką. Dopiero Ingo chwycił młodzieńca pod zdrowe ramię. Zapierając się butem i ryjąc nim w ziemi, podniósł kompanów w wyższe partie koleiny.

– Zostaw go, trup – rzucił niedbale Reinhard do Seppa, gdy spojrzał krótko na szturmowca.

– Oddycha! – krzyknął słabo młodzieniec i położył się na plecach, samemu łapiąc bolesny oddech.

Postrzelony w klatkę piersiową śmiałek leżał bezwładnie, co chwilę plując krwią. Blady jak ściana z trudem utrzymywał otwarte oczy, których źrenice rozszerzyły się w szoku. Jego oddech stawał się coraz rzadszy i trudniejszy w wykonaniu, brakowało mu siły na przyciskanie rany. Prusak spojrzał na rozglądającego się po ziemi

niczyjej Wilhelma. Porucznik kiwnął jedynie głową, widząc wzrok towarzysza broni. Reinhard na ten znak dobył pistoletu i bez ostrzeżenia wypalił w głowę rannego nieszczęśnika.

Rozległ się przerażony wrzask Seppa, a ciało martwego żołnierza potoczyło się ponownie po ścianie koleiny, aż zatrzymało się u dna, nogami wpadając w bajoro. W tej pozycji nieboszczyk wyglądał, jakby próbował daremno wyrwać się z uścisku bezdennej, brudnej kałuży. Ingo wściekle doskoczył do Prusaka, ale zatrzymał się przed wymierzoną w niego bronią.

– Mogliśmy tamować krwawienie! – krzyknął rozzłoszczony.

– Mówiłem, stul pysk – odparł Reinhard. – Lepiej zajmij się żółtodziobem.

– Dlaczego pan na to pozwolił, poruczniku? – wydusił z siebie leżący na plecach Sepp.

– Nim wyjdziemy z tej koleiny i dotrzemy do naszych okopów, śmierć i tak by go zabrała – odpowiedział spokojnie Wilhelm, dalej patrząc po ziemi niczyjej i szukając wzrokiem strzelca. – Reinhard skrócił jego cierpienia.

– Tak nie wolno, poruczniku. Nie nam decydować, kto i kiedy ma umrzeć. – Potrząsnął niemrawo głową. – Żal was zeżre za ten czyn.

– Dobry żołnierz nie czuje żalu.

ROZDZIAŁ VII

– Przebudź się, majorze, to już czas. Dowództwo zezwoliło na atak. Pułkownik jest pod wielkim wrażeniem pańskiego zaangażowania i inicjatywy.

Chropowaty głos niósł się z wiatrem, docierając do uszu Matthiasa. Mężczyzna przebudził się i niechętnie uchylił ciężkie powieki, a zamroczony przed oczami świat zatoczył się jak obracany zębatym kołem. Podnosząc się, major szybko zdał sobie sprawę, że znajduje się na niewielkiej, drewnianej łódce. Dryfowała po jeziorze sięgającym tak daleko, że aż łączyło się z horyzontem. Woda była cicha. Kołysała się przy delikatnych podmuchach rześkiego powietrza. Niebo pogodniało, bez ani jednej chmury, ze słońcem ciepło obejmującym strudzoną twarz oficera.

Rozejrzał się powoli wokół. Szeroko rozwarte oczy napełniły się niepewnością, a zarazem jakąś ulgą. Umysł miał czysty, jakby wszelkie potworności wojny z niego uszły. Nie czuł dudnienia kołaczącego serca i ścisku w brzuchu, które nie pozwalały ani usnąć, ani też skupić się na czymkolwiek. Spojrzał po sobie i ujrzał czystość pruskiego munduru oraz starannie wyglancowane buty. Wszelkie rany na dłoniach zniknęły. Nawet oficerska szabla, jego duma, którą często ze sobą nosił, pozbyła się brudu i szczerb.

Płynąc, ujrzał na horyzoncie potężny posąg z białego kamienia, który sterczał wprost z tafli wody. Jego ogrom stawiał opór wiatrom. Gdy oficer zbliżył się, dostrzegł wszelkie szczegóły, w tym przepastną, królewską szatę, zdobioną orłami i krzyżami. Starannie

obejmowała monument, potęgując wrażenie kolosalności. Na skroniach postaci spoczywała korona, a surową, zmartwioną twarz wieńczyła długa, gęsta broda. Kamienne spojrzenie utkwione było w krajobrazie, jakby w wyczekiwaniu na daleką i niebezpieczną podróż, gdzieś na kraniec świata.

Matthias, przepływając obok posągu, przyglądał mu się z fascynacją i zaciekawieniem. Wzrok pobiegł po starannie wykonanych, niemieckich symbolach, następnie wzniósł się ku cesarskiej koronie i długiej brodzie, aż zatrzymał się na ostrych rysach i oczach mędrca. Oficer szybko zdał sobie sprawę, że rzeźba przedstawia Fryderyka Barbarossę, pierwszego niemieckiego cesarza, który przed wiekami zorganizował III krucjatę, aby wraz z królami Francji i Anglii wyruszyć do ziemi świętej. W trakcie tej trudnej wyprawy utonął w rzece Salef, na wieczność pozostawiając w niej swoje kości.

Tuż za wspaniałym monumentem jezioro zaczęło ciemnieć, podobnie jak wcześniej czyste niebo. Major jednak nie odrywał wzroku od posągu i dopiero po dłuższych chwilach dostrzegł również, że samo jezioro stopniowo zwężało się, a brzeg po obu stronach zasnuła mgła. Jedynie przed sobą i za plecami widział bezkresny horyzont, który mrocznieją, stopniowo przechodził w czerwień. Woda również nabrała tego koloru. Jej nurt stawał się coraz bardziej porywisty, a wiatr niespokojny. Jaskrawa barwa krwi wkrótce ogarnęła cały krajobraz, a tafla, po której łódka gnała jakby niesiona tajemniczą siłą, stała się szkarłatna.

Lęk ogarnął majora. Niepokój wzmógł się, a rzeczywistość przekształcała się z każdą chwilą. Na prawo ujrzał rycerskie hełmy i strzaskane tarcze topiące się w wodzie. Z dna niczym trzciny

sterczały złamane włócznie i chorągwie poległych krzyżowców. Mężczyzna daremnie skulił się w sobie, uwięziony w łodzi. Z lewej strony dostrzegł nagie szkielety germańskich plemion, które pobiły Rzymian w teutonburgskich lasach. Zląkł się pogańskiej wrzawy. Niosła się już zewsząd, jak jeden wielki skowyt wojny. Fragmenty wspaniałych zbroi, obtoczone resztkami krzyżackich tabardów, tworzyły przeszkody na jego drodze. Na widok pruskich mundurów, w które zaplątały się kości ich właścicieli, przeszedł go dreszcz. Pamiętały czasy wojen z Napoleonem Bonaparte.

Najgorsze miało jednak dopiero nadejść. Jezioro przybrało kształt szerokiej, porywistej rzeki. Hektolitry czerwonej cieczy porwały łódkę, która o dziwo omijała wszechobecne skały. Tu, jedynie spomiędzy ramion, którymi osłaniał głowę, oficer dostrzegał stosy pikelhaub i pordzewiałych stahlhelmów, licznie osadzonych na nagich czaszkach setek, a wkrótce tysięcy żołnierzy. Piętrzyły się spod tafli dużymi stosami, tworząc kopce. Całe szkielety, mausery i bagnety zdobiły dno szkarłatnej wody. Wszechobecna mgła całkiem przysłoniła brzeg, który jedynie majaczył po bokach. Gdy Matthias choć odrobinę uniósł głowę, ujrzał przed sobą górujący nad wszystkim gigantyczny monument w ciężkim, oficerskim płaszczu i pozłacanej pikelhaubie. Był to Wilhelm II Hohenzollern, jego Kaiser, który sprawował pieczę nad niemieckim narodem połączonych krain. Wskazywał potężną dłonią w stronę majora, a jego stalowe, zimne spojrzenie przepełnione było triumfem woli. Osobliwy bóg wojny, u którego stóp znajdował się kraniec wszelkiej podróży i życia. Urwisko z wodospadem.

Przerażony Matthias wzniósł błagalnie dłonie ku Kaiserowi, a oczodoły czaszek żołnierzy, ziejące ciemnością na swych stosach,

niemo wpatrywały się w majora, jakby oglądały ostatni akt spektaklu.

– Nicht mehr schande – usłyszał głos, który uprzednio wybudził go ze snu. – Nigdy więcej hańby.

Tuż przed urwiskiem zamknął oczy, gdy miał runąć wraz z wodospadem. Bezkresna otchłań ciągnęła się w nieskończoność. Czekał na uderzenie, lecz to nie nadchodziło. Mknął jedynie z szaleńczym hałasem, który ranił słuch. Czuł, że jest coraz bliżej i gdy był pewien, że zaraz rozbije się o skały, tych nie napotykał. Wreszcie dźwięk wody zaczął słabnąć, aż całkiem zamilkł. Wszechogarniającą ciszę rozdarł nagle odgłos landsknechckiego werbla.

Matthias oderwał gwałtownie głowę od blatu biurka. Ponownie znajdował się w swojej kwaterze w trzecim rzędzie okopów. Z trudem przyjmując do wiadomości, że to jedynie sen, zlękniony rozejrzał się po półmroku ziemnej jamy. Dłonie zadrżały, a ciałem wstrząsnęły dreszcze. Opętany, szalony i zmęczony wzrok utkwił wreszcie w wyjściu. Nasłuchiwał chwilę dźwięków codziennego życia tych przeklętych transzei. Wkrótce schował twarz w rękach, by bezsilnie w nie zaszlochać.

***

Wieczór zapadł nad ziemią niczyją szybciej niż zwykle. Rzucająca ciemność wielka ściana dymu niczym łakoma bestia pożerała światło, jak niegdyś w starych podaniach o bogach, którzy ścierali się między sobą. W dawnej symbolice nocy i poranka, światła i cienia. Słońce zwyciężane przez czerń, by nazajutrz ponownie narodzić się w blasku i znów stanąć do walki w tych odwiecznych

zmaganiach. Im bliżej był Wielki Czarny Szczur, tym trudniej było blaskowi stanąć z nim w szranki. Promienie słońca zdawały się lękać potwornego majestatu bestii i unikały zbliżania się do niej.

Czwórka żołnierzy w dalszym ciągu przebywała w szerokiej transzei, przygwożdżona przez czającego się gdzieś snajpera. Przez ten czas Ingo wydrążył saperką lekkie wgłębienie w ziemistej ścianie, aby osadzić tam Seppa. Zabrał się też za opatrywanie jego ran. Mieli ze sobą jedynie podstawowe opatrunki, które i tak rzadko się przydawały. Większość rannych nie powracała już z ziemi niczyjej. Napięcie wywołane za sprawą dobicia przez Reinharda piątego ze śmiałków zdążyło opaść. Wilhelm z Wujaszkiem rozglądali się po terenie, wychylając oczy jedynie na chwilę, na stałe zespoleni ze swoim więzieniem. Szukali strzelca, jednak nigdzie nie było go widać. Przeszło im przez myśl, że być może wycofał się z powrotem do okopów po upolowaniu paru ofiar, jednak było to ryzykowne stwierdzenie. Równie dobrze mógł łaknąć ich więcej.

Myśl o pojawieniu się drugiej drużyny całkiem opuściła szturmowców. Jedynie gdzieś z tyłu głowy zastanawiali się nad tym, co mogło się wydarzyć, że zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię. Tymczasem Seppowi obmyto rany i starannie obwiązano je bandażem. Miał sporo szczęścia w nieszczęściu, bo kula, która trafiła go w udo, ominęła tętnice. Mimo tego Ingo nie był w stanie wyciągnąć pocisków z jego ciała i tylko szpital polowy mógł cokolwiek na to zaradzić. Ten jednak znajdował się daleko w tyle drogi, którą przebyli do obecnej pozycji. Pobladły ranny popijał niewielkie łyki z manierki. Ból, choć częściowo ustąpił, powracał w całej sile przy każdym gwałtowniejszym ruchu.

– Niebawem zapadnie noc – stwierdził Wilhelm z górnych partii transzei. – To będzie nasza szansa, by się stąd wydostać.

– Kawał drogi, panie poruczniku – odpowiedział Ingo, unosząc wzrok ku oficerowi. – Sepp może nie dać rady się czołgać.

– Nie będzie miał innego wyjścia.

Josef dobrze zdawał sobie sprawę ze swojego trudnego położenia. Był obciążeniem dla drużyny i gdzieś w podświadomości zaczął się przyzwyczajać do myśli, że być może przyjdzie mu tutaj zgnić. Lękał się tej myśli i odganiał ją, a jednocześnie spojrzenie opalowych ślepi bestii, gdzieś tam, znad krawędzi koleiny, sztorcowało go, by traktować śmierć jak sojusznika. To uczucie nie towarzyszyło wyłącznie Seppowi. Pozostałej trójce również wlewało się do serc z każdą kolejną chwilą.

Wieczór prócz bólów i trudów przyniósł ze sobą deszcz. Była to mżawka, łagodnie opadająca na stahlhelmy. Jednak żołnierze odczuli ją niczym istny huragan. Ziemia jeszcze bardziej nasiąkała wilgocią, choć wydawało się to niemożliwe. Breja już bez najmniejszego trudu przyczepiała się do mundurów. Sepp zazgrzytał zębami z zimna, Ingo uniósł wzrok ku niebu i posłał nieme przekleństwo, a Reinhard gniewnie trzasnął pięścią w ziemię. Jedynie porucznik pozostawał niewzruszony, wpatrując się w narastającą ciemność, oczekując, aż dobije konające słońce.

***

Zapadała noc, co jednocześnie cieszyło i przynosiło zmartwienie. W mroku zawsze coś się czaiło. Od początku wojny w okopach żołnierze byli przyzwyczajeni, że wróg może czyhać w ciemnicy, tuż pod ich nosem, czekając jedynie na dogodny

moment. Z lęku nikt nie wkraczał w jej odmęty, a jeśli to czynił, często towarzyszyło temu uczucie, że coś jest tuż za plecami.

– Ruszamy, poruczniku? – zapytał Reinhard, zmieniając brudny bandaż Seppa. – Przyszła noc.

Odpowiedziała mu cisza. Trójka siedziała niżej w koleinie i jedynie oficer obserwował teren. Brak odpowiedzi sprawdził, że podnieśli ku niemu wzrok. Jego zastygłe ciało ani drgnęło i gdy już mieli ponownie go przywołać, ten zsunął się odrobinę niżej, spoglądając po swoich ludziach. Upiorny, zimny wyraz twarzy nie zwiastował niczego dobrego i znając Wilhelma, od razu zdali sobie sprawę, że nie ma dla nich dobrych wieści. Bez słowa podniósł dłoń na horyzont i ciężko wypuścił powietrze. Ingo spojrzał po towarzyszach, jakby mieli mu wyjaśnić, co oznacza ten gest. Następnie wczołgał się po ścianie koleiny i spojrzał na krajobraz.

– Księżyc – syknął. – Cholerna pełnia.

– Co z nim? – zapytał Sepp, kuląc się z zimna.

– Światło – odparł szorstko oficer. – Rzuca światło.

Reinhard pokręcił gniewnie głową, z mżawką spływającą po jego pikelhaubie. Prędko wspiął się po ścianie, aby samemu spojrzeć na ogłoszoną katastrofę. Gdy zerknął na horyzont, dostrzegł wyłaniający się księżyc. Ociężały, powoli odkrywał przed żołnierzami swoje oblicze, częściowo przysłonięty przez dymną ścianę. Płynął w stronę siedzącego na tronie szczura. Wreszcie zawisł, częściowo przykryty przez łeb bestii, która przepuszczała jedynie część światła zakrytego fragmentu.

– To jakiś ponury żart – wymamrotał Prusak, a jego ciężkie spojrzenie podążyło kolejno po kompanach.

– Czeka nas noc w tej koleinie – dodał Sepp, spuszczając wzrok na błotnistą maź wokół jego butów.

– Może wcale go tam nie ma – zastanowił się Reinhard, milknąc na chwilę.

– Kogo?

– Cholernego strzelca, durniu.

Blondyn skrzywił się na słowa rozmówcy. Zastanawiał się w milczeniu, chwilę wpatrzony w bajoro poruszone mżawką i trupa stopniowo osuwającego się w brudną taflę, jakby coś go pożerało. Nagle splunął na bok i klepnął Reinharda w bark.

– Sprawdźmy – rozbrzmiało zdecydowane hasło z jego ust.

Pozostali zwrócili spojrzenia na młodzieńca z większą lub mniejszą nadzieją. Ingo, orząc butami ziemistą breje, zsunął się sprytnie na samo dno koleiny, aby w końcu znaleźć się przy trupie. Chwycił pod ramiona martwe ciało kompana i spróbował wyciągnąć je na stały grunt. Odwrócił przy tym głowę, nie mogąc patrzeć na śmierć, mimo że od początku wojny miał z nią do czynienia prawie każdego dnia. Jedni całkiem tracili wobec niej jakiekolwiek emocje, stawali się gruboskórni. Innych dopadało szaleństwo od zbyt częstego jej oglądania, a nieraz nieodwracalny szok nachodził już przy pierwszym kontakcie. Tacy jak Ingo zachowali czysto ludzkie odruchy.

Zdali sobie sprawę, co kombinuje blondyn. Porucznik pośpieszył, aby pomóc mu wyciągnąć ciało kompana z bajora. Buty zaparli o błoto, które rozłaziło się na wszystkie strony pod naciskiem, wciągając obuwie. Przy mocnym szarpnięciu Ingo stracił równowagę i upadł, a po chwili wpadł w brudną taflę. Chluśnięcie ujawniło, że kałuża jest znacznie głębsza, niż sądzono; gdy stanął na

wyprostowanych nogach, woda sięgała mu do pasa. Siarczyście przeklął i mokrym rękawem przetarł twarz. Już miał sięgnąć ku krawędzi zbiornika, gdy nagle zastygł w bezruchu. Zielone ślepia podążyły w dół, spoglądając w ciemne dno.

– Rusz się, Ingo. Co z tobą? – syknął Wilhelm, prostując się. Ciało nieboszczyka leżało już u jego stóp. Blondyn cofnął się powoli o parę kroków. Oficer podszedł bliżej, by spojrzeć, co takiego dostrzegł jego towarzysz.

Przez odmęty brudu spoglądali na ledwie widocznie majaczącą biel. Porucznik ukucnął i wychylił się mocniej w stronę wody. Pozostali nie odrywali od dwójki wzroku. Wsunął dłoń w taflę i sięgnął do znaleziska, zaciskając na nim palce. Następnie powoli oderwał od podłoża, a gdy to uczynił, dostrzegł o wiele więcej białych kształtów, kryjących się w brudnej wodzie. Naga czaszka konia ujawniła się nad kałużą, on zaś ściskał ją za kręgosłup, wpatrując się w puste oczodoły.

– To cmentarz – szepnął Ingo, spuszczając głowę.

– Ta ziemia to jeden wielki cmentarz – odpowiedział Wilhelm i puścił czerep, by ten na nowo mógł utonąć w odmętach.

Kości leżało wiele. Część z nich należała do jeźdźca, inne z kolei do jego wierzchowca. Pordzewiały hełm pokryty lepką szarą mazią. Strzaskana na kawałki lanca gdzieś pomiędzy nimi. Konie były cichą, przemilczaną ofiarą tej wojny. Zabierano je tysiącami, aby mogły napędzać machinę wojenną obu walczących stron. W to piekło trafiały wierzchowce kawaleryjskie, ale też juczne, służące niegdyś uprawie ziemi i codziennemu znojowi ludzkiego żywota. Stare i młode. Żadnemu nie szczędzono trudów, dla każdego znalazło się miejsce w armijnych szeregach – rekwirowano je na ich potrzeby.

Ginęły pod ostrzałem artyleryjskim, tonęły w błotach przy wypadach kawalerii. Często brakowało dla nich paszy, a nie odejmowano im wysiłku – padały więc wycieńczone. Żołnierze nieraz oglądali ich rozprute brzuchy, złamane i powykręcane ciała, a gdy panował głód, stawały się ostatnią deską ratunku dla umęczonych. Na domiar złego zawsze było ich zbyt mało. Krwiożerczy front stale łaknął więcej tak ludzi, jak i koni. Zbyt wiele ich szczątków zabierała ociosana ziemia, by się pożywić.

Ingo wydostał się z bajora, a jego ciało zadrżało z zimna i nieszczęścia. Spojrzał za bezimiennym grobem i załkał w sercu z bezsilności. Widok przyniósł wspomnienia z Bawarii, chorego ojca i Klarki – klaczy z rodzinnego domu, która jako zwierzęca jego część wraz z domownikami trudniła się pracą w polu. Ją również zabrano jako kolejny maleńki trybik w machinie Kaisera. Wówczas uchodziło to za wkład w zwycięstwo, a jednak od początku blondyn czuł, że coś stracił, a nawet jeszcze nie zagnało go na front.

Wspólnie z porucznikiem pociągnęli ciało po ścianie koleiny, ponownie ryjąc i zapierając się butami. Niejednokrotnie upadali, aż przy najcięższym do pokonania skrawku pomógł im Reinhard. Zziębnięty Sepp mógł jedynie przyglądać się całej operacji kompanów, mając nadzieję, że przyniesie oczekiwany skutek. Trójka kryła się przy krawędzi, trzymając trupa pomiędzy sobą, jedynie Ingo podtrzymywał od dołu buty. Stopniowo unieśli martwy ciężar, kawałek po kawałku wystawiając hełm i głowę nieboszczyka ponad bezpieczną osłonę.

Wilhelm podtrzymywał zwłoki za kark i ostrożnie podniósł jeszcze wyżej. Wtedy też padł strzał, a pocisk rozpłatał głowę przynęty z przeszywającym hukiem. Wszyscy przypadli do ziemi,

a ciało bezwładnie potoczyło się najpierw po blondynie, a później do swojego grobu w bajorze, gdzie wylądowało po krótkiej chwili z głośnym pluskiem.

– Psia mać, jest tam! – warknął Reinhard.

– I czeka na nas – dodał zimno porucznik.

Zapanowała cisza, wszyscy tkwili przy ziemi. Jedynie Sepp, siedząc w wykopanym wgłębieniu, zmęczonym i bolesnym wzrokiem wpatrywał się w ciało, które tonęło w bajorze, obciążone przemoczonym mundurem i wyposażeniem. Widział siebie w tym samym miejscu, gdy nadzieja wyrwania się pod okryciem mroku runęła jak domek z kart. Ingo przysiadł się do rannego, kuląc się z zimna. Jego spojrzenie również padło na trupa.

– Skończymy tak jak on? – zapytał Sepp, kiwając głową na miejsce, gdzie padł nieboszczyk.

– Nie, wydostaniemy się stąd. Porucznik coś wymyśli. – Blondyn uśmiechnął się słabo. – Wyciągał nas z gorszych tarapatów.

– Pewnie masz rację – pokiwał głową, wypuścił ciężko powietrze przez nos i zaraz dodał: – A jeśli zginiemy, myślisz, że Bóg przyjmie nas w swoje progi?

– Te progi należą do kogoś innego – wtrącił porucznik z góry, łypiąc na dymną ścianę i siedzącego na niej Czarnego Szczura.

***

Noc była już w środkowej fazie swojego cyklu i jedynie wiatr dawał jeszcze jakiś znak życia. Mżawka ustała i choć nie zrzuciła wiele wody, grunt odczuł nawet niewielką jej ilość, nie mogąc pomieścić w sobie ani kropli więcej. Żołnierze spoczywali przyklejeni do koleiny, marząc, aby móc się z niej wyrwać. Wpatrywali się

w bajoro u dna, jakby miało otworzyć magiczne przejście na bezpieczniejsze pozycje. Milczeli, ich myśli pouciekały w różne strony. Sepp czuł się coraz słabszy, jako że ledwie udało mu się zmrużyć oko podczas ostatniej warty, a rany postrzałowe nie dawały o sobie zapomnieć. Obawiał się gangreny, częstej przypadłości w takich warunkach. Pozbawiała żołnierzy kończyn i wszelkiej nadziei.

Nocny chłód przeszywał czwórkę na wskroś. Ingo bezskutecznie próbował się ogrzać, zdjął część przemoczonego munduru, leżąc na nim plecami. Spojrzenie zielonych oczu biegło od rozgwieżdżonego nieba do towarzyszy i cmentarnego bajora. Jego, tak jak Seppa i pozostałych, dotykało zmęczenie. Jednocześnie nikt nie pozwalał sobie na choćby zmrużenie oka. Byli czujni, wiedząc, że przeciwnik zna ich pozycje. Reinhard pocierał dłonie, siedząc w wyższych partiach koleiny. Co jakiś czas zerkał na horyzont, zwłaszcza na widoczny w księżycowym świetle łeb Czarnego Szczura, który wpatrywał się w okolice jako jedyny jej pan i władca. Przenikliwy znawca żołnierskich tęsknot i utrapień. Prusak rozmyślał o żonie i dzieciach – dawno ich nie widział. Czy urosły? Jak wiedzie im się w nastawionym na wojenne zmagania Cesarstwie? Jedynie Wilhelm myślami był na miejscu, on do domu nie tęsknił. Ta koleina, tamte okopy i wszechobecny fetor śmierci, prochu i walki były jego domem. Rozwodził się nad oddziałem, którego pozostawał sercem, a teraz również głową – nad jego losem, położeniem i utrapieniami, które dręczyły szturmowców.

– Pamiętacie Flandrię? – zaszczekał zębami Ingo, unosząc wzrok na czarne niebo.

– Bo co? – Zerknął na niego Reinhard.

– Ty, Wujaszku, pamiętasz na pewno, a pan porucznik wręcz z ciepłem wspomina. – Przymknął na moment oczy, zaraz je otwierając.

– Daj spokój ze wspominkami, Ingo – odparł półszeptem Wilhelm, obserwując ziemię niczyją.

– Co było we Flandrii? – wydukał blady i zmęczony Sepp, obracając z nutą ciekawości twarz w kierunku kompana.

– A, bo ty nie wiesz, ciebie nie było. – Potarł zmarznięte dłonie i zaraz zapytał: – Wiesz, co galopuje we Flandrii, Sepp?

– Daj mój spokój, Ingo – wtrącił Prusak.

– Nie rozumiem. Co takiego?

Blondyn sięgnął po karabin i ułożył go na klatce piersiowej, trzymając oburącz. Jednocześnie nie odrywał wzroku od nieba, a jego lekki głos rozbrzmiał niemrawo, stopniowo jednak ożywając, jakby słowa rozgrzewały zziębnięte i zmęczone ciało.

Śmierć gna na czarnej klaczy,
Jej płaszcz ciemność znaczy.
Gdy landsknecht maszeruje do bitwy,
Ona galopem rzuca się do gonitwy.

Flandria w potrzebie –
we Flandrii śmierć gna przed siebie!

Śmierć dosiada rumaka bladego jak kreda,
Piękny on ci jak cherubinek z nieba.
Gdy dziewczęta w wirze tańca przaśnego,
Ona ukradkiem wślizguje się do niego.

Śmierć potrafi też uderzyć w bęben,
Możesz poczuć w sercu werbel.
Dudni głośno, dudni raz i wtóry.
Dudni w bęben z ludzkiej skóry.

Falalala…

Gdy uderzy pierwszy raz,
Krew odpływa z serca zaś.
Gdy uderza po raz drugi,
Landsknecht wpada w grób jak długi.

Trzecie długie niczym trwoga,
Póki landsknecht nie otrzyma daru Boga.
Jest też ciche i brzmi lekko,
Jak matka tuląca dziecko.

Śmierć gna na bladym koniu.
Uśmiecha się, tańcując w polu.
Dudni z lekkością, dudni z hałasem.
Martwy, martwy! Taki będziesz czasem.

Sepp patrzył z lekko rozwartymi ustami na nucącego blondyna. Reinhard zmarszczył brwi, a porucznik spuścił głowę, obaj słuchali. Jednak z czasem zarówno oficer, jak i Prusak dołączyli do pieśni, aby pociągnąć ją razem z Ingo. Rozbrzmiewała w tej ciemnicy jak wspomnienie dawnych lat chwały, gdy dzielnie maszerowali przez

flandryjskie pola, wojskowym butem znacząc każdy metr terenu dla Cesarstwa Niemieckiego. Mimo że nie śpiewali głośno, pieśń pewnie wyrywała się z ich gardeł. Trójka dobrze ją pamiętała. „Flandern in Not", taki tytuł nosiła. Była ich nieoficjalnym hymnem. Niematerialną towarzyszką marszów i ataków, zawsze gdzieś z galopującą za rogiem śmiercią, o czym stale przypominała.

Sepp przyglądał się ze słabym uśmiechem kompanom. Choć słowa nie brzmiały pokrzepiająco, było w tym coś radosnego i pozwoliło na moment oderwać się od bólu i czarnych myśli, krzątających się po głowie.

– Całkiem, całkiem – skomentował młodzieniec. – Muszę się jej nauczyć.

– Nie komentuj, znawco kompozytorów – odparł Ingo z żartobliwym uśmieszkiem. – Front to nie opera.

– Przecież mówię, że…

– Francuzi! – rozległ się głos porucznika.

Żołnierze jak oparzeni zerwali karabiny z ramion i dopadli do krawędzi koleiny, dociskając kolby swojej broni do barku. Jedynie Sepp, dobywszy broni, pozostał na swoim miejscu, ściskając ją kurczowo w dłoniach. Ingo pognał go, nie bacząc na rany. W przypadku ataku przestały być wymówką wobec czegokolwiek. Młodzieniec z trudem podniósł się z miejsca i upadł, nie mogąc utrzymać się na rannej nodze. Nie czekając, wdrapał się po ścianie transzei, a ból przeszył jego ciało na nowo.

Cienie przemknęły gdzieś na ziemi niczyjej, widoczne jedynie dzięki padającemu światłu księżyca. Jednak nawet przy takim blasku trudno było rozpoznać konkretne kształty. Przypominali raczej humanoidalne, czarne smugi. Przemieszczali się szybko, jakby

grząskie błoto ich nie dotyczyło. Choć sprawiali wrażenie realistycznych, byli jednocześnie niczym mara wyjęta z koszmaru lub całkiem innego świata.

– Ilu? – zapytał półszeptem Reinhard.

– Nie wiem – odparł porucznik.

– Widzicie ich? – padło pytanie od Seppa.

– Gdzieś po lewej – wydusił Ingo.

– Po prawej! – charknął Wilhelm.

Rozgrzmiała hałaśliwa salwa ze strony szturmowców, wypalona na prawo od koleiny, mimo że nie widzieli, do czego strzelają. Jedynie kątem oka dostrzegli, jak przebiegały żwawe zmory. Ze strony intruzów nie padały żadne strzały, wezwania do poddania się, nawet ich ruch pozostawał bezszelestny. Zdawali się osaczać uwięzionych żołnierzy, ci z kolei, przyparci do wnętrza koleiny, szukali wzrokiem oponentów.

– Trafieni?

– A w życiu, szybcy jak cholera.

– Od frontu!

– Na szóstej!

Kolejne wystrzały z mauserów przeszyły nocną ciszę, wypalone w różnych kierunkach, zależnie kto gdzie zauważył przemykającego intruza. Nerwowo wodzili wycelowaną bronią po terenie, jednocześnie starając się trzymać tak blisko ziemi, jak to tylko możliwe z uwagi na groźbę ze strony czającego się gdzieś snajpera. W końcu jakikolwiek ruch ustał, jednak grupa nie odrywała kolb karabinów od swoich barków. Pot płynął po zmęczonych, skupionych twarzach. Teraz nawet wiatr zamilkł na dobre, a wszechobecna

głuchość napawała nieprzyjemnym dreszczem, jak w chwilę przed nadciągającą nawałnicą.

– Co to było? – wycedził z trudem Sepp.

– Francuzi – odparł Ingo z szeroko rozwartymi oczami. – To musieli być Francuzi.

– Francuzi tak szybko biegają, do cholery? – mruknął gniewnie Reinhard. – Błoto ich nie tyka?

– A co to było twoim zdaniem?

– Uspokójcie się. – Kłótnię przerwał Wilhelm. – Cokolwiek to było, odeszło.

– Lub czai się w ciemnościach – wyszeptał Sepp.

Na te słowa wszyscy jak jeden mąż spojrzeli w stronę, gdzie w świetle księżyca jawiła się czarna ściana i jej szczurzy władca. Odczuli rozgoryczenie, które wtórowało zmęczeniu. Odpierać atak to jedno, a co innego, gdy wroga nie można nawet rozpoznać. Co innego grzęznąć w błocie, podczas gdy przeciwnik przemyka po nim i breja nijak nie chce go uwiązać. I wreszcie znika, jakby nigdy nic, a żołnierz tkwi w więzieniu zimnej i lepkiej transzei, z której nie może się wydostać.

Powracały we wspomnieniach wszelkie frontowe okropieństwa i nawet to przygwożdżenie w zimnym rowie zdawały się być przy nich niczym. Po tych wielu miesiącach walk zdawali się dopiero teraz w pełni odczuwać na sobie piętno wojennej apokalipsy. Z uwięzionej czwórki jedynie porucznik zachowywał większą przytomność.

– Ja i Reinhard obejmiemy pierwszą wartę – stwierdził, nie odrywając stalowego wzroku od bestii na horyzoncie. – Sepp, prześpij się. Siły będą ci potrzebne. Jeśli coś się będzie działo, zbudzimy was.

***

W trakcie warty cienie pojawiły się jeszcze dwukrotnie, zrywając śpiących do obrony, a wartownikom nie pozwalały choć na chwilę stracić czujności. Szturmowcy nie uśmiercili żadnego z napastników, za to również żaden z nich nie zdołał choćby zbliżyć się do transzei, gdzie przebywali żołnierze. Zwycięstwo było jednak pyrrusowe. Zmęczenie i napięcie sięgały zenitu, a przede wszystkim narastała paranoja za sprawą ciągłego poczucia osaczenia, jak u zwierząt zapędzonych w róg. Od czasu do czasu wracała również mżawka. Przemoczone, obłocone mundury nie chroniły przed zimnem, kostniały palce i kończyny, a dreszcze nie opuszczały ani na moment. Przede wszystkim jednak czuli na sobie wzrok Wielkiego Czarnego Szczura, jakby chciał spojrzeniem przeszyć i poznać najgłębsze tajemnice ich dusz. To wrażenie bycia pionkiem na jego planszy napełniało najgorszymi uczuciami.

Druga warta radziła sobie już gorzej. Ranny Sepp jedynie częściowo nadawał się do jej pełnienia. Zmęczony nie tylko brakiem snu, ale też nieustępującym bólem po ranach postrzałowych. Nie dość, że nie pozwoliły mu zdrzemnąć się w trakcie odpoczynku, to jeszcze stanowczo utrudniały pełnienie straży, a widmo infekcji i chorób nie opuszczało ani na chwilę jego myśli. Z tego powodu Ingo musiał czuwać samodzielnie i przychodziło mu to z niemałym trudem. Szczęście w nieszczęściu, cienie już się nie pojawiły i mimo wiszącego nad transzeją napięcia reszta nocy przebiegła spokojnie.

W czwórkę oglądali odradzający się z popiołów dzień, po tym jak został pokonany przez ciemność w odwiecznym cyklu. Księżyc wisiał jeszcze na nieboskłonie, ale stopniowo znikał w nadciągającej

szarzyźnie. Zmiana była bardzo powolna, gdy utrzymująca się czarna ściana dymu rzucała swój nieubłagany cień.

– Zaginieni, taki status mamy w papierach – wydusił Ingo, mrużąc zmęczone oczy. – Zaginieni, czyli ci, których ciał nie odnaleziono.

– Przestań jojczyć, bo mnie już łeb od tego boli – odparł mrukliwie Reinhard, czyszcząc pruski hełm w niższych partiach koleiny.

– Ingo Nebel, Bawaria, zaginiony na odcinku Craonne – rzekł, ignorując słowa Wujaszka.

– Josef Fisher, Prusy, zaginiony na odcinku Craonne – dodał słabo Sepp po chwili milczenia, kuląc się z zimna.

Zapanowała chwilowa cisza. Nie mieli żadnego planu, jak wydostać się z transzei, przygnieceni do błota przez czujne oko snajpera. Reinhard wypuścił ciężko powietrze przez nos, spuszczając na chwilę głowę, a następnie uniósł przekrwione spojrzenie na ciemnoszare niebo, jakby z trudem przychodziło mu wydusić te słowa.

– Reinhard Witt, Prusy, zaginiony na odcinku Craonne.

– Wilhelm Strauss, Saksonia, jeszcze żywy, tak jak i wy żywi – odezwał się porucznik, gdy padła na niego uwaga pozostałej trójki.

Po słowach porucznika wszyscy odwrócili od niego wzrok, spoglądając w dno transzei, gdzie leżał ich kompan, a także szczątki kawalerzysty wraz z jego wierzchowcem. Pogrążyliby się w rozmyślaniach, gdyby nie zmęczenie, które starannie odganiało co bardziej złożone myśli. Jakby nieszczęść było mało, nadszedł głód, który każdego na dobre już chwycił.

– Jak miał na imię? – zapytał Sepp, kiwając głową na bajoro.

– Vincent – odpowiedział mu Reinhard. – Chyba pochodził z Prus.

– Bzdura, Wujaszku. Vincent był z Bawarii – wtrącił Ingo. – No jasne, że z Bawarii, mówił to jeszcze pod Verdun.

– To nic dziwnego, że nie żyje – odparł Prusak, krzywiąc się.

Ciemność rzucana na nich przez czarną ścianę drgnęła. Wtedy też podnieśli wzrok, aby spojrzeć w stronę potworności u jej szczytu. Potężny mur zdawał się być jeszcze większy niż wczoraj i drżał w chaotycznych spazmach. Wyglądało to, jakby miał zaraz się zawalić, jednak ta nadzieja szybko opuściła żołnierzy. Czarny Szczur na tronie wpatrywał się w swoje królestwo ze złowieszczym rechotem zawisłym na jego pysku. W oczach szturmowców zdawał się radować ich nieszczęściem, choć faktycznie żaden śmiech do nich nie dobiegał. Jedynie gdzieś w sercach czuli, że to, co widzi bestia, sprawia jej radość.

Wilhelm wiedziony dziwnym przeczuciem przebiegł wzrokiem po terenie, by wreszcie przyjrzeć się dnu koleiny, gdzie spoczywało bajoro. Ujrzał jak ciało martwego kompana dryfuje po tafli brudnej wody wbrew ciężarowi ekwipunku. Zataczało powolny krąg i jedynie logika wzbraniała porucznika od myśli, że nieboszczyk zaraz powstanie z martwych. Kolejny widok wzburzył nim jeszcze bardziej. Z nory tuż przy bajorze wysunęło się czarne szczurzysko, które już widział w pobliżu koleiny. Spojrzenia zwierzęcia i człowieka skrzyżowały się na chwilę, a za gryzoniem pojawił się drugi, a następnie trzeci i jeszcze cztery kolejne. Każdy jaśniejszej barwy od poprzedniego, jakby cały segment od czerni do bieli.

Najciemniejszy z gromady ściskał w swoich małych łapkach nieśmiertelnik, który ukradkiem musiał zwędzić. Gdy tylko Wilhelm

drgnął, szczury rozbiegły się we wszystkich kierunkach i wspiąwszy po ścianie koleiny, zniknęły na ziemi niczyjej szybciej niż zdążyły się pojawić przed oczami oficera.

– Spójrzcie – zawołał Sepp.

Porucznik odwrócił głowę w stronę krajobrazu wspólnie z pozostałymi szturmowcami. Nad ziemią niczyją znikąd podnosiła się poranna mgła, jakby za dotknięciem wyższej siły. Już po paru dłuższych chwilach była tak gęsta, że ledwie widzieli na odległość paru metrów i jedynie nad nią, na horyzoncie, gdzie leżały francuskie okopy, Wielki Czarny Szczur rechotał w swoim złowieszczym i rozbawionym wyrazie.

– Mgła – wydusił z siebie Ingo. – Nie zobaczy nas.

– Zbierajcie się, to nasza szansa. Wychodzimy kolejno, czołgając się. – zarekomendował porucznik, jeszcze na moment unosząc wzrok na dymną bestię. – Reinhard, Ingo, Sepp, ja.

***

Czołgali się przez ziemię niczyją, rozmazując pod udręczonymi ciałami wszechobecne błoto. Pierwszy Reinhard, robiąc za czujkę, która mogła w porę ostrzec resztę drużyny. Gęsta mgła nie pozwalała jednak oddalić mu się zbyt daleko, aby kompani nie stracili go z zasięgu wzroku. Drugi Ingo wraz z Seppem, któremu pomagał pokonywać kolejne metry. Ranny młodzieniec zamykał z bólem oczy przy każdym ruchu, brodząc dłoniami w gęstej, błotnistej mazi. Kręciło mu się w głowie ze zmęczenia i cierpień, które przeszedł. Kolejne, niewielkie odcinki wymagały od niego ogromnego wysiłku, a jednak wola przetrwania nie opuściła go. Ostatni był porucznik, trzymając teoretyczną straż tylną. Co jakiś czas pozwalał drużynie

oddalić się od siebie, aby czekając, mógł wypatrzeć, czy ktoś za nimi podąża.

Niespodziewany zwrot w ich położeniu na linii losu sprawił, że serca szturmowców napełniły się nadzieją powrotu do własnych okopów. Ten zastrzyk pozwalał zwalczyć zmęczenie, zziębnięcie i senność. Białe kłęby sprawiały, że nieraz trafiali w głębokie kałuże i pomniejsze rowy, nie mogąc ich zawczasu dostrzec. To jednak już w żaden sposób nie tłamsiło ich myśli, gdy cel był tak blisko.

Reinhard zatrzymał się, gdy przemierzyli już spory kawał drogi. Uniósł dłoń, dając znać pozostałym, aby również się wstrzymali. Chwilę leżał, wpatrując się w coś, co dla reszty skryte było za mgłą. W pewnej chwili odwrócił głowę, spoglądając po towarzyszach, a jego zmęczony i ponury wyraz twarzy nie zwiastował nic dobrego. Porucznik uniósł głowę wyżej i widząc wzrok Prusaka, przeczołgał się obok Ingo i Seppa, aż nie zrównał się z prowadzącym drużynę.

– Co jest? – zapytał, klękając nisko z bronią gotową do oddania strzału. Żołnierz jednak nie odpowiedział. Wskazał jedynie dłonią na prawo od nich. Ingo i Sepp, widząc ten gest, również nieznacznie się zbliżyli, aby przyjrzeć się powodowi, dla którego nastąpił postój.

Oczom drużyny ukazały się kikuty młodych drzew, na które powbijano ciała niemieckich żołnierzy. Prędko szturmowcy rozpoznali w nich drugą drużynę, która wyruszyła wraz z nimi na rekonesans. Nieszczęśnicy skończyli w podobny sposób, jak niegdyś średniowieczni władcy pokazowo uśmiercali swoich wrogów – ci potrafili konać w męczarniach przez długie dni, zdani na łaskę wron. Martwe strzępy kory i nagie drewno nosiło długie ślady zaschniętej krwi. Twarze o szeroko rozwartych ustach za sprawą wychodzących z nich czubków drzew, powykręcane były w bólu i szoku. Do tego

puste oczodoły, pozbawione gałek ocznych. Czarne ptaszyska panoszyły się tu i ówdzie, jakby oglądały spektakl, który już wielokrotnie widziały.

– Przeklęci Francuzi – mruknął Reinhard, powoli zaciskając palce na błocie.

– Kiedy? – zapytał ledwie słyszalnie Sepp, ściągając wzrok na ziemię. Nie mógł na to patrzeć.

– Musieli to zrobić nocą, nie ma innego wytłumaczenia – odparł Prusak.

– Nawet Francuzi nie byliby do tego zdolni. – Ingo wpatrywał się zszokowany, z szeroko otwartymi oczami. – To niemożliwe.

– Dlaczego nie? – zapytał Reinhard.

– Nikt by nie był do tego zdolny. Nawet my byśmy nie byli. – Blondyn skrył twarz w obłoconych, zziębniętych dłoniach.

– Bylibyśmy – skwitował sucho Wilhelm.

Porucznik obrócił głowę za drogą, którą przebyli i uniósł spojrzenie na Wielkiego Czarnego Szczura, którego teraz z trudem dostrzegał wśród gęstych obłoków mgły. Wpatrywał się w te potworne oblicze przez dłuższą chwilę, aż przewiesił karabin przez ramię. Wtedy też jego wzrok na nowo ulokował się w nabitych na kikuty drzew ciałach.

– Pamiętasz, Reinhard, naszą maksymę? – zapytał, zaraz dodając jej treść: – Jedni muszą odejść, by inni mogli powrócić.

– Pamiętam, dobrze opisuje walki na ziemi niczyjej – odparł Prusak i oderwał spojrzenie od okropności.

Po chwili ciszy Sepp słabo wtrącił swoje pytanie:

– Myślisz, że to on, poruczniku? Ta bestia na czarnej ścianie.

– Jeśli tak, to jest zapłata za nasz powrót.

***

– Szlag by was, dranie! – warknął Reinhard. – Wasi!

Gniew Prusaka nie był bezzasadny. Gdy tylko zbliżyli się do własnych okopów, wartownicy otworzyli do nich ogień. W gęstej mgle trudno było rozpoznać, kto też się w niej czai, a tym bardziej nieprzychylnie wyglądało czołganie się w stronę zasieków z ziemi niczyjej. Przed ranami uchroniła ocalałą drużynę jedna z płytkich kolein u podnóża cesarskich okopów. Niejednokrotnie zdarzało się, że szczęśliwie ocalały śmiałek wracał ze szturmu i ginął z ręki własnych towarzyszy broni, gdy ci omyłkowo wzięli go za wrogiego żołnierza.

– Porucznik Wilhelm Strauss z drużyną! – krzyknął oficer, unosząc dłoń.

Teraz powoli wysunęli się z koleiny, idąc nisko. Ingo podtrzymywał rannego Seppa, który wiotczał pod jego ramieniem przez zawroty głowy i omdlenia. Wszyscy wyglądali jak siedem nieszczęść po tej upiornej wyprawie, a jednocześnie nie różnili się w swoim wyglądzie od gnijących w okopach żołnierzy. Powrót radował jedynie połowicznie i tylko Wielki Czarny Szczur na swoim dymnym tronie śmiał się nad widowiskiem, które sprawiło mu jego królestwo.

ROZDZIAŁ VIII

Sepp nie dostrzegł chwili, w której uleciały z niego resztki sił i całkiem stracił przytomność. Wyprawa na ziemię niczyją z prostego rekonesansu stała się prawdziwą zmorą, nasyconą trudnymi do wytłumaczenia wydarzeniami. Obecność Wielkiego Czarnego Szczura nie opuściła go nawet podczas przymusowego snu. W ciemnościach młodzieniec krążył przed jego obliczem jak zabawka na sznurkach, sterowana przez łapy gryzonia. Tańczył pomiędzy smugowymi wąsiskami. Wpadł we władanie opalowych ślepi, które nie znosiły sprzeciwu, a jednocześnie niczego nie nakazywały. Budziły grozę, ale dawały poczucie bezpieczeństwa. Czarny Szczur dla każdego żołnierza znajdzie miejsce w swoim królestwie.

Młodzieniec ocknął się kilka razy, jednak niewiele widział i rozumiał. Nie rozróżniał snu od jawy. Po głowie kołatały się obrazy majestatu na szczycie czarnej ściany oraz popiskiwanie setek skrytych w ciemnościach gryzoni. Do tego przebijały się ludzkie głosy, tyle że nic z nich nie był w stanie zrozumieć. Na wskroś przeszywało go zimno, jakby żywcem został pogrzebany w rozlazłej brei ziemi niczyjej. Drżał z tej lodowatości choć był to tylko sen, a jednak tak namacalny jak żaden inny, wyśniony w przeszłości.

Zajmująca myśli bestia nie pozwalała mu powrócić do rzeczywistości. To nasuwało Josefowi wrażenie, jakby od decyzji Czarnego Szczura zależało, czy kiedykolwiek będzie jeszcze mu dane powrócić do rzeczywistego świata, czy na zawsze pozostanie w koszmarze. Mrok otaczający Seppa zdawał się nieprzenikniony,

a jednak niewielki, jasny promień pojawił się znikąd. Wtedy też przebudził się na dobre.

Światło uderzyło z góry i dopiero po dłuższej chwili rozpoznał latarenkę, którą trzymała nad nim jakaś postać. Obraz był zamglony i rozmyty. Sepp poczuł, jak rozpala go ból głowy, a w ustach wzbiera suchość, przez co zaniósł się słabym kaszlem. Odrętwiałe ciało odmawiało posłuszeństwa; panujący półmrok nie pozwalał zbyt dobrze zorientować się w otoczeniu. Nozdrza uderzył zapach wilgoci mieszający się z krwią, potem i rozkładem. Najważniejszą zapachową wskazówką był jednak odór leków. To uzmysłowiło mu, że prawdopodobnie znajduje się w szpitalu polowym.

Odzyskawszy odrobinę świadomości, szybko zdał sobie sprawę, że to miejsce ma cokolwiek wspólnego ze szpitalem tylko z nazwy. Nie tak je sobie wyobrażał, gdy wyruszał na front. Obłupione ściany były wyłożone cegłami, które wieńczył niski sufit ze słabnącym uporem wspierany przez przegnite belki. Sepp leżał na brudnym posłaniu składającym się wyłącznie z jego własnego koca. Wokół znajdowało się wiele innych, podobnie naprędce przygotowanych legowisk, gdzie spoczywali pozostali nieszczęśnicy. Jedni mamrotali niezrozumiale w bólach, owinięci nasiąkniętymi krwią bandażami, drudzy spali, bladzi i wycieńczeni. Byli tu tacy, którzy stracili kończynę lub dwie. Powrót do ojczyzny z pewnością okaże się dla nich niełatwy, mimo że złożyli na jej ołtarzu ofiarę z części własnych ciał. Zabraknie pracy, staną się obciążeniem dla rodzin, w imię których wyruszyli na wojnę.

Ułożona na posłaniach przy przeciwnej ścianie trójka żołnierzy miała bandaże przewiązane wokół głowy tak, że ciasno przysłaniały oczy. Ofiary gazów bojowych; z każdą chwilą nikły szanse, że

zobaczą w swoim życiu coś więcej prócz ciemności. Potracili wzrok w walce i nie było pewne, czy odzyskają go na nowo. Również im, po powrocie do domów, nie będzie dane wiele więcej niż dalsza, powolna agonia. Ostatnim widzianym obrazem pozostanie rozszalałe piekło pod Verdun.

Nad Seppem stał żołnierz w oficerskich pagonach i ubrudzonym krwią kitlu. Latarenka trzymana w dłoni zachwiała się niemrawo nad twarzą młodzieńca, gdy lekarz oglądał ją przez dłuższą chwilę. Oblicze mężczyzny nie nosiło żadnych oznak emocji wobec otaczającego go ludzkiego nieszczęścia. Dla niego była to codzienność tak na froncie, jak i na spokojnym odcinku linii okopów. Z zimnym pragmatyzmem selekcjonował żołnierzy wedle ich szansy na przeżycie. Liczył się również czas. Na jedną, złożoną operację należało poświęcić go mnóstwo, a jednocześnie można było uratować trójkę innych, mniej rannych. Postrzał w płuco? Już po tobie. Pogruchotane kości? Na stół. Bagnet wyrwał wnętrzności z jamy brzusznej? Nie ma dla ciebie ratunku. Ale Seppowi poszczęściło się, bo prócz wycieńczenia oraz ryzyka gangreny wydawał się właściwie zdrowy, a lekarz nie musiał wysilać się za bardzo podczas wyciągania kul oraz oczyszczania i zaszywania ran.

– Josef Fisher, tak? – zapytał, unosząc listę, którą trzymał w drugiej dłoni.

– Tak, to ja, panie oficerze – wymruczał słabo Sepp.

– Masz szczęście, Fisher. Rany postrzałowe nie były groźne i dało się to operować. Nie wdała się też gangrena – rzekł sucho i zaraz kontynuował: – Twoje miejsce jest mi potrzebne, więc wychodzisz dzisiaj. Powinieneś dostać przepustkę, ale nie zwiastuję sukcesu.

Sepp z trudem podniósł się do siadu. Ból głowy nie ustępował, a ciało w dalszym ciągu było słabe, choć odzyskał nad nim częściową kontrolę. Jego ramię zostało ciasno obandażowane, podobnie udo. Zamglony wzrok niebieskich, zapadniętych i podkrążonych oczu padł na oficera. Gdzieś za plecami lekarza dwójka żołnierzy wynosiła nieboszczyka na prowizorycznych noszach. Jego blada dłoń bezwładnie bujała się w rytm kroków. Nieszczęśnik musiał skonać dzisiejszej nocy, kolejny, dla którego wojna już się skończyła.

– To nie jest konieczne, panie oficerze. Chciałbym pozostać na froncie – stwierdził już bardziej pewnie i skrzywił się, dotykając ramienia.

– Tym lepiej, Fisher. Powodzenia – odparł bez zastanowienia.

Po tych słowach lekarz odszedł, aby obejrzeć następnego pacjenta. Tymczasem młodzieniec zastanowił się chwilę nad słowami, które wypowiedział. Miał szansę wrócić do Niemiec na rekonwalescencję, a jednak postanowił zostać tutaj. Po ostatnich przygodach nie mógł powiedzieć, że polubił wojnę. Wszystko działo się z dnia na dzień, często wręcz z godziny na godzinę. Może to szybka adaptacja i postępujące zobojętnienie albo też wpływ dymnego kształtu osiadłego na czarnej ścianie. W faktyczną, żywą bytność tego ostatniego nie do końca wierzył, potępiając go wszelką logiką, a jednak nie mógł odrzucić poczucia ciągłej obecności Czarnego Szczura. Co go skłoniło, by pozostać w tym piekle? Czy to lojalność wobec towarzyszy broni, czy może dziwne pragnienie frontowej groteski? Sam nie wiedział.

***

Wilhelm siedział na drewnianym stołku, pogrążony w zadumie. Dłonie zgrabnie obracały wojskowy nóż, ani na moment nie gubiąc narzuconego przedmiotowi tempa. Ta czynność pozwalała oficerowi skupić się na parę chwil, odciąć i przysłonić wojnę niedostępną kurtyną. Mimo to nieprzerwanie odczuwał towarzystwo bestii z ziemi niczyjej, jakby jej wszechobecność była nieuchronnym losem, na który każdy został skazany. Co więcej, to nieodparte uczucie ciągle nasilało się, tworząc wrażenie, jakby bestia czaiła się tuż za plecami. Nie napawała porucznika lękiem, nawet nie wzbudzała w nim odrazy lub zastanowienia. Słuchał podszeptów Czarnego Szczura jak uczeń przed obliczem nauczyciela.

Na pierwszej linii okopów życie toczyło się własnym rytmem z nieopuszczającą ziemistych ścian zapaścią morale. Żołnierze wciąż szeptali między sobą o potworności na szczycie dymnego muru, jednocześnie mierząc się w swoich umysłach z krwawą łaźnią, jakiej doświadczyli w walkach o Fort Vaux. Pojawiła się jednak nowa myśl, przywiedziona do cesarskich pozycji wraz z powrotem czwórki śmiałków. Była delikatna, ale kiełkowała i pęczniała wraz z rozchodzącą się po umocnieniach plotką. Mówiła o cudownym ocaleniu drużyny przez dybiącą nad nimi bestię.

– Panie poruczniku.

Głos Reinharda wyrwał oficera z przyjemnego transu.

– Tak? – odpowiedział po krótkiej chwili, nie otwierając oczu.

– Zawitał do nas brat Sigmund, by porozmawiać z żołnierzami i pobłogosławić oddział. Chciałby się z panem widzieć – odparł Prusak.

Wilhelm milczał przez długą chwilę, aż wreszcie nóż w jego dłoniach wstrzymał swój ruch. Sięgnął po leżący obok stahlhelm

i włożył go na głowę, po czym otworzył oczy, unosząc twarz ku ponuremu obliczu Reinharda.

– Ingo zaprowadził Seppa do szpitala polowego? – zapytał.

– Tak, panie poruczniku, od razu jak wróciliśmy. Gdy nas nie było, przybył też kolejny kontyngent uzupełnień.

– Zaproś brata Sigmunda w nasze progi.

– Myślę, że to nie będzie konieczne – odparł Reinhard, oglądając się za siebie.

Z transzei na pierwszą linię okopów wkroczył wysoki, barczysty mężczyzna. Był okryty prostym habitem, przewiązanym w pasie poszarzałym sznurkiem. Niegdyś ciemne włosy zdobiła siwizna, a twarz o ostrych rysach nosiła liczne bruzdy. Poruszał się powoli, o lasce, mając wyraźne problemy z chodzeniem, które pogłębiało wszechobecne błoto. Lekko zgarbiony, z pewnością ponad wiek dojrzały, zachowywał w sobie niewytłumaczalny wigor. Rozglądając się, dostrzegł dwójkę żołnierzy i ruszył nieśpiesznie w ich stronę.

– Widział się z majorem? – zapytał Wilhelm, wpatrując się w nadchodzącą postać. – Zwykle zaczynał od niego.

– Chyba nie, panie poruczniku.

Brat Sigmund towarzyszył batalionowi od dawna. Wśród żołnierzy był znaną postacią, pojawiającą się zazwyczaj w trudnych dla nich chwilach, jak poapokaliptyczny zbawca. Gdy ofiar było wiele, nadeszło kolejne nieudane przełamanie, a wozy uginały się pod ciałami poległych, zjawiał się jako duchowa opoka wobec wszechobecnej śmierci. Nie pełnił funkcji kapelana oddziału, a jednak za takiego go uważano. Podobnie jak Wilhelma za uosobienie wojennego bożka. Dwa symbole, które sława stanowczo wyprzedzała.

Zakonnik był weteranem wojny francusko-pruskiej sprzed prawie 50 lat. Został uznany przez kompanów za dzielnego i wyjątkowego zajadłego żołnierza. Odniósł rany podczas bitwy pod Froeschwiller, co ostatecznie przełożyło się na problemy z poruszaniem się. Po wojskowych zmaganiach wstąpił do Zakonu Braci Kaznodziejów. Tam, jak uważa do teraz, próbował odpokutować za wiele ludzkich żyć, zabranych w bitewnych gorączkach szturmów na francuskie pozycje. Niemniej jednak jego przywiązanie do armii nigdy nie zostało złamane. Gdy wybuchła kolejna wojna, poczuł się w obowiązku, aby wspierać duchowo żołnierzy.

Mijani przez Sigmunda szturmowcy unosili straceńcze spojrzenia. Niektórzy wstawali ze swoich miejsc w geście szacunku, jakby żywiąc nadzieję, że sama obecność mężczyzny odmieni ich los rozerwany pomiędzy obłędem a służbą. Szukali ratunku w swoim trudnym położeniu. Brat zakonny kierował się jednak prosto w stronę Wilhelma i Reinharda.

– Jak się pan miewa, poruczniku? – Sigmund wyciągnął dłoń, u której brakowało serdecznego palca.

– Jak ktoś kiedyś napisze, na zachodzie bez zmian. – Wilhelm wymienił uścisk i skinął głową w geście powitania. – Co cię sprowadza?

– Dotarły do mnie wieści o waszym podłym losie pod Verdun – stwierdził, prostując się. – Chciałbym pomówić z żołnierzami.

– Proszę się nie krępować, bracie Sigmundzie.

– Dziękuję.

Duchowny cofnął się o parę kroków i uniósł wzrok na horyzont, wcześniej unikając jego widoku jak wielu, którym przed laty dane

było stanąć na ziemi niczyjej. Dostrzegł wielką czarną ścianę. Z pierwszej linii widział ją znacznie wyraźniej niż w czasie gdy przemieszczał się przez liczne transzeje. Ciało przeszył dreszcz, a dłoń wsparta o laskę zadrżała nerwowo. Dymna, szczurza bestia na swój bluźnierczy sposób zdawała się być ucieszona obecnością zakonnika, wręcz w wyrazie pogardy i triumfu niezlękniona sługi bożego.

– Rozpoczęliście ostrzał? – zapytał, odwracając się ponownie do porucznika i Reinharda.

– Nie – odparł surowo Wilhelm.

– Poruczniku – wtrącił zapobiegawczo Wujaszek, wyczuwając napięcie.

– Co to jest? – Brat Sigmund wskazał na dymny kształt.

– Ty mi powiedz.

– Na Boga, Wilhelmie! – wydusił gardłowo zakonnik i potrząsnął głową, zaraz ucinając rozmowę. – Porozmawiam z żołnierzami.

Chciał już odejść, nie odczuć nigdy więcej obecności bestii zawisłej nad ziemią niczyją. Wilhelm jednak skrzyżował ramiona na klatce piersiowej. Kontynuował.

– Tu nie ma Boga, Sigmundzie. – Uniósł podbródek i machnął dłonią na krajobraz. – Jest to.

– Poruczniku, może nie powinniśmy… – Prusak ponownie spróbował uspokoić sytuację.

– Już nie pamiętasz, Reinhard? – zapytał gwałtownie Wilhelm i przeszedł kawałek, rozpościerając szeroko ramiona. – Kto wyciągnął cię z tamtej koleiny? Bóg? To ten wojenny totem wiszący nad polem bitwy! Władca w niebiosach nie chce oglądać Europy przerytej okopami wzdłuż i wszerz. Nie spojrzy na rzeź pod Verdun.

Nie obchodzi go Ypres! Te miejsca ranią jego oczy, toczą ból do serca. Czarny Szczur zaś bez przerwy nas dogląda i czuwa nad niemiecką armią!

Oniemiały Reinhard słuchał w trwodze Wilhelma, zdając sobie sprawę, że pomimo naturalnego lęku wobec nieznanego w dużej mierze podziela pogląd oficera, a gdy ten go wyraził, wsparło to jego własne myśli. Sigmund odwrócił się, jednak twarz zakonnika nie wyrażała cienia emocji. Słowa oficera wydawały się dla niego naturalne, jakby już je słyszał. Żołnierze ulokowani pod swoimi jamami i ci siedzący pod ziemistymi ścianami okopu zwrócili się w stronę sceny. Charyzmatyczny głos porucznika łatwo ściągał uwagę. Wielu podniosło się, aby podejść bliżej, gdy ten donośnie przemawiał. Choć grzmiał gniewnie, było w tym coś niebezpiecznie mistycznego.

– Od razu odczułeś na sobie jego ślepia, prawda, bracie Sigmundzie? – Wilhelm ruszył wzdłuż szeregów żołnierzy, którzy stale dołączali, aby posłuchać symbolu cesarskiej armii. – Wpatrują się w nas wszystkich, penetrują duszę w każdej z tych transzei. Dotykają rannych, martwych i żywych. Marznących na wartach, śpiących w jamach i przedzierających się przez ziemię niczyją.

Żołnierze milczeli. Porucznik minął brata Sigmunda i zatrzymał się na niewielkim wysunięciu na linii okopu. Wtedy też odwrócił się twarzą do towarzyszy niedoli, a jego stalowy wzrok bacznie wędrował po zniszczonych twarzach szturmowców, naginając ich do swojej woli. Gdzieś za nim bestia górowała jako upiorne tło trzymające krajobraz w ciasnych objęciach.

Mimo wszechobecnej wilgoci nagle powietrze niewytłumaczalnie nabrało suchości, wdzierając się w nozdrza

i gardła przenikliwym, trudnym do rozpoznania zapachem. Gestykulacja porucznika stała się żywsza, wręcz przytłaczająca w połączeniu z narastającą duchotą.

– Wielki Czarny Szczur na szczycie dymnego muru, który wyrósł z naszego ostrzału artyleryjskiego – kontynuował głośno i szaleńczo porucznik. – Władca ziemi niczyjej, obserwator i strażnik, który łbem sięga nieba. Nie jest zwiastunem klęski, lecz patronem naszego zwycięstwa w tej brutalnej wojnie. I to on, nie Trójca Święta, upomniał się o nas w chwili zwątpienia i rozpadu. Jesteśmy mu coś winni, bracia szturmowcy! Przestańcie się lękać, jesteście elitą niemieckiego narodu, czuwa nad wami przewodnik. Złóżmy Kaiserowi nasze myśli, bagnety zaś tej czerni. To z nim poprowadzimy Cesarstwo do zwycięstwa, a nasi ludzie wrócą do swoich rodzin.

Głos zamarł nad tumanem żołnierzy, a ci wpatrywali się w swojego przywódcę jakby zahipnotyzowani atmosferą. Aura z ziemi niczyjej, postać bestii, zachmurzone niebo i wszechobecny rozkład mieszał się w jedno ze słowami Wilhelma. Szukali wsparcia każdej głosce, którą wypowiadał. Majestat wojennego totemu i jego trybuna rozbijał w proch cierpienia. Porucznik odkrył przed nimi karty nieznanego, czegoś, co napełniało ich lękiem. Teraz jednak stało przed nimi otworem i było po ich stronie.

Heros batalionu sięgnął po swój bagnet, otaczając ostrze palcami. Następnie odwrócił się plecami do zgromadzonych i uniósł broń ku niebu, drugą rękę układając wzdłuż ciała.

– Za Kaisera, Ojczyznę i Czarnego Szczura!

Rosnąca masa szturmowców ani drgnęła na okrzyk. Wciąż jednak trwała w niesamowitym obrazie przepełnionym

determinacją, której im brakowało. Mówca był oficerem, a jednocześnie jednym z nich. Podobnie znosił horror okopów i ziemi niczyjej. W wierzących zachwiało się wyniesione z domu przywiązanie do religii. Inni zapomnieli o Bogu lub nigdy o nim nie pamiętali, za to istnienie Czarnego Szczura było poza zasięgiem ich rozumienia. Jednak słowa Wilhelma sprawiły, że kruszał w nich apatyczny stan, w jakim się znaleźli po bolesnej klęsce. Spojrzenia powędrowały ku wzniesionemu bagnetowi, symbolowi militaryzmu, walki i poświęcenia.

– Za Kaisera, Ojczyznę i Czarnego Szczura! – zabrzmiał drugi szorstki głos.

To Reinhard poderwał swój bagnet w tym samym geście co Wilhelm, triumfalnie unosząc przy tym podbródek.

Wsparcie Prusaka sprawiło, że jakiekolwiek zwątpienie w słowa Wilhelma momentalnie rozpadło się w proch. Niepewnie nad głowami pojawił się trzeci bagnet, a później czwarty i piąty. Każdy z nich powtarzał hasło, aż nie zaczęło wybrzmiewać chórem. Odbijało się od ziemistych ścian okopów niczym jedno, wielkie wezwanie i okrzyk bitewny, wciskając wszystkich i każdego z osobna w bluźnierczy trans. Odrodziła się moc, od której odpadała wszelka korozja. Była tym, czego podczas przemówienia nie potrafili nazwać. Stal, pochwała śmierci i tajemniczy Czarny Szczur, ponad logiką, materią i cierpieniem.

Wśród tej aury jedynie brat Sigmund milczał, słuchając i wędrując wzrokiem po żołnierzach. Obraz napawał go obrzydzeniem, a każde słowo wypowiedziane przez porucznika odczuwał jako jego upadek w ciemną dolinę bez odwrotu, skąd oficer i batalion już nie powrócą.

– Nie wiesz, co czynisz, poruczniku. To diabeł, najgorszy z najgorszych. Żywi się śmiercią waszych dusz i ciał. Jeśli odwrócicie się od Boga, nie będzie dla was ratunku.

– Bóg jest martwy, bracie Sigmundzie.

***

Sepp zachwiał się na nogach, wspierając ciężar ciała o drewnianą tyczkę. Choć rana uda była zaszyta, to ból nie ustępował i stale utrudniał poruszanie się. Za jego plecami znajdował się piętrowy, zrujnowany budynek z pozostałymi fragmentami dachu. To w jego piwnicach urządzono dodatkowy szpital polowy, gdzie dogorywali ranni. Rozglądając się, szybko zdał sobie sprawę, że przebywa właśnie w Craonne. Późna pora świadczyła o tym, że leżał nieprzytomny przynajmniej dobre parenaście godzin. Otaczające go budynki były w jeszcze gorszym stanie. Ostrzał artyleryjski wiele z nich zrównał z ziemią, gdy wieś stała się częścią linii frontu.

Postawił parę kroków, zmuszając odrętwiałe ciało do wysiłku. Krzywił się niemiłosiernie przy każdym ruchu po kamienistym podłożu. Na lewo ruiny, na prawo rzędy okopów z Wielkim Czarnym Szczurem w tle. Potrzebował jeszcze chwili, by wrócić na front, choć spodziewał się, że zostanie ulokowany w drugim lub trzecim szeregu pozycji obronnych.

– E, myślałem, że gorzej z tobą – stwierdził Ingo, który jak zawsze pojawił się znikąd. Przystanął obok rannego. – Masz, napij się.

– Co znaczy gorzej? – Sepp spojrzał na blondyna zaskoczony.

Odebrał manierkę, z której następnie pociągnął większy łyk. Skrzywił się i zakasłał na smak berbeluchy.

– Zwykle traci się kończyny. Szczęściarz z ciebie. – Oparł się o samotną ścianę opuszczonego domostwa. – Przepustka?

– Nie, Ingo, zostaję – odpowiedział po chwili namysłu. – Choć chyba nie nadaje się, by pełnić służbę.

– W gorszym stanie walczono, wierz mi. – Blondyn lustrował przez chwilę Seppa. Rzadko spotyka się kogoś, kto z własnej woli odmówiłby możliwości powrotu do domu. – Dlaczego zostajesz? Po co ci to, Sepp? Ja się znam na ludziach. Dobry żołnierz z ciebie nie będzie, twoje miejsce to może w jakiejś gazecie albo w polityce.

– A jaki jest dobry żołnierz?

– Dobry żołnierz to taki, który przed niczym się nie cofnie.

– To ty też chyba nie powinieneś być żołnierzem.

Spojrzeli po sobie raz jeszcze. Ingo zaśmiał się, kręcąc głową, Sepp zaraz zawtórował słabszym, urywanym rechotem. Byli obdarci, poranieni, śmierdzący i brudni jak siedem nieszczęść, a jednak pogoda Ingo ponownie okazała się silniejsza od wszelkiej okropności. Napili się jeszcze raz z manierki, wznosząc toast za powrót Seppa do zdrowia, a następnie Ingo poczęstował go zwijką. Ten z ochotą ją przyjął, choć nie palił. Tu na froncie niewielu udało się uciec od tytoniu, a i poza nim był niezwykle popularny. Stał się jednym z elementów miejskiego życia.

– A ty, Ingo, co tu robisz? – zapytał Sepp, po tym jak zaniósł się kaszlem. – Po co tobie ta wojna?

– Dla ojczyzny, Kaisera i Boga – odparł bez zastanowienia. – Tak przynajmniej było, gdy wyruszyłem na nią wraz z innymi. Szliśmy tu dla Niemiec i naszych rodzin.

– A teraz? Dalej jesteś tu z tych powodów?

– Pies jeden wie, Bóg może, ja sam nie wiem – stwierdził blondyn po krótkiej chwili. – Rozumiesz, Sepp. W pewnej chwili po prostu walczysz, bo koledzy walczą. Może dlatego, że przysięgałeś albo chcesz sobie zasłużyć na powrót do domu. Kiedyś to miało głębszy sens, a teraz…

Sepp spojrzał w stronę horyzontu.

– Uciekł – stwierdził.

– Raczej zawisł na ostrzu noża. Po takim czasie wielu zapomina, że ma dom. Ja nie zapomniałem.

Wspomnienie rodzinnych stron przynosiło Ingo obraz poważnie chorego ojca, a co z tym idzie, niepewną przyszłość ich rodziny. Potomek był kluczowy dla dalszej egzystencji gospodarstwa, a jeśli wyruszył na wojnę, ta przyszłość przynosiła jeszcze ciemniejsze wizje. Z tej podróży mógł już nie wrócić lub też zostać kaleką, których w powojennych Niemczech było wiele. Wojna dotykała wszystkich w o wiele szerszej perspektywie, niż na pierwszy rzut oka mogło się wydawać.

Sepp nie miał dokąd wracać. Czekali na niego rodzice i zakład krawiecki w Berlinie, a jednak nie traktował tego jako swojego domu i miejsca na świecie. Dopiero tutaj, we frontowej grotesce, poczuł się tożsamy z tym, co go otacza. Los straceńców, mistrzów drążenia transzei, mimo strachu i cierpienia zdawał mu się teraz o wiele bliższy niż najcieplejszy kąt w zaciszu.

Mieli już oboje powrócić do frontowej rzeczywistości, udać się do okopów, każdy ze swoimi przemyśleniami. Jednak nagle Ingo dostrzegł postać siedzącą na jednym z wielu dużych kawałków walającego się za ścianą gruzu. Gdy odepchnął się plecami od samotnego muru, mało dyskretnie zajrzał do środka, zaraz cofając

się o krok. Sepp spojrzał na niego zaskoczony i również wychylił się, aby obejrzeć nieoczekiwane znalezisko. Był to brat Sigmund, który ze splecionymi przed sobą dłoniami wpatrywał się w przegnite i porozrywane deski niegdysiejszego domostwa. Zarzucony na głowę szpiczasty kaptur habitu tworzył raczej upiorny obraz całości.

– Brat Sigmund – szepnął Ingo.

– Kto? – zapytał Sepp.

Blondyn jednak wyraźnie nie miał zamiaru wyjaśnić i śpieszyło mu się z powitaniem zakonnika.

– Bracie Sigmundzie!

Zakonnik uniósł głowę, spoglądając na dwójkę żołnierzy, wkraczających przed jego oblicze. Chwilę trzymał wzrok na ich twarzach i wreszcie skinął głową, powoli wstając ze swojego siedziska. Jedna dłoń wsparła się na drewnianej lasce, a druga powędrowała ku górze, aby zrzucić kaptur.

– Brata się tu nie spodziewałem. Nie mówiono, że brat przybył nas odwiedzić. – Blondyn uśmiechnął się szeroko. – A czemu brat tu tak sam siedzi?

– Nie ma dla mnie miejsca w tych okopach, żołnierzu – odpowiedział zdawkowo Sigmund.

– Jak to? Dla brata nie ma? – Spojrzał krótko na Seppa i znów wrócił wzrokiem do zakonnika. – Jest brat częścią naszego batalionu, odkąd pamiętam. Modlitwę brat za mnie i Reinharda odmawiał do Najświętszej Panienki.

Sigmund wpatrywał się w zaniepokojoną i zagubioną twarz Ingo. Dopiero teraz rozpoznał blondyna w cieniu rzucanym przez stahlhelm, w dodatku wieczorną porą. Choć potrafił odpowiedzieć na wiele pytań zadawanych przez żołnierzy, to jedno wydało mu się nad

wyraz trudne. Nie miał prawa podważać autorytetu Wilhelma, zwłaszcza w tak trudnej chwili dla szturmowców. Wciągnął głośno powietrze, jednak nim zdążył zebrać słowa, Ingo ponownie zaatakował.

– Chodzi o to upiorstwo na niebie, prawda, bracie? – Ingo spuścił na moment głowę.

– Widział je brat? – wtrącił Sepp, gdy zastało ich milczenie.

– Tak – potwierdził krótko zakonnik i spojrzał w ciemność nad okopami, zaraz dodając: – I to nie pierwszy raz.

Żołnierze spojrzeli po sobie zaskoczeni i sami zamilkli na dłuższą chwilę, próbując pojąć sens odpowiedzi. Brat Sigmund nie czekał jednak na dalsze pytania; kontynuował, ponownie siadając:

– Pojawił się podczas ostatniej wojny z Francuzami, 1870 roku pańskiego. To było po tym jak przeprowadziliśmy pierwszą falę głębokiego szturm na pozycję pod Froeschwiller. Ostrzał wroga był wyjątkowo celny, a ich karabiny, zwane chassepotami, zbierały krwawe żniwo wśród moich kompanów. Druga fala nacierała już po zwłokach kolegów. – Pokiwał powoli głową na wspomnienie. – Straszny widok.

– I co było dalej, bracie Sigmundzie? – zapytał Ingo, zerkając krótko na przysłuchującego się opowieści Seppa.

– Wzmógł się ostrzał artylerii po obu stronach. Wśród tumanów kurzu, dymu i śmierci szczur pojawił się na nieboskłonie. Zniknął, gdy bitwa zakończyła się naszym zwycięstwem. – Urwał na krótko swoją opowieść. – Do tego czasu żywił się ciałami poległych, krzykami rannych i umierających. Do tego szczury, jego sprytni słudzy, wszędzie było ich pełno. Wielu popadło wówczas w obłęd,

nasłuchując podszeptów. To diabeł w swojej prawdziwej postaci, jego manifestacja z siódmego kręgu piekła.

Ingo również spojrzał na ciemność i kryjącą się w niej bestię.

– Więc ten omen pojawiał się już wcześniej, nie tylko podczas naszej wojny.

– Tak, a teraz jest tutaj, nad wami, ale nie tylko.

– Nie tylko? – zapytał Sepp.

– Jest w was, a porucznik Wilhelm zaakceptował go jako swojego sojusznika.

Sepp był przez cały czas sceptyczny wobec wiary w istnienie tego bytu w formie innej niż dziwaczne zjawisko, które z pewnością dałoby się logicznie wytłumaczyć. Powracał do tego nawet gdy jego pojmowanie rzeczywistości chwiało się w posadach i tracił rozeznanie, co jest fikcją, a co prawdą. Opowieść Sigmunda ponownie wstrząsnęła fundamentami racjonalnego postrzegania. Czyżby te wszystkie teoretycznie przypadkowe wydarzenia faktycznie były sprawką Czarnego Szczura? A sen? Czy to tylko obrazy płatającego figle umysłu, czy jednak prawdziwe podszepty zesłane z dymnej ściany? Złapał się ostatniej deski ratunku.

– Bez urazy, bracie Sigmundzie, czytałem wiele wspomnień z poprzedniej wojny. Słyszałem opowieści o niej. Jak to możliwe, że nikt nawet nie wspomniał o istnieniu Czarnego Szczura, skoro już wtedy dybał nad wami? Wątpię, by ot tak wszyscy o nim zapomnieli.

– A ty byś chciał pamiętać, żołnierzu?

***

Weterani spod Verdun i innych bitew Wielkiej Wojny wpatrywali się w ciemność zawisłą nad ziemią niczyją. Gdzieś zza niej, na swoim

dymnym tronie, bestia wymieniała spojrzenia z szturmowcami, którą uczcili przed porucznikiem, porzucając Boga. Żołnierze, którzy jeszcze przed godzinami wyglądali jak zbieranina obdartych z życia straceńców, teraz na powrót przypominali wojsko z prawdziwego zdarzenia. Ich szare, nieogolone twarze były jak rzeźby topornie wyryte w kamieniu. Powróciła dyscyplina oraz pruski porządek. To nowy, tajemniczy patron napełniał ich umysły spokojem, pozwalając cierpieniom i udrękom skryć się za ścianą nowej wiary.

Szereg ciągnący się wzdłuż ściany pierwszego rzędu okopu zdawał się nie mieć końca. Stali z wysoko uniesionymi podbródkami. Nieruchomi niczym posągi, oddawali swoje myśli Czarnemu Szczurowi i choć ciemna noc skrywała jego oblicze po drugiej stronie frontu, doskonale widzieli i czuli na sobie opalowe ślepia. Inni siedzieli w pobliżu swoich jam, milcząco tląc tytoń. Nie komplementowali już wspomnień walk i rodzin zostawionych w domu, a jedynie potęgę nowego władcy, który zdjął z nich udrękę.

Temu przesyconemu militaryzmem obrazowi przypatrywali się przybyli na front w ramach uzupełnień. Żółtodzioby nie poznały jeszcze horroru wojny pozycyjnej, nie odczuwali tego, co stare wygi – jak już pierwszego dnia zaczęto nazywać weteranów – a więc nie ulegali tak łatwo wpływowi Czarnego Szczura. Widok był dla nich niepojęty i robili tylko wielkie oczy, słuchając opowieści o ocaleniu drużyny porucznika i zawisłej nad francuskimi okopami bestii. Milcząca cześć, jaką stare wygi oddawały upiorstwu, była dla narybku swego rodzaju szaleństwem. Nikt, kto opuścił rodzinne strony i wybrał się w podróż z machiną wojenną Kaisera, nie spodziewał się zastać na miejscu bluźnierczej enklawy.

Jednak nie wszyscy byli tak sceptyczni. Wielu młodych żołnierzy, zwłaszcza z pierwszego kontyngentu, z którym przybył również Sepp, zdążyło przez parę dni okrzepnąć na tym odcinku frontu. Choć niektórzy z nich nie mogli pojąć znaczenia tej gwałtownej przemiany starych wyg, tak część wznosiła bagnety ku niebu razem z porucznikiem. Żółtodzioby chciały zostać bohaterami z opowieści ojców i dziadków, naśladowali więc starszych kolegów. Jeśli bestia na dymnej ścianie mogła im to dać, niech będzie chwała Czarnemu Szczurowi.

– Dlaczego tak patrzą? – zapytał młody żołnierz ze zgrozą, jedynie badawczo spoglądając w ciemność nocy.

– Rozmawiają z nim – odparł kompan. – Spójrz na niego, to też utniesz sobie pogawędkę.

– Oszalałeś – postukał się palcem w hełm.

– Słyszałeś, co porucznik mówił. – Wychylił się do towarzysza i sam pacnął jego stahlhelm. – To nasz sojusznik, poprowadzi nas do zwycięstwa.

– Mamy czcić to coś? Czym to właściwie jest? – Pokręcił głową. – To jakieś szaleństwo.

– Co mam ci powiedzieć? Witamy na froncie.

Przed dwójką żółtodziobów zatrzymał się jeden z sierżantów, którzy skupili się głównie na ulokowaniu i wyznaczaniu zadań dla nowo przybyłych. Dosłyszał ich słowną przepychankę i z nieprzyjemną miną obejrzał pierwszego, a następnie drugiego. Brunatny, pruski wąs uniósł się w gniewie, jednak oficer zachował spokój, odurzony otaczającą go aurą.

– Jakiś problem, młokosy? – zapytał – Mało macie zajęć?

– Nie, panie sierżancie! – odparli jednogłośnie.

– Weźcie się za coś, bo sam wam coś znajdę.

– Panie sierżancie, proszę wybaczyć, że pytam, ale czym jest ten Czarny Szczur, o którym mówił porucznik?

Oficer milczał dłuższą chwilę, aż nie obejrzał się za siebie, aby spojrzeć w ciemność, za którą kryła się bestia na swoim tronie. Tego wieczoru wielu zadawało sobie i kompanom właśnie to pytanie. Stare wygi musztrowały żółtodziobów, jakby w wewnętrznej wojnie religijnej, a gdy próbowano wyjaśnić uczczony przez porucznika byt, każdy twierdził coś innego. W gruncie rzeczy nikt nie wiedział, czym jest wojenny totem na dymnej ścianie lub też każda opowiedziana wersja była prawdziwa.

– To wasz sztandar, o który pójdziecie się bić. Wskazuje wam okopy Francuzów, abyście mogli je zająć.

– Sztandarem jest Bóg Wszechmogący i Niemcy, panie sierżancie.

– Przymknij się – wtrącił kompan.

– To jest Bóg – syknął oficer, szybko tracąc cierpliwość.

– Ta bestia? To niepojęte, panie sierżancie. Proszę wybaczyć.

– Chyba za mało w koszarach po łbie oberwałeś, szeregowy – odparł z naciskiem. – Nie widziałeś Verdun, co? Masz dużo szczęścia, młokosie. Bóg nie uchronił twoich towarzyszy broni od zbierania swoich kolegów z ziemi niczyjej. Noga po nodze, ręka po ręce, do kupy. Nie zapobiegł zdziesiątkowaniu batalionu, do którego trafiłeś, więc skończ pieprzyć o Wszechmogącym. Jego tu nie ma. Jest ten, który ocalił porucznika i jego drużynę. To on się za nami opowiedział w naszym upadku.

Żołnierz zmieszał się. Takich pojedynków słownych było tego dnia naprawdę sporo. Świeża krew w krwiobiegu oddziału mogłaby

obalić dziwaczny, niepokojący kult zainicjowany przez Wilhelma, nie miała jednak żadnej siły przebicia. Nawet mimo swojej liczebności wciąż pozostawali nieopierzonymi żółtodziobami. Kolejna porcja armatniego mięsa z kwiatu młodzieży. Trafili do świata całkiem innego niż ten, który znali. Tu kończyła się znana młodzieńcom cywilizacja, a rozpoczynało władztwo Czarnego Szczura. Zamiast czujnych oczu rodziców i niewinnego spojrzenia dziewcząt wpatrywały się w nich opalowe ślepia bestii. Nie było tu opiekuńczego ramienia sięgającego szczytu potęgi Cesarstwa Niemieckiego, lecz wyryte w ziemi transzeje i błoto usłane trupami. Brakło oper, śpiewu ptaków, kabaretów i teatrów. Pozostała kawalkada dział, skowyt wojny i jego głos, gdzieś z tyłu głowy.

ROZDZIAŁ IX

– Ofensywa, majorze.

W ciemnicy rozległ się lodowaty głos, który Matthias zdążył już poznać. Przeszywający jak ostrze bagnetu od razu ugodził go w umęczone serce i umysł. Major zerwał się na równe nogi ze swojego leża i rozejrzał w amoku, dopiero po chwili dostrzegając słaby, cienisty obłok, który uformował się w humanoidalny kształt. Lewitował parę centymetrów nad ziemią, nieruchomy, choć jego postawa wydawała się jednocześnie pełna grozy i żałosna.

– Nie wydałeś rozkazu do ofensywy – dokończył nienaturalny intruz. – Mówiłem, Niemcy zawsze są w natarciu.

– Znów ty, upiorze! – załkał w gniewie i bezsilności major. – Nawiedzasz mnie, zsyłasz sny. Co ci uczyniłem?

– Raczej czego nie uczyniłeś – odparł nieruchomy cień. – Szturm.

– Nie mogę! – Matthias potrząsnął głową i ciężko siadł na łóżku, dłoniami obejmując głowę. – To nie powinno powtórzyć się już nigdy więcej. Nie widziałeś tej rzezi pod twierdzą Vaux i na innych odcinkach pod Verdun. Nie masz prawa tego żądać!

Major zerwał się na równe nogi, oskarżycielsko wskazując na cień palcem. Lęk i desperacka obrona były wybuchowym połączeniem, a mężczyzna czuł się jak zwierzę zapędzone w róg klatki, z której nie może się wydostać. Krew wrzała, umysł nie odróżniał już zupełnie, co było prawdą, a co fikcją. Odcięty w swojej jamie nie wiedział, jak ma się sytuacja na froncie i czy jego ludzie

jeszcze zipią. Nikt nie przychodził z wizytą, prócz podporucznika przynoszącego żywność. Na własne życzenie pozostawiono go samemu sobie. Drapieżnik z wyłamanymi kłami, zaszczuty przez wojnę, której chciał być panem.

– Francuzi i Brytyjczycy wykrwawieni są nie mniej od nas, majorze – odparł cień bez najmniejszego namysłu, jakby wiedział, co powinien mówić. – To nasza szansa.

– Nasza? Czym ty właściwie jesteś, upiorze?

– Twoim wsparciem w trudnej chwili dla ciebie i armii Kaisera, jak zawsze. I tobą również jestem. – Czerń ani drgnęła, a jednak major ciągle miał wrażenie, że wpatruje się wprost w niego.

– Mną? – Major oparł się plecami o biurko, zaciskając dłonie na blacie. – Jesteś upiorem, złym snem, nawet twarzy nie masz.

– Otóż to, majorze.

Zapanowała cisza. Matthias spuścił głowę, a jego umysł nie był już w stanie skupić się na czymkolwiek. Jednocześnie czuł, że istota nazywana przez niego upiorem góruje nad nim. Był to swojego rodzaju gest poddaństwa wywołany wszechobecnością tego bytu i pewnością, z jaką przemawiał.

– Ja już nie dowodzę – zaczął major ze wzrokiem wbitym w ziemię. – Nad oddziałem czuwa porucznik Wilhelm, zresztą on lepiej się do tego nadaje. Ja nie mogę nawet stąd wyjść.

– Jedynie ty możesz dać rozkaz do szturmu, Matthiasie – odpowiedział upiór.

– Jeśli dam taki rozkaz, co wtedy będzie?

***

Brat Sigmund opuścił dwójkę rozmówców po swojej opowieści. Nie widział drogi ratunku dla oddziału owładniętego pasją wobec grozy na ciemnym niebie, a i jego samego spoglądanie w opalowe ślepia napawało uczuciem tak potwornym, że nie był w stanie mu sprostać. Ulokował się gdzieś na krańcach Craonne lub też całkiem porzucił niemieckie pozycje. Z pewnością widok Czarnego Szczura i oddającego mu cześć porucznika nieraz powróci w pamięci oraz snach zakonnika.

Sepp i Ingo siedzieli przez dłuższą chwilę wśród gruzów, pozostawieni z własnymi myślami. Gdzieś w tle świerszcze wygrywały spokojną melodię, a marcowa noc, choć pogodna, wydawała im się sojuszniczką bytu górującego nad ziemią niczyją. Pomimo tego, że byli poza rzędami okopów, a jeszcze dalej od pola walki, doszczętnie zniszczona okolica również jawiła się im jako teren bestii. Czuli na sobie objęcia szczurzych łapsk, nawet jeśli nie oddali swoich dusz razem z Wilhelmem. Napełniające ich serca niepokój i gorycz były tym większe, że poczuli się wyobcowani od ludzi, z którymi dzielili beznadzieje i cierpienia.

Głowy dwójki żołnierzy poderwały się na widok jakiegoś cienia, który przemknął pomiędzy zwalonymi ścianami niegdysiejszych budynków. Spojrzeli po sobie, jakby szukali potwierdzenia, czy aby dostrzegli to samo. Natychmiast podnieśli się ze swoich miejsc. Ingo ruszył przodem, zdejmując z ramienia karabin. Sepp szedł gdzieś za jego plecami, poruszając się o tyczce. Jakże teraz żałował, że nie był w pełni sił. Obaj zachowywali czujność, idąc w ślad za cieniem.

Słyszało się wiele o partyzantach zarówno na froncie wschodnim, jak i zachodnim. Za wszelką cenę próbowali przeszkodzić machinie wojennej Cesarstwa. Tutaj dotyczyło to

zwłaszcza Belgii, gdzie cywilom masowo odbierano wszystko, co tylko mogło się przydać. We francuskich gazetach wrzało o gwałtach i mordach dokonywanych przez Hunów – jak nazywano Niemców – ale do uszu cesarskiego frontowca nie docierały informacje o poczynaniach armii za jego plecami. Za to żołnierz po przeciwnej stronie ziemi niczyjej często był wręcz zasypywany takimi opowieściami. Nienawiść podsycano w obu armiach.

– Jesteś pewien? – zapytał szeptem Sepp.

Choć odzyskał karabin, to na potencjalnie ruchomym polu walki nie stanowił większego zagrożenia.

– Wiem, co widziałem – odparł Ingo. – Nie chce tu ani pożaru, ani strzałów w plecy.

Przemierzając korytarz pomiędzy ścianami, na chwilę zgubili trop, jednak udało się go znaleźć, gdy cień mignął nieopodal ruin, które niegdyś były młynem. Ostrożnie podążyli w tamtą stronę, starając się nie pokazywać na otwartym terenie. Potencjalnych intruzów mogło być więcej, pomimo tego, że przez cały ten czas nikogo nie zauważyli prócz upatrzonego wcześniej celu. Ingo trzymał broń przy barku. Napięcie wzrastało z każdym krokiem. Po raz trzeci cień pojawił się już za młynem i susem wskoczył do jego wnętrza. Żołnierze zbliżyli się do zmurszałej ściany, opierając się o nią plecami. Spojrzeli po sobie krótko i po cichu zakradli się do wyłomu robiącego za wejście. Blondyn wychylił się i zerknął w ciemnice. Sepp odłożył tyczkę, po czym chwycił swój karabin, przesuwając się, aż nie przywarł ramieniem do kompana.

Wtedy też Ingo wymierzył wprost w wyrwę, a następnie wkroczył do środka. Światło księżyca pozwalało rozpoznać jedynie zarysy znajdujących się wewnątrz przedmiotów. Młodzieniec, nie

zauważywszy żadnego ruchu, dał Seppowi znak, aby ten dołączył. Nim jednak zdążył zakończyć gest, coś uderzyło go w głowę. Jęk Ingo i brzdęk stahlhelmu rozniosły się echem po pomieszczeniu. Cios nie był mocny, więc żołnierzowi udało się ustać na nogach. Cień pojawił się tuż po jego prawej. Dzierżył w dłoniach kawałek grubego kija. Padł drugi cios, jednak blondyn sparował go mauserem, a intruz uskoczył przed kontruderzeniem kolbą. Kulawo wkraczający do środka Sepp w pierwszej chwili nie był w stanie ocenić sytuacji. Dopiero gdy przeciwnik rzucił się do ucieczki, Josef powalił go na ziemię i obaj szturmowcy z agresją wypisaną na twarzy wymierzyli broń w postać.

Rozległ się cichy szloch, który zaskoczył dwójkę żołnierzy. Księżyc rzucał odrobinę światła na wyrwę i ujawnił obliczę dziewczynki w wieku około dwunastu lat. Nosiła brudną, wyświechtaną sukienkę. Chude rączki pokrywały pręgi od zadrapań oraz siniaki. Ciemne, potargane włosy opadały luźno na ramiona. Utkwiła zlęknione spojrzenie w mierzących do niej szturmowców. Nie była w stanie wykrztusić ani słowa; wyglądali dla niej jak potwory z najgorszych koszmarów. Obaj niczym bestie czające się pod łóżkiem i w szafie każdego dziecka, któremu przyszło samotnie toczyć batalie w ciemnym pokoju. Podrapane, wątłe ciało pozostawało nieruchome, przez strach nie mogła się ruszyć, chociaż ból po ciosie od Seppa sprawiał, że łzy wzbierały w kącikach oczu.

– Masz swojego wroga, Ingo. – Sepp pokręcił głową i powoli opuścił broń. – Dziewczynka.

– To sierota – odpowiedział blondyn i również opuścił broń.

– Skąd wiesz?

Ingo nie odpowiedział mimo ponaglającego spojrzenia kompana. Ten natomiast przewiesił karabin przez ramię i z trudem podszedł bliżej dziecka, krzywiąc się przy każdym ruchu przez swoje rany. Ostrożnie ukucnął, nie odrywając od niej wzroku, i wyciągnął dłoń. Przestraszona dziewczynka skuliła się w sobie. Z nieufnością i lękiem spoglądała na Josefa.

– Nie bój się, nie zrobimy ci krzywdy – rzekł cicho żołnierz i zdjął stahlhelm. – Uderzyłem cię, wybacz. Jak ci na imię?

Dziewczynka zadrżała, po czym otarła mokre oczy. Zdołała wydusić z siebie jedynie parę niemrawych słów po francusku i spuściła głowę. Przyglądający się scenie Ingo spochmurniał; odwrócił wzrok od dwójki, przewieszając mausera przez ramię. Sepp skarcił się w duchu, że nie zna żadnego języka prócz ojczystego. Jeszcze raz podjął próbę podania dziewczynce dłoni. Tym razem niepewnie sięgnęła do ręki żołnierza, chociaż wyraźnie bała się jego zamiarów.

– Spokojnie, zabiorę cię stąd. Nie powinnaś przemykać tak blisko frontu, to niebezpieczne – mówił.

– Sepp – wtrącił Ingo z westchnięciem. – Nie powinniśmy.

– Co? – Uniósł wzrok na kompana. – Czego nie powinniśmy?

– To Francuzka, może szpiegować – rzekł mechanicznie. – Wedle zaleceń powinniśmy ją zaprowadzić do oficera.

– To dziecko – odparł, kręcąc głową. – Chcesz ją zaprowadzić do armii oddającej cześć totemowi z ziemi niczyjej? Zaprowadzimy ją i co wtedy?

Blondyn nie udzielił odpowiedzi na pytanie, nie musiał. Jego spojrzenie mówiło więcej niż trzeba było, a Sepp z łatwością to odczytał. Dla wszelkich sabotażystów i szpiegów, niezależnie od płci

i wieku, nikt nie miał żadnej litości. Pojawianie się ich wywoływało niepokój i napięcie, a często wręcz stałą potrzebę oglądania się za siebie. Im większą goryczą front napełniał zbiorcze serce każdej z armii, tym brutalniejsza stawała się dla wrogich żołnierzy i cywilów.

Dziewczynka zadrżała, ale podniosła się powoli przy pomocy Seppa, który również wstał. Puściła dłoń i sięgnęła do leżącego nieopodal worka z paroma niedbale naszytymi łatami. Ze spuszczoną głową położyła go przed żołnierzami i skruszona cofnęła się o dwa kroki. Dwójka szturmowców spojrzała po sobie zaskoczona, aż w końcu Josef otworzył worek, zaglądając do środka. Wewnątrz znalazł ziarna pszenicy, najpewniej pozostawione w młynie, w trakcie gdy ludność ewakuowała się z Craonne.

– To ziarno, ona szuka jedzenia, Ingo – stwierdził Sepp, wyjmując z worka garść pszenicy, aby pokazać ją blondynowi. – Nie szpiegowała, jest głodna. Za to chcemy ją zaprowadzić do oficera?

– Nie twierdzę, że robimy dobrze, Sepp – odpowiedział. – Jeśli jednak tego nie zrobimy, będzie to złamanie rozkazu.

Obaj spojrzeli na dziewczynkę. Wyczekiwała w swojej nieruchomej, skruszonej pozie jak na skazanie. W trakcie ich dyskusji nie drgnęła ani o milimetr, zupełnie sparaliżowana strachem. Przyłapano ją na kradzieży, a swoimi zbyt młodymi oczętami widziała już, jak kończyli ci, którzy próbowali zwędzić cokolwiek niemieckiej armii. Wielu jednak nie miało innego wyjścia. W warunkach wojny próbowano wszystkiego, aby zapewnić sobie i swoim rodzinom jakikolwiek byt. To wiązało się z ryzykiem wykrycia, a częstokroć śmierci. Jednak nawet to nie było przeszkodą. Głód jest torturą odbierającą wszelkie zmysły. Śni się i budzi

wyłącznie z potrzebą zaspokojenia pustego żołądka. Nawet najbardziej przerażonemu perspektywą zgonu od pocisku, śmierć głodowa wydawała się jeszcze potworniejszym losem. Podsycany myślą o choćby najmniejszym kęsie, głodny gotowy jest na wszystko.

W trakcie tej chwili marazmu usłyszeli za sobą kroki. Dwójka szturmowców gwałtownie odwróciła głowy, nie spodziewając się gościa. Sepp pomyślał o ukryciu dziewczynki, jednak było już na to za późno. Stanął przed nimi żołnierz, którego po pagonach rozpoznali jako sierżanta, w dodatku sporej postury i raczej nieprzyjaznym nastawieniu, sądząc po gniewnie wykrzywionej twarzy z pruskim wąsem.

– A wasza dwójka co tutaj robi? – krzyknął. – Oddalanie się od pozycji bez rozkazu jest zabronione!

– Panie sierżancie, melduję, że wyszedłem ze szpitala, a Ingo chciał pomóc mi w powrocie na front – zarekomendował Sepp.

Wyprostował się jak struna wraz ze wspomnianym przez siebie kompanem.

– Ze szpitala, co? – Oficer skrzyżował ramiona na klatce piersiowej. – To co robicie w młynie, żołnierze?

– My… – zaczął Josef, jednak sierżant zaraz mu przerwał.

– Odsunąć się!

Chcieli zaprotestować, a jednak autorytet oficera nakazał im zrobić przejście, co uczynili nie mniej skruszeni niż dziewczynka wewnątrz ruin. Oficer zajrzał do środka i dostrzegł dziecko, marszcząc brwi na ten widok. Po chwili spojrzał zimno po żołnierzach. Intruzka skuliła się w sobie jeszcze bardziej, czując onieśmielającą aurę sierżanta. Sepp szykował się już do

wytłumaczenia całej sytuacji i próby obrócenia jej na ich korzyść, jednak nim zdążył cokolwiek powiedzieć, padło słowo klucz.

– Szpieg. – Oficer zacisnął zęby.

– To nie tak, panie sierżancie, ona… – rzekł pośpiesznie Josef, szerzej otwierając oczy.

– Kryjesz szpiega, żołnierzu? Może i ty nim jesteś.

– Była głodna, sierżancie, to sierota – wtrącił Ingo, odsuwając się o krok.

– Bez dyskusji, zaprowadzicie ją do porucznika.

– Tak jest, panie sierżancie! – odparł Sepp.

Zabrakło potwierdzenia rozkazu od Ingo. Zamiast tego, blondyn z impetem uderzył oficera przygotowaną po kryjomu saperką, gruchocząc kark tym śmiercionośnym narzędziem, które nieraz, prócz swojego naturalnego przeznaczenia, służyło jako broń do walki wręcz. Ciało bezwładnie osunęło się na ziemię, zamierając w bezruchu. Twarz zabójcy wykrzywiła się w niekontrolowanym gniewie, ściskanym wewnątrz, odkąd trafili na dziewczynkę. Wzbierał w nim, wywołany bezsilnością. Musieli oddać to dziecię na pastwę wojny, choć nie była niczemu winna. Wystarczył impuls. Nawet w najpiękniejszej duszy drzemie morderca.

Dziewczynka z kolei zdawała się być zupełnie nieprzejęta czynem żołnierza, a jedynie zacisnęła mocno dłonie w piąstki przy tak gwałtownym obrocie wydarzeń. Być może upatrywała w tym swoją szansę. Są warunki, gdy nie liczy się waga czynu, a jedynie przetrwanie niezależnie od ceny.

Sepp wpatrywał się zszokowany na trupa u swoich stóp. Kompletnie nie spodziewał się takiej reakcji po towarzyszu broni. Oddech przyśpieszył, a niebieskie oczy podniosły się na skrytą

w cieniu stahlhelmu twarz blondyna, chowającego właśnie za pas narzędzie zbrodni. Dłonie zadrżały, plecami oparł się o ścianę młyna. Księżyc rzucający niedbałe światło w wyrwę tworzył wokół Ingo jeszcze bardziej upiorne wrażenie.

– Coś ty narobił? – wydusił Sepp i spojrzał na dziewczynkę. Zaraz oderwał się od ściany i kulejąc, podszedł do niej, by chwycić ją w nadgarstku. – Zabiorę cię stąd.

– Wybór – odparł blondyn. – Wiesz, co by się z nią stało.

– To nie jest rozwiązanie. Zabiłeś go, Ingo – rzekł pewniej.

– Jeszcze nie zrozumiałeś? Tu nie ma innych rozwiązań. Chciałeś ocalić jej życie.

– Nie poprzez odbieranie go komuś innemu.

Sepp zaczął prowadzić milczącą dziewczynkę do wyjścia. Ta posłusznie kroczyła tuż przy nim, jedynie tęsknie spoglądając za workiem.

– Tym się zajmujemy, Josef. Odbieramy innym życie. – Blondyn chwycił worek i ruszył za dwójką. – Po tu jesteśmy.

Wyszli na zewnątrz i spojrzeli na niegdysiejszy las za Craonne, przypominający raczej cmentarzysko drzew niż promieniejący chwałą, pełen życia krajobraz. Przetaczająca się machina wojenna pozostawiła po sobie nagie kikuty. Sepp postanowił odprowadzić dziewczynkę poza granice wioski, choć najchętniej poszukałby dla niej jakiegoś schronienia. Wiedział jednak, że nie powinien się nadto oddalać od pozycji. W razie wykrycia mogło to zostać potraktowane nawet jako dezercja.

– Co za to grozi? – zapytał po długiej chwili milczenia.

– Bo ja wiem. Ty tu jesteś wykształciuchem, Sepp – odparł sucho blondyn. – Sąd wojskowy? Rozstrzelanie? Stryczek?

– Musimy ukryć zwłoki.

– Czekałem, aż to powiesz.

***

Dziewczynka odeszła z workiem ziarna ledwie przed godziną, pozostawiona na skraju zniszczonego wojną lasu. Miała swój łup mimo wydarzeń, które ją spotkały. Do końca wydawało się, że nijak na nią nie wpływają. Horror wojny całkiem przyzwyczaił jej młody umysł do widoku śmierci. Zabił w niej ludzkie odruchy, pozostawił skruchę i smutną minę jako formę obrony za przewinienia, nie faktyczny żal za czyny. Nie brakowało sierot takich jak ona. Z każdym dniem przybywało ich: z kolejną próbą ofensywy lub zbiegiem okoliczności, najprostszym pechem w okopowym szaleństwie.

Była już późna noc, a front całkiem zapadł w sen przed obliczem swojego nowego władcy. Jedynie Sepp i Ingo kryli się w niegdysiejszej gęstwinie, ryjąc saperkami w błotnistej ziemi. Ciosy wydłubujące kolejne fragmenty gruntu były gwałtowne i pośpieszne. Miny zacięte, jakby sam diabeł ich gonił. Tuż obok pogłębianego dołu leżało ciało sierżanta. Poszarpany mundur i twarz blada jak kreda. Martwy oficer wyglądał jakby po prostu spał.

– Nie znajdą go? – zapytał nerwowo Sepp, krótko spoglądając w stronę kompana.

– Jest numerem na kartce, tak jak i my – odparł blondyn. – Dopiszą do niego dezercję lub po prostu zniknie.

– Po prostu zniknie?

– Przypomnij sobie z pobytu w koleinie – Ingo pokręcił głową. – Zaginiony. W warunkach wojny nikt nie ma czasu na śledztwa i takie

tam.

Dół po paru dłuższych chwilach był już wystarczająco głęboki. Dwójka szturmowców odsunęła się od niego, aby nabrać powietrza w płuca po wzmożonym wysiłku. Zwłaszcza Seppowi kopanie dało w kość, jako że ramię i udo ciągle przypominały o sobie bólem. Saperki wbili w ziemię, a spojrzenia padły na leżące nieopodal zwłoki. Do Ingo dopiero teraz zaczynała docierać świadomość tego, co zrobił. Początkowo był pewien konieczności tak drastycznego posunięcia, a na myśl o losie, jaki spotkałby dziewczynkę, w żyłach buzowała mu krew. Wszystko stało się nagle, mechanicznie, jak wiele razy przedtem w szturmach na bagnety. Teraz jednak czuł ukłucie zdradzieckiego noża, ostrzem skierowanym we własnych kompanów.

– Zabiłem wielu ludzi – stwierdził, po czym nerwowo zacisnął wargi. – Ale nigdy kogoś z naszych.

– Wspominaliście, że wojna, sam wiesz… – Sepp spuścił na moment głowę, splatając palce na kolanach. – Że jest jedną wielką machiną śmierci.

– To smakuje inaczej – odparł. – Zabij lub zostań zabity. Tu nie groziła mi śmierć.

– Jej groziła. – Spojrzał na blondyna. – Sam mówiłeś, wybór.

O ile w Ingo upadała pewność, tak Sepp zaczynał jej nabierać. Wydarzenia ostatnich dni krzepły w jego umyśle z każdą chwilą. Josef poczuwał się do bycia częścią wojennej gorączki – stopniowo, coraz bardziej nawykły, ale jeszcze nią niezniszczony. Nauczony, że wszystko ma swoją większą lub mniejszą cenę. Tu, przed obliczem Czarnego Szczura, zazwyczaj ogromną.

Obaj podnieśli się ze swoich miejsc i podeszli do ciała, aby wspólnymi siłami, za ręce, przeciągnąć je bliżej wykopanej

w pośpiechu dziury. Ciężko ryło się saperkami w gliniastej ziemi i choć dół był odpowiednio głęboki i szeroki, by pomieścić trupa, okazał się niewystarczający, aby robić za pełnoprawny grób. Martwy sierżant ciążył szturmowcom i w rękach, i w duszy. Stopniowo zbliżając się do miejsca pochówku, dostrzegli już dobrze znaną sobie dziewczynkę, która wyłoniła się zza jednego z kikutów drzew.

Jej niepewne spojrzenie przebiegło po żołnierzach. W końcu jednak podeszła do nich, chwytając nieboszczyka za nogi. Sepp i Ingo wpatrywali się zaskoczeni oraz częściowo oszołomieni tym widokiem. Ostatecznie pozwolili sobie pomóc i wspólnie przeciągnęli grzęznące w błocie ciało nad grób. Groteskowość zdarzenia, która odbiła się na umyśle szturmowców, wynikała nie tyle z pojawienia się ocalałej, co przede wszystkim z faktu, że taszczyła z nimi truchło. Jakby czuła się winna tej zbrodni lub chciała okazać wdzięczność w dziwny sposób. Popchnęli ułożonego na krawędzi nieboszczyka, a ten wpadł w odmęty gliny. Ingo chciał złożyć dłonie do modlitwy, aby pożegnać sierżanta, ale szybko tego zaniechał, chwytając za saperkę. Ukrycie zbrodni okazało się ważniejsze.

Dziewczynka klęknęła, brodząc kolanami w błocie. Nagie dłonie zrzuciły do dołu część wykopanej ziemi. Następnie ze spuszczoną głową wyszeptała słowa, których nie byli w stanie zrozumieć. Pochwycone przez szturmowców saperki poszły w ruch i kolejne warstwy gleby przykrywały ciało zamordowanego. Ciszę przerywały miarowe ruchy narzędzi. Dziewczynka wpatrywała się w znikającego pod ziemią bladą twarz sierżanta, jakby w wyczekiwaniu, aż dół całkiem go pochłonie. W jej oczach nie było żalu ani współczucia,

jedynie piąstki co jakiś czas nieśmiało dosypywały swoją porcję wilgotnej gliny.

– Dlaczego wróciła? – zapytał Ingo.

– Chyba wie, dlaczego go zabiłeś – odparł Sepp.

– Nie powinna oglądać, jak go grzebiemy.

– Widziała już gorsze rzeczy.

Sierżant został pochowany, a szturmowcy podnieśli się i zakryli naruszoną ziemię naturalnymi elementami terenu – mchem, kamieniami i korą – aby grób nie odróżniał się niczym od krajobrazu. Dziewczynka jednak nadal klęczała, wpatrując się pusto w glebę, gdzie pogrzebali nieszczęśnika. Nawet gdy Ingo i Sepp wieńczyli swoją pracę, jej wzrok nie oderwał się od miejsca pochówku.

– Co ona robi? – Zmęczony Sepp wsparł się o kikut drzewa, zawieszając spojrzenie na drobnej postaci.

– Jest taki rodzaj smutku bez żalu i gniewu – odpowiedział blondyn. – Uderza z innej strony niż ten wobec twojego lub czyjegoś nieszczęścia, walącego się w gruzy żywota. Trwały, nie wyciska łez, zwyczajnie nic poza nim nie ma.

– Skąd pewność, że to akurat ten smutek?

– Jeszcze go poznasz.

***

Porucznik Wilhelm Strauss przesiadywał nieopodal kwatery majora na trzecim rzędzie okopów. Był w tym samym miejscu, gdzie poprzednio, gdy dotarło do niego, że Matthias w dalszym ciągu nie jest w stanie pełnić swojej funkcji i ciężar trzymania tego wszystkiego w ryzach spadł na jego własne barki. Wpatrywał się w oblicze Czarnego Szczura, który w świetle księżyca krzyżował

z nim swoje opalowe ślepia. Widok nieruchomej bestii ponownie sprawiał, że oficer odczuwał spokój i orzeźwienie okaleczonego umysłu. Było jednak w tym uczuciu coś nowego. Ta górująca nad wszystkim potęga łaknęła posiłku. Tylko gdzieś w odmętach podświadomości podszepty uświadamiały Wilhelmowi, że rozpieszczający go spokój przeminie jak przy gwałtownym tąpnięciu, jeśli Czarny Szczur nie zostanie nakarmiony. Wraz z utraconym ukojeniem batalion również straci nowe siły.

Panowała przenikliwa cisza, przerywana jedynie przez przemieszczających się na swoje pozycje gwardzistów i podoficerów. Zanosiło się na spokojną noc, jakby i ona miała być gestem ze strony wojennego totemu. To trwało do czasu aż we wnętrzach jam nie rozległy się pierwsze dźwięki drapania maleńkich łapek.

Najpierw pojedyncze, a im wtórowały nieśmiałe piski. Potem żwawsze, jedne po drugim drapanie ścian, jakby próbowało znaleźć wspólny rytm. Z chwili na chwilę dźwięki nachodziły na siebie coraz śmielej, stopniowo zamieniając się w prawdziwą katatonię. Rozpoczęły się szczurze harce. Nieopisana masa gryzoni wszelkiego umaszczenia i rozmiarów rozpierzchła się po cesarskich okopach, buszując licznie pośród korytarzy i w żołnierskich kwaterach. Wykradały resztki jedzenia, ciesząc się każdym kęsem. Dziurawiły wydrążone w ziemi ściany. Szabrowały w słomianych posłaniach, ubraniach oraz wszędzie tam, gdzie tylko łakome, ostre ząbki i małe łapki mogły odnaleźć swoją zdobycz.

Szturmowcy jednak nie walczyli z nimi. Żaden stary wyga, który oddał hołd Czarnego Szczurowi nie ważył się podnieść saperki, bagnetu ani nawet pięści na któregokolwiek z gryzoni. Nie padały wrzaski i siarczyste bluzgi. Wszyscy wsłuchiwali się w harce

sprytnych zwierząt, a wielu w iście groteskowych scenach dzieliło się z nimi żywnością lub otaczało przybyszów prawdziwą czcią. Z kolei żółtodzioby próbowały oprzeć się tej pladze, jednak na darmo. W ciemnościach nocy to szczury były panami cesarskich okopów.

Odgłosów nasłuchiwał porucznik, nie odrywając oczu od wojennego totemu, który bezgłośnie chichotał, gdy jego dzieci buszowały po linii frontu. Choć w takiej masie zdarzyło się to już raz, to tym razem nie był to obraz apokalipsy i horroru wojny, a raczej kompletnego szaleństwa. Podnosiły się śmiechy, a ktoś, wychodząc z jamy, rozpostarł ramiona, kierując je w stronę Wielkiego Czarnego Szczura. Nie było zrozpaczonego łkania i gniewu, gdy gryzonie kąsały i nie pozwalały zmrużyć oka. Jak w religijnym uniesieniu odbierali dar od swojego patrona.

Porucznik usłyszał nieopodal skrobanie, a gdy odwrócił głowę w tamtym kierunku, ujrzał tuż przy sobie gryzonia, którego dobrze znał. Rozpoznał go od razu. To samo czarne szczurzysko zauważył na dnie koleiny, gdzie spędził noc z pozostałymi żołnierzami, a także wcześniej. Chwilę przed tym, jak snajper przygwoździł ich do błotnistej ziemi. Stworzenie wpatrywało się w twarz Wilhelma, stojąc na tylnych łapkach, bez lęku. Ciekawsko wyciągało łeb.

– Znów się spotykamy, mój zbawco – rzekł półszeptem porucznik. – Jesteś jego posłańcem? Może i nim we własnej osobie?

Zwierzę ponownie usadowiło się na czterech odnóżach, a łysy ogon zakreślił krąg w błocie. Porucznik Wilhelm powoli wyciągnął dłoń, nie odrywając stalowego spojrzenia od gryzonia. Ten wdrapał się na wierzch i przechodząc po nadgarstku, a następnie wspinając się po ramieniu, ułożył swoje cielsko na barku człowieka. Dwa obrazy

jak jedno, straceniec ze straceńcem. Wspólnie piją z kielicha wojennej gorączki; co innego i to samo zarazem.

ROZDZIAŁ X

Nad cesarskimi okopami wstał świt, skryty za plecami ciemnego, wojennego totemu. Po tych paru dniach żołnierze zdążyli przyzwyczaić się do mniejszej ilości światła. Nadto, duża część weteranów, która popadła w kult Czarnego Szczura, nawet nazywała tę ciemność jego opiekuńczym całunem. Dla ledwie przybyłych żółtodziobów nagła przemiana starych wyg była dużym szokiem. Mimo to młodzieńcy starali się wykonywać swoje obowiązki tak dobrze jak umieli, z niesłabnącą nadzieją, że to tylko senna mara, która zaraz przeminie, lub chwilowa fascynacja, mająca zostać rozmyta przez świeżą krew.

Żołnierze wałęsali się w tę i z powrotem. Sierżanci odczuli niezrozumiałą ulgę, jakby wszystko wracało do stanu sprzed rzucenia się w gorejącą stalą i ogniem paszczę rzezi pod Verdun. Tym, którzy poddali się spojrzeniu Czarnego Szczura, lżej było godzić się z frontowymi niedogodnościami. Nawet wszechobecne błoto, wszy i choroby nie przeszkadzały tak jak dotychczas. Żółtodzioby znosiły to gorzej, jednak wciąż pojawiali się kolejni, którzy za przykładem starszych kolegów spoglądali w opalowe ślepia. Kto by się martwił szlamem, gdy potęga goreje na horyzoncie.

Wielu walczyło z bezsennością. Nieustające przez całą noc szczurze harce dały się we znaki po raz kolejny. Wydźwięk jednak był już zupełnie inny niż poprzednim razem. Sprytni słudzy wojennego totemu traktowani byli niczym posłańcy swojego pana i nikt nie ważył się podważyć ich hegemonii. Tym razem nie wynoszono

wiader wypełnionych martwymi gryzoniami. Jedynie młodzi klęli na szaleństwo, jakie opanowało stare wygi i kolaborującą z nimi część żółtodziobów.

– Oddział zdaje się wracać do życia, poruczniku.

Reinhard szedł powoli obok Wilhelma, uważnie spoglądając spod pikelhauby na mijanych żołnierzy.

– Nasi ludzie na nowo uwierzyli w zwycięstwo – odparł sucho porucznik.

Na ramieniu oficera siedział szczur. Łysy ogon gryzonia bujał się miarowo z każdym krokiem towarzysza. Zdawał się w pełni rozumieć słowa wypowiadane przez szturmowców. Często podnosił swój mały łeb, aby paciorkowatymi ślepiami spojrzeć na twarz Wilhelma skrytą w cieniu stahlhelmu. Widok ten napełniał weteranów spokojem i wiarą, natomiast żółtodziobów zgrozą. Dla starych wyg był kolejnym symbolem obecności i przychylności górującej nad ziemią niczyją bestii. Nowo przybyli wzdrygali się, jakby potok tego szaleństwa wzbierał na sile i nigdy nie miał się zatrzymać.

Zwierzę nie lękało się obecności tak wielu mijanych ludzi. Zdawać się mogło, że czyta z szarych oblicz żołnierzy ich wspomnienia, koszmary i lęki, których nigdy tu nie brakowało. Najchętniej jednak gryzoń spoglądał na surowe rysy porucznika. On był symbolem batalionu, największą z rozpaczy, bo znosił bóle za siebie i swoich ludzi zarazem.

– Wszelkie dezercje ustały. Nawet nie psioczą jak zwykle, to mnie martwi – rzekł Prusak, krótko zerkając w stronę gryzonia.

– Że nie psioczą? – zapytał spokojnie porucznik.

– Jeśli żołnierz nie psioczy, to znaczy, że nie żyje – mruknął.

– Ty nigdy nie psioczysz, Reinhard – odparł surowo, a jednak pod stahlhelmem pojawił się niewyraźny uśmiech.

– Oczywiście, że nie, poruczniku. – Pokiwał równo głową, zaraz dodając: – Ja na odwrót, będę psioczył po śmierci.

***

Ingo i Sepp siedzieli pod jamą, którą blondyn zamieszkiwał wraz z Wujaszkiem. Niechętnie pochłaniali zawartość swoich konserw po trudnej nocy w Craonne, a później mierząc się z hałasem szczurzych harców. Milczeli. Spojrzenia utkwili w udeptanym błocie. Pojawienie się dziewczynki i morderstwo sierżanta odbiło się na obojgu żołnierzy i każdy z nich mierzył się teraz z gonitwą myśli. Gdzieś nad ich głowami dymny władca na swoim tronie łypał na nich opalowymi ślepiami. Stale czuli jego spojrzenie.

– Reinhard coś mówił? – zapytał wreszcie Sepp.

– O czym? – zerknął na niego Ingo.

– O poruczniku, Czarnym Szczurze, oddziale… – wymieniał, grzebiąc niedbale w konserwie.

– Nic – przerwał mu blondyn, kręcąc powoli głową. – Rozpogodził się jednak, to niepodobne do Wujaszka. Ponadto bezgranicznie ufa porucznikowi. Gdyby kazał nam szturmować wrota piekieł, Reinhard poszedłby bez namysłu. W trzy diabły.

– Ty nie ufasz?

– Kiedyś ufałem, do tej pory tak było. – Uniósł wzrok na przeciwległą ścianę okopu. – Zjedzmy to, pogadam z porucznikiem jak zawsze i sprawa się wyjaśni.

Sepp w odpowiedzi jedynie skinął. Takie rozwiązanie wydawało się rozsądne. Zebrali się prędko do kończenia porannej, nieznośnej

strawy i gdy tylko zdążyli ją dojeść, podnieśli się na równe nogi, przewieszając karabiny przez ramię. Josef chwycił jeszcze skróconą tyczkę, która pomagała mu w chodzeniu. Już mieli ruszyć na poszukiwanie Wilhelma, gdy tuż przed nimi przebiegł sierżant, a za ich plecami rozgorzał potworny ryk artylerii. Okoliczni żołnierze od razu poderwali się z miejsc i jedynie gardłowy krzyk jednego z oficerów był w stanie przeszyć ten hałas:

– Do broni! Francuzi!

Momentalnie rozgorzały gwizdki. Furia karabinów maszynowych dała o sobie znać, gdy ich obsługa w jednej chwili do nich dopadła. W tle dało się słyszeć kolejne nawoływania sierżantów, podniesiono alarm. Szturmowcy pędem rzucili się w wir defensywy. Stare wygi usadowiły się na pozycjach obronnych wręcz mechanicznie, od dawna mieli to we krwi. Powtarzali tę czynność dziesiątki, jeśli nie setki razy. Wielokrotnie najpierw bronili swoich pozycji, by następnie przeprowadzić kontratak lub na odwrót, rzucali się przez ziemię niczyją, a gdy zostali zmuszeni do wycofania się, zawzięcie walczyli o własne linie.

Żółtodziobom przychodziło to z trudem. Nieopierzeni w warunkach wojny wpadali w panikę, często zapominali, co mają robić, a bywali i tacy, co zastygali w bezruchu, przerażeni perspektywą chaosu. Mimo porządnego szkolenia w koszarach, nie byli jeszcze wojskiem z prawdziwego zdarzenia. Na jednych czekały szlify po pierwszej, a potem kolejnej krwi, innych zabierał szalejący huragan śmierci. W obu przypadkach rzeki posoki musiały płynąć gęsto.

Ingo z karabinem w rękach wskoczył na pozycje strzelecką i wymierzył, opierając karabin o przygotowaną do tego celu wyrwę.

Sepp trzymał się blisko, chwiejnie; o mało nie złamał swojej tyczki. W pewnej chwili odrzucił ją i ściągając broń, dopadł do kompana, rozglądając się nerwowo po ziemi niczyjej. Przed nimi szalał już ogień huraganowy, ciosając krajobraz i wyrywając w powietrze połacie gruntu. Pociski artyleryjskie spadały z nieba niczym pożoga, a pośród nich nacierały postacie żwawo przeskakujące po koleinach.

W tym rozmytym obrazie trudno było rozróżnić konkretne elementy. W oczy rzucały się niebieskie lub granatowe mundury, choć równie dobrze mogły to być czerń oraz te same cienie, z którymi czwórka walczyła podczas nocy w szerokim dole. Ogień karabinów maszynowych natrętnie podążał za atakującymi i z łatwością skosił intruzów, którzy odważyli się wyskoczyć ze swojego schronienia. Salwy artylerii rozrywały kolejnych na strzępy lub wyrywały w powietrze groteskowo poskręcane ciała wraz z fontanną ziemi. Byli jednak nieustępliwi i skokami zbliżali się do cesarskich transzei.

Francuzi skryci w rowach, koleinach i za nielicznymi osłonami posłali pierwsze strzały. Eksplodowały rzucone przez nich granaty. Odpowiadali chaotycznie ogniem karabinów najeżonych bagnetami na artyleryjską nawałę Niemców. Starali się przeciwstawić machinie wojennej Kaisera i Czarnego Szczura. Za nimi nadciągali kolejni, rzucając się w paszczę śmierci jak wielu przed nimi na bitwach Wielkiej Wojny.

– Odpowiedzieć ogniem! – padła komenda od sierżanta.

***

Porucznik Wilhelm szedł wyprostowany, z pistoletem w dłoni, wzdłuż pierwszej linii. Towarzyszący mu szczur przemieszczał się to

na jeden, to na drugi bark, starannie doglądając sytuacji wokół. Szturmowcy w odległości około metra od siebie stale oddawali kolejne strzały. Dyrygowali nimi sierżanci, którzy musieli czuwać nad utrzymaniem pozycji, a zwłaszcza zwracać uwagę na żółtodziobów. Niejednokrotnie trzeba było siłą ich zaciągać do walki lub stawiać do pionu, gdy tracili trzeźwość umysłu.

– Strzelać bez rozkazu! – krzyknął porucznik. – Nikt z nich nie wejdzie żywy do cesarskich okopów! Żadnego strachu, kto lęka się bić za ojczyznę, ten jest jej wrogiem!

Jego słowom wtórowały kolejne wystrzały i terkot karabinów maszynowych, nieustępliwie wypluwających z siebie naboje. Amok wojny zdawał się być jedynie tłem dla surowego głosu Wilhelma, a każdy wystrzelony pocisk składał mu hołd. Czuł, jak krew buzuje w żyłach, otaczał go żywioł, dla którego się urodził.

Ziemia niczyja przyjmowała coraz większą liczbę trupów, a jednak przeciwnik osiągał kolejne metry w stronę cesarskich okopów. W Sektorze B, gdzie Reinhard i Sepp próbowali naprawić zasieki, doszło do pierwszych walk na bagnety oraz saperki, ale w efekcie szturmowcy załatali przełamanie. Mistyka ataku istot nie z tego świata zniknęła, gdy w pobliżu przedpola dało się już zaobserwować, że atakują ludzie z krwi i kości, nie zaś cienie, przed którymi próbowali się bronić na ziemi niczyjej.

Grupa francuskich żołnierzy padła przed zasiekami, czołgając się w ich stronę metr za metrem, łapczywie ściskając grunt. Cisnęli w powietrze granatami, aby zyskać chociaż chwilową osłonę przed morderczym ogniem. Jeden z nich eksplodował nieopodal stanowiska karabinu maszynowego, posyłając załogantów na ziemię z obrzydliwymi ranami. Drugi wylądował gdzieś za plecami

Wilhelma, zamieniając przebiegającego szeregowca w przerażające truchło. Francuzi podczołgali się dzięki temu do kolczastego drutu, jednak wtedy odpowiedziały im niemieckie granaty. Dwójka intruzów poderwała się w panice, aby uciec z pola rażenia, ale dosięgnął ich celny ogień szturmowców. Ciała zawisły na kolczastym drucie niczym jego własna, pochwycona zdobycz.

Część kolejnego uderzenia przebiegła rozpędzona po ciałach martwych kolegów. Zwłoki posłużyły za pomost, dzięki któremu żołnierze mogli pokonać zasieki. Szybkie i gwałtowne susy przez przedpole, aż wpadli z impetem do cesarskich okopów.

***

– Jest ich coraz więcej! – krzyknął Sepp, oddając kolejny strzał ze swojego mausera.

– Atakują bez przygotowania artyleryjskiego! – odkrzyknął Ingo. – Chcą nas wziąć z zaskoczenia!

Blondyn wystrzelił, zabijając żołnierza, który wybiegł z koleiny, by teraz ponownie się do niej stoczyć. Niemiecka artyleria nasiliła ostrzał, zamieniając ziemię niczyją w jedną, wielką gorejącą apokalipsę. Widoczne były już tylko fontanny ziemi, płomienie i dym. Przeciwnik, aby zostać wzięty na muszkę karabinu, musiał podejść na tyle blisko, by odróżniać się od tego szalejącego huraganu szrapneli. Z tego też powodu żołnierze zasypywali kulami cały teren przed sobą, tworząc tak gęste sito, że jedynie cud pozwalał się przez nie przecisnąć. A jednak przez ten horror ciągle przechodziły kolejne grupy francuskich żołnierzy i docierały do zasieków.

Sepp wymierzył, mocno dociskając mausera do barku. Rany postrzałowe ponownie dawały o sobie znać i zapewne klątby jak

najęty, gdyby nie to, że przez buzującą adrenalinę zupełnie nie czuł bólu. Cały czas strzelał w głębiny piekła na ziemi niczyjej i dopiero teraz, gdy Francuzi podeszli bliżej, mógł stanąć z przeciwnikiem twarzą w twarz jako wojownik, nie obserwator. Widział zarośniętą twarz wykrzywioną w straszliwym, agresywnym wyrazie, jakby ugrzęzł w niej okrzyk bitewny wydany przed szturmem. Dłoń zadrżała, a karabin podążał za przeskakującym susami celem i gdy żołnierz był już bliski sięgnięcia zasieków, Sepp wystrzelił. Pierwszy raz w życiu zabił człowieka.

Adrenalina i bitewny amok zdjęły z niego jakąkolwiek moralność i nie odczuł nawet cienia wyrzutu sumienia, gdy naciskał spust. To, czego się dopuścił, dotarło do niego dopiero po paru chwilach. Nie było w tym czynie zawahania, nawet podszeptu, że właśnie odbiera życie drugiej istocie ludzkiej. Żadnej litości, współczucia i zgrozy wobec czynu. Nim tu przybył, nie skrzywdziłby nawet muchy. Teraz pozostawił na wojennym polu kolejnego nieszczęśnika, a w jego domu wdowę i sieroty. I wcale tego nie żałował. To było jego przeobrażenie.

W tym konflikcie obie strony były uparte. Coraz to liczniejsze grupy francuskich żołnierzy docierały do przedpola, a paru udało się już sforsować zasieki. Samo ich przekroczenie kosztowało kolejne ofiary, lecz Wielka Wojna nie liczyła się z niczyim życiem. Olbrzym w granatowym mundurze wskoczył do okopu, przebijając bagnetem pierwszą osobę, którą miał w zasięgu. Wojenny skowyt z jego gardła rozdarł nawet wszechobecny hałas artylerii i karabinów maszynowych. Górował nad innymi niczym rozszalały, żądny krwi kolos. Kolejnego szturmowca powalił kolbą karabinu i nim ten zdołał

choćby spróbować się pozbierać, bagnet został zatopiony w jego ciele.

Ingo wymierzył w intruza i wystrzelił, jednak następny żołnierz wroga strącił broń blondyna z linii strzału, próbując pchnąć niecelnie bagnetem. Pocisk poszybował w niebo. Sepp zareagował od razu, gdy jego towarzysz i przeciwnik siłowali się na karabiny. Saperka w moment znalazła się w jego dłoni i mimo kalectwa doskoczył do dwójki, uderzając narzędziem w głowę Francuza. Ostrze ześlizgnęło się po hełmie i wbiło w bok szyi, która obficie spłynęła krwią. Mężczyzna jedynie jęknął głucho w szoku, wypuszczając karabin z rąk, a Ingo dokończył sprawę, zanurzając bagnet pod pachwiną żołnierza.

W tej samej chwili blondyn poczuł tępy ból ciosu kolbą, gdy olbrzym dotarł do niego i wyprowadził uderzenie, zrzucając stahlhelm z jego głowy, który poszybował w powietrze. Ciało legło z impetem na ziemi, krew popłynęła po twarzy. Dało się dostrzec, że przeciwnik nosi ranę postrzałową, a jednak nijak nie wpływała na jego zaciętość, wręcz ją wzmacniała. Nadbiegający na pomoc Niemiec próbował pchnąć sztychem i zagłębił część ostrza w boku przeciwnika, ten jednak przy gwałtownym obrocie nie pozwolił zranić się głębiej. Sam potraktował szturmowca własnym bagnetem, przeszywając straceńca na wylot w mostku.

Sepp poderwał gwałtownie karabin i bez namysłu wystrzelił. Pocisk rykoszetował i trafił olbrzyma w dłoń, którą wyrywał stal ze swojego boku; przeszedł na wylot i poranił jeszcze biodro, przez co żołnierz zachwiał się w swojej bojowej postawie. Ingo zdążył w tym czasie poderwać się z twarzą zalaną czerwienią i wyprowadził prosty cios kolbą mausera, ogłuszając przeciwnika.

– Jeniec! – zawołał.

– Żadnych jeńców – usłyszał chropowatą odpowiedź.

To był Reinhard, który pośpieszył do tego sektora okopu, gdy dotarły do niego informacje o przełamaniu. Prusak bez namysłu strzelił ze swojego mausera w tył głowy olbrzyma, a z jego ciała uleciał żądny krwi duch.

***

Wilhelm strzelił z pistoletu do żołnierza, który przez przedpole wbiegł do okopu. Ciało zabitego zastygło pod jego butami. Przekroczył martwego i oddał strzał do następnego z wdzierających się do transzei. Twarz ani drgnęła, surowa i nieustępliwa jak oblicze boga wojny. Nawet w tym amoku pozostawał spokojny, jakby niesiony wyższą wolą. Budził respekt tak u kompanów, jak i przeciwników.

Szturmowcy przeszli do walki w zwarciu, a w Sektorze B, gdzie po raz pierwszy Francuzi osiągnęli chwilowe przełamanie, szalała już regularna bitwa na saperki. W tamtym rejonie Niemcy zostali zmuszeni do wycofania się na drugą linię okopów, jednak zajadłe stare wygi odbiły pierwszy szereg po krwawym kontrataku na bagnety. Oponent powtarzał szturmy na całej długości okopu i z początkowej rzezi, którą fundowała artyleria, dochodziło już do wyrównania szali, a nawet stopniowego przechylania ją na korzyść przeciwnika.

Francuscy żołnierze byli nie mniej doświadczeni wojną od Niemców. Stawali naprzeciw machinie wojennej Kaisera, broniąc swoich domów, i po ich stronie również wielu sięgało jeszcze pamięcią do czasu regularnych, ruchomych potyczek z 1914 roku.

Chcieli odciążyć towarzyszy walczących pod Verdun z germańską nawałą. Szukali okazji do pomniejszych przełamań, aby stale nękać wroga, gdy ten skupiał swoje siły w rejonie twierdzy. Poilus – jak nazywali siebie samych francuscy żołnierze – łaknęli zemsty za Alzację i Lotaryngię. Za przegraną wojnę francusko-pruską. Przede wszystkim jednak pragnęli bronić swojego kraju.

Cesarscy żołnierze mierzyli się z tą furią, starając się wyprzeć przeciwnika ze swoich pozycji. Bili saperkami, pchali bagnetami, ostrzeliwali przedpole. Było wielu zabitych, jeszcze więcej rannych, których jęki wtórowały kolejnym salwom, ciosom, bitewnym okrzykom i nawoływaniom sierżantów. Stare wygi mimo pęczniejącego zamieszania trzymały rezon i walczyły w uporządkowany sposób – byli nauczeni, że najprostszy sposób na utratę własnych pozycji to zamęt wewnątrz nich. Żółtodzioby radziły sobie znacznie gorzej i ich ginęło najwięcej. Niejednokrotnie bywało, że ranili i zabijali nawet siebie nawzajem, pochopnie używając broni palnej do walki między ciasnymi ścianami okopu. Nie brakowało im jednak zapału. Wielu okazało się być wręcz urodzonymi żołnierzami, którzy niczym nie ustępowali weteranom. Innych zaś nie opuszczała panika, ta zazwyczaj wiodła na ostrza francuskich bagnetów.

Zakołysał się Sektor D. Wróg wdarł się na pierwszą linię, tocząc brutalne boje o każdy metr terenu. Dopiero wsparcie w postaci paru na prędko skleconych drużyn pozwoliło przytrzymać rozpędzoną kawalkadę karabinów przed wdarciem się na drugi rząd okopów. Był to jednak chwilowy impas, francuska furia nie chciała dać za wygraną.

Oficer śledził bacznie te sceny, jakby jednocześnie był aktorem i widzem spektaklu. Sięgnął wolną dłonią do swojego bagnetu

i chwytając za ostrze, wzniósł zaciśniętą z nim pięść. Wokół szturmowcy toczyli krwawe pojedynki, osłaniając swojego przywódcę. Jak w transie pełnym furii dźgali sztychami i miażdżyli twarze kolbami karabinów. Gryzoń na ramieniu przystanął, unosząc swój mały łeb w kierunku ziemi niczyjej. Wilhelm nasłuchiwał podszeptów z tyłu głowy, aż uniósł drugą rękę, w której ściskał pistolet. Skierował dłonie ku górującemu nad bitwą Czarnemu Szczurowi, a wojenną wrzawę przeszyła cisza.

Stalowy wzrok spotkał się z opalowymi ślepiami potworności na szczycie dymnej ściany i wtedy też z nieba lunął deszcz. Był gwałtowny i gęsty, wręcz siarczysty, jakby Stwórca zapragnął utopić mordujące się nawzajem strony w nowym potopie. Krople rozbijały się o stahlhelmy i adriany, a kałuże, mieszając się z krwią, nabierały szkarłatnej, ohydnej barwy.

Wtedy też francuski szturm ugrzązł w błocie ziemi niczyjej, a żołnierze w moment zaczęli brodzić po kolana w obrzydliwej, jeszcze głębszej brei. Panicznie wyrywali nogi z ziemnych pułapek, będąc łatwym celem dla niemieckich strzelców, karabinów maszynowych i artylerii. Ci, którym się udało, z jeszcze większym trudem docierali do przedpola, a i tak szybko stawali się częścią masowej mogiły. Bez wsparcia kolejnych fal szturmów szeregi Francuzów walczących wewnątrz okopów zaczęły gwałtownie topnieć. Wreszcie zabrzmiały gwizdki ich sierżantów, a niedobitki wycofywały się w stronę krajobrazu, przez który z takim trudem zmuszeni byli się przedzierać. Nawet wówczas karabiny nie ucichły, stale posyłając pociski w plecy pokonanym.

– Sprowadził deszcz – rozbrzmiał niedowierzający głos któregoś z żołnierzy.

– Zatrzymał szturm! – dodał drugi.

– Cześć niech będzie porucznikowi i Czarnemu Szczurowi! – krzyknął trzeci.

Jak ucichły działa, tak rozbrzmiały okrzyki szturmowców za plecami i wokół Wilhelma, który nie opuścił rąk. Wołania wzywały do czci wobec bohatera i wojennego totemu. Wkrótce lżej ranni oraz ci, co uszli bez szwanku, wznosili ostrza oraz karabiny w hołdzie i geście zwycięstwa.

Czarny Szczur wpatrywał się w cesarskie okopy swoimi nieruchomymi, opalowymi ślepiami. Każdy odczuwał na sobie to spojrzenie. Jedynie jego pysk o długich wąsiskach zdawał się rechotać złowieszczo. Był rozradowany obliczem wojny i tonącymi w błocie ciałami.

***

– Przerwali natarcie – wydusił Ingo, dłonią rozmazując sączącą się z głowy krew.

– Jak ręką odjął. – Sepp oparł się ciężko plecami o ścianę okopu, teraz dopiero odczuwając skutki porzucenia tyczki i walki.

– To przez deszcz – wtrącił sucho Reinhard, spojrzał bacznie po dwójce spod pikelhauby i wskazał karabinem na horyzont. – Lunął dzięki niemu.

– Ty też, Wujaszku, idziesz na ten obłęd? – zapytał blondyn.

– Obłęd – powtórzył Prusak i zatoczył wokół siebie łuk karabinem.

– No tak, to wszystko to jeden wielki obłęd. – Pokręcił głową Ingo z rozczarowaniem i pretensją. – Stara śpiewka, którą powtarzamy. Że cała ta wojna to obłęd.

– Nie, chcę przez to powiedzieć, że stuknij się w ten durny łeb, Bawarczyku.

Reinhard odszedł, przerzucając karabin przez bark. Stąpał ostrożnie, starannie omijając butem każde z wielu leżących ciał Niemców i Francuzów. Ingo i Sepp spoglądali za kompanem w milczeniu i zaraz jak jeden mąż obejrzeli się na skąpanego w deszczu Czarnego Szczura, którego wskazał im Wujaszek. Jego ogrom przytłaczał, a ucieszenie rozpętanym mordem mroziło krew w żyłach.

– Reinhard też poszedł za tym okropieństwem – rzucił Sepp, podpierając się o tyczkę, którą mocno wbił w błotnisty grunt.

– Gdzie porucznik, tam też i Wujaszek.

Prusak faktycznie wierzył w magiczny wpływ totemu, choć wynikało to raczej z jeszcze silniejszej wiary w hierarchię i stalową wolę Wilhelma. Wielkiemu Czarnemu Szczurowi powód jednak zdawał się być obojętny, ponieważ również Reinhard odczuwał wewnętrzny spokój, jakby rozpętana rzeźnia wydarzyła się gdzieś obok. Butnym krokiem przechodził kolejne metry cesarskich okopów, gdzie przywracano pozycje do pierwotnego ładu. Szturmowcy zbierali ciała poległych obu walczących stron na nosze lub imitujące je koce. Zmarłych oblepiała krwista, błotna breja, plugawiąc doczesne szczątki. Ich mundury nasiąkały wodą, przez co ciężar, jaki trzeba było przenieść, znacząco wzrastał. Wielu ślizgało się w błocie i upadało, upuszczając nieboszczyków, a ci wpadali w kałuże, zatrzymując się dopiero na ścianach ciasnych transzei. Zakopywano ich za wioską, gdzie Ingo i Sepp pogrzebali sierżanta. O grób dla tych leżących na ziemi niczyjej nikt się nie martwił.

– Reinhard! – zawołał jeden z oficerów, próbujących doprowadzić pobitewny krajobraz do ładu. – Chodź tu, do cholery!

Pikelhauba podniosła się, a wzrok żołnierza padł na podporucznika, który stał przy grupie francuskich jeńców. Ustawieni byli w ciasnym rzędzie wzdłuż ściany okopu, trzymając ręce za karkiem. Spuszczone głowy. Zawisło nad nimi fatum jeszcze mniej pewnej przyszłości, niż gdyby mieli wyczekiwać kolejnej próby przełamania. Pilnowała ich dwójka szturmowców, trzymając karabiny w gotowości. Prusak zbliżył się do oficera i stanął na baczność, salutując.

– Wzywał pan, podporuczniku!

– Spocznij. – Machnął przemoczonym rękawem. – Rozbroisz ich i przypilnujesz.

– Tak jest, panie podporuczniku.

Oficer odszedł, a Reinhard obrócił się przodem do przemoczonych i zmarzniętych jeńców. Nieogolone twarze, ponure, bez życia. Widok, który oglądał już nieraz, z tym że u własnych kompanów. Byli starsi i młodsi, ledwie dorośli, zupełnie tak samo jak w cesarskich szeregach. Nie widać było po nich lęku, bieg przez ziemię niczyją wyrywał z serca wszelkie uczucia i zrzucił je w przepaść z ostrej krawędzi. Zapadali się w nią zaraz za nimi, jak jeden mąż. Ocaleni wracali ze szturmu jako zupełnie inni ludzie.

Prusak podchodził kolejno do każdego żołnierza i choć zabrano im już karabiny, starannie obszukiwał ich od góry do dołu. Sprawdzał kieszenie, pas, plecaki i wnętrza mundurów. Saperki lądowały na ziemi, wraz z nimi pistolety oraz wszelka amunicja. Zostawiał im papierosy i manierki, a także wszystko to, co niezbędne do przetrwania w niewoli. Zwłaszcza tytoń był wyjątkowo cenny,

stanowił walutę, za którą można by wkupić się w łaskę oprawców. Nie mniej popularny wydawał się handel wymienny. Tu papieros i czekolada cenniejsze od złota.

Nikt nie ważył się protestować, licząc na przyzwoite traktowanie. Doszło już do piątego przeszukania, gdy Reinhard zatrzymał się w połowie ruchu po pasie i kieszeniach, jakby zmrożony. Wyprostował się i powoli wyciągnął rękę spod munduru, trzymając w dłoniach francuski bagnet o ząbkowanym ostrzu. Uniósł broń wyżej, jakby nie dowierzając temu, co widzi. Zmarszczył brwi, zacisnął wargi. Dwójka strażników spojrzała w jego kierunku, a dłonie zacisnęły się na mauserach.

– Francuski pies – syknął jeden z żołnierzy. – Tfu.

Reinhard opuścił dłoń z bagnetem, drugą wyciągnął pistolet i wymierzył w twarz jeńca. Ten ani drgnął, jedynie pobladł, mimika jednak nie zmieniła się ani o jotę. To już nie był lęk przed śmiercią, po strachu pozostała pustka. Prusak nacisnął spust. Broń się zacięła. Syknął gniewnie i spróbował jeszcze raz. Bez skutku. Wściekle cisnął pistolet w błoto. Francuz nawet nie kulił się w sobie, on był martwy jeszcze zanim do niego wymierzono. Żołnierze przyglądali się bacznie, jeńcy ani drgnęli. Wreszcie Wujaszek chwycił nieszczęśnika za gardło i bez opamiętania zaczął dźgać żołnierza w brzuch jego własnym bagnetem.

Broń z ząbkami produkowano dla obu armii. Była jednym z całego szeregu eksperymentów militarnych. O ile zwykłe ostrze zadawało czyste obrażenia, tak ta wersja potrafiła siać prawdziwe spustoszenie i zadawać obrażenia, których nie dało się zaleczyć. Rozrywały wnętrzności i rozszarpywały rany. Polowi medycy pozostawali wobec nich całkiem bezradni. Nieszczęśnika

schwytanego z takim bagnetem zazwyczaj czekał los gorszy od tego, który zafundował jeńcowi Reinhard. Wielokrotnie zdarzały się przypadki tortur, ćwiartowania żywcem, a Niemcy szczególnie upodobali sobie wyłupywanie oczu. Żołnierze, gdy przydzielono im takowy oręż, najczęściej od razu go porzucali. Zdarzali się jednak tacy, którzy chcieli zadawać obrzydliwe rany lub też nie byli świadomi zasady o niekorzystaniu z tej broni.

Dźgane ciało Francuza dociśnięto do ściany okopu. Jedynie głowa wisiała bezwładnie, gdy uszło z niego życie. Z ust sączył się potok krwi, gdy bagnet przeszywał tułów na wylot, wbijając się sztychem w belki wzmacniające koleinę. Ciosy obróciły wnętrzności w strzępy, a potworne rany zalewały posoką buty Prusaka i ziemię pomiędzy nimi. Wreszcie Reinhard odsunął się od swojej ofiary, pozostawiając truchło przybite do belek. Zanosił się urywanym oddechem gniewu, a ślepia wściekle wpatrywały się w zamordowanego żołnierza.

– Jakbyś poprosił, dałbym ci swój pistolet, Reinhard – zaśmiał się strażnik.

– Stul pysk – powiedział, po czym wyrwał bagnet.

ROZDZIAŁ XI

Szturmowiec powoli napełnił piwem ludzką czaszkę, która nosiła jeszcze po zewnętrznej stronie ślady zaschniętego błota. Dwóch kolejnych kucało, przystawiając usta do oczodołów. Spijali to, co uciekało z niecodziennego naczynia. Spęczali czas we wsi Craonne, w wieczór po stoczonej bitwie. Cała trójka zanosiła się śmiechem, noszącym jednocześnie znamiona beztroski i szaleństwa. Przynieśli kości z ziemi niczyjej, a podobnych wypadów było tego dnia więcej. Zakładali się między sobą lub też któryś z żółtodziobów otrzymywał od starych wyg zadanie wykazania się. Nikt nie przejmował się łamaniem dyscypliny, a wręcz lokatorzy okopów, łącznie z oficerami, byli urzeczeni taką zabawą. Przeskakiwali więc przez przedpole i gnali na poszukiwania pod okiem francuskich snajperów.

Śmiechy rozbrzmiewały w jednym z niewielu ocalałych budynków, a konkretnie w szerokiej piwnicy, gdzie panował półmrok rozjaśniony prowizorycznymi pochodniami. Pośrodku pomieszczenia stał długi, biesiadny stół. Mebel miał już swoje lata, nogi mogły rozlecieć się w każdym momencie. Były tu też stare regały, na których pozostał jedynie kurz. Nad głowami zebranych straszył sczerniały, niski sufit, który w przeszłości musiał doświadczyć jakiegoś pożaru. Opróżnione butelki po winie walały się po podłodze wraz z potłuczonym szkłem, zapewne był ich tu niegdyś obszerniejszy arsenał. Zatęchły zapach ziemi, wilgoci i zwierzęcych odchodów unosił się wśród trzech zmurszałych filarów. Na jednym

z nich widniał plakat propagandowy, przedstawiający Kaisera ze sławnym hasłem „Ein Volk in Waffen Gegen Eine Welt in Waffen”. Naród pod bronią przeciwko uzbrojonemu światu.

Plecami do obrazka stał porucznik Wilhelm w całym swoim majestacie. Wznosił do podbródka puchar napełniony trunkiem, wpatrując się w stłoczonych przy stole żołnierzy. Jego surowa, niemalże ciosana w kamieniu twarz zdradzała powagę i nieustępliwość wobec ciężaru ostatniego starcia. Jego oblicze mogło wydawać się w jakiś sposób nieludzkie, raczej bliższe ożywionemu pomnikowi wojny niż człowiekowi z krwi i kości. Szczurzysko towarzyszące oficerowi, teraz przebiegało zwinnie wzdłuż stołu. Zatrzymywało się jedynie co jakiś czas, by długimi wąsami zbadać przeszkody. Powbijane noże i bagnety, a między nimi kolejne czaszki i stalowe kubki z okopowym alkoholem.

Nikt z zebranych nie ważył się tknąć gryzonia ani też przeszkodzić mu w wędrówce. Otaczano go prawdziwą czcią. Gdy unosił się na tylnych łapkach, a paciorkowate ślepka zatrzymywały się na mijanym żołnierzu, ten prostował się jak struna lub salutował naczyniem. Wszyscy czuli obecność wojennego totemu z ziemi niczyjej. Szczurzysko przeskakiwało po zgromadzonych czaszkach, wskakując na nie i badawczo obchodząc wokół. Wchodziło do jednego oczodołu, by zaraz wyjść drugim.

– Te, które omija, to Francuzów – zawołał któryś ze szturmowców.

– Na twoją to by nawet nie spojrzał – zaśmiał się drugi.

Po kamiennych schodach do pomieszczenia zszedł Reinhard. Przystanął i rozejrzawszy się po zebranych, jego wzrok padł na Wilhelma. W końcu podszedł do stołu, zdejmując z głowy

pikelhaubę, którą następnie ułożył na blacie. Szczur wskoczył na hełm, zataczając na nim taneczny okrąg, zaraz jednak podreptał dalej. Prusak trzymał dłonie opuszczone wzdłuż ciała. Zatęchły zapach piwnicy wypełnił jego nozdrza, a umysł uderzyła wisząca w powietrzu okultystyczna aura.

– Jestem, panie poruczniku.

– Co masz ze sobą? – Wilhelm kiwnął głową na lewą rękę Reinharda.

– Ząbkowany, francuski bagnet. Znalazłem go przy jednym z jeńców, panie poruczniku – odpowiedział jednym tchem i uniósł dłoń ze wspomnianą bronią.

– Przeżył to spotkanie?

Reszta sali zaśmiała się na postawione pytanie.

– Nie, panie poruczniku – odparł sucho Reinhard.

Wujaszek niedbale ułożył na stole bagnet, wciąż noszący ślady zaschniętej krwi swojego poprzedniego właściciela. Gryzoń w moment przeskoczył tuż obok rękojeści i obiegł broń wokół, starannie badając fragmenty ostrza swoimi wąsami. Znalezisko wyraźnie ucieszyło szczura, bowiem wykonał kolejny piruet, a ogon zakreślił krąg wraz z nim. Pysk otarł o krwawą plamę i uniósł się na łapkach w stronę Reinharda. Wąsy ponownie poruszyły się miarowo, aż skrzyżował spojrzenie z Prusakiem, jakby w geście uznania. Na ten widok śmiechy żołnierzy jeszcze raz wypełniły salę i wszyscy wznieśli stalowe kubki w toaście, po czym potężnymi haustami opróżnili zawartość.

W trakcie rozbrzmiał głos żołnierza stojącego nieopodal oficera:

– Cisza, pan porucznik chce coś powiedzieć!

Żołnierze ponownie skupili uwagę na herosie cesarskiej armii. Szczur przebiegł po stole, przeskakując kolejne czaszki, naczynia i kości, aż nie zatrzymał się u krawędzi blatu, tuż przed Wilhelmem, który zaciągnął się papierosem, by zaraz przygasić niedopałek butem. Sala zamilkła.

– Było dziś wielu rannych i zabitych, ta uczta jest ku ich pamięci – stwierdził porucznik, zaraz kontynuując: – Przede wszystkim pamiętajcie jednak, że zwycięstwo zawdzięczamy Wielkiemu Czarnemu Szczurowi, naszemu opiekunowi z ziemi niczyjej. Dziś oddajemy mu swoje myśli, aby ponownie powiódł nas ku wiktorii przez straceńczy los cesarskiego żołnierza. Pijcie krew dla Kaisera. Unoście ich czaszki do horyzontu. Wzbijamy się wyżej, bracia szturmowcy, ponad kajdany okopów, bo to już nie wojna, a szczurze harce. Słuchajcie więc szeptów wojennego totemu.

– Co tobie mówi totem, panie poruczniku? – zapytał Prusak.

– Nicht mehr schande, Reinhard – uniósł podbródek – Nigdy więcej hańby.

Za ich plecami rozgorzała symfonia pisków, to kolejne szczurzyska biegały wśród starych worków po ziemniakach. Naigrywały się z pustych i dawno popsutych pułapek na myszy. Gdy gryzoń porucznika podniósł swój pisk, pobratymcy równo zawtórowali raz jeszcze, a za nimi żołnierze zaryczeli, jakby niesieni intuicją lub wyższą siłą.

***

Zmęczenie nie opuszczało Seppa ani na chwilę. Poranna potyczka odbiła się na jego kondycji, a poranione przed dniami ciało z trudem znosiło kolejne, forsowne ruchy. Podpierając się o tyczkę,

młodzieniec przemierzał transzeje łączącą drugi i trzeci rząd okopów. Dłonie drżały, a ponury wyraz twarzy tworzył z zapadniętymi, niebieskimi oczami iście bolesny obraz. Ingo nie mógł pójść z nim, dostał wartę. To naturalnie martwiło Josefa, a jednocześnie przyniosło pewną ulgę. Nie chciał, aby blondyn oglądał coraz to większą liczbę żołnierzy, którzy nasłuchują szeptów bestii siedzącej szczycie dymnej ściany.

Nie słyszał już tak doraźnego skowytu rannych, jak w czasie gdy przybył na front. Drugi szereg okopu wznosił twarze ku horyzontowi. Wpatrywali się tam spod brudnych bandaży, którymi owinięto ich głowy. Ci słabsi siedzieli, ale i tak zdawali się mieć w sobie więcej sił i werwy niż kiedykolwiek. To ich zbiorowa wola oraz przeobrażenie pozwalały zdusić wszelki ból ciała, gdy przyszło słuchać spokojnych podszeptów Czarnego Szczura. Żółtodzioby stały z boku, jedynie przyglądając się ze zgrozą lub ciekawością i próbując pojąć zjawisko.

Młodzieniec mijał żołnierzy, którzy w pośpiechu wynosili na kocach i noszach kolejne ciała poległych. Maszerowali rzędami, dlatego nieraz musiał ustępować im drogi. Zatrzymywał się wówczas, aby przez chwilę popatrzeć, przesiąknąć tym widokiem. Byli jak jeden wielki pogrzebowy pochód, choć towarzyszyła temu pogańska aura. Jakby mieli spłonąć niczym nordyccy wodzowie w drakkarach na morzu błota i zniszczeń. Ich marsz ciągnął się aż za wieś Craonne.

Sepp wędrował jednak do trzeciego rzędu okopu w poszukiwaniu legowiska majora Matthiasa. Ingo nakreślił mu położenie kwatery tak dokładnie, jak tylko był w stanie. Gdy już dotarł na miejsce, obejrzał krótko tę skrytą na uboczu kwaterę, przezwyciężając niepewność. Zacisnął mocno palce na tyczce, poprawił ułożenie

hełmu i munduru. Nawet spróbował się wyprostować. Moment zwątpienia zniknął, wtedy też przekroczył próg.

– To znów ty, upiorze? – usłyszał słaby głos, gdy tylko wszedł do środka.

Rozejrzał się po ciemnicy i dostrzegł Matthiasa przy jednym z niewielu źródeł światła. Major klęczał nieopodal łóżka, grzejąc dłonie wokół lampy naftowej. Jego krucha postura przywodziła na myśl niedożywienie, a blada, ledwie widoczna w cieniu twarz – niewyspanie i zmęczenie. Major odwrócił powoli głowę w stronę Seppa i zawiesił na nim nieobecne, złamane spojrzenie. Wstał z klęczek.

– Szeregowy Josef Fisher, panie majorze – przedstawił się Sepp, salutując. Nie mógł oderwać wzroku od tego obrazu rozpadu.

– Więc to nie on. – Matthias zadygotał. – Czego chcesz?

Mimo zmieszania Sepp starał się zachowywać oficjalny ton:

– Chciałbym pomówić, majorze, jeśli pan pozwoli.

Matthias ostrożnie podszedł bliżej, wyciągając dłoń ku młodzieńcowi, jakby chciał sprawdzić, czy to nie wzrokowy omam. W tych ciemnościach przybyły mógł być wszystkim, a major zdawał się z dnia na dzień coraz bardziej tracić kontakt z rzeczywistością. Dopiero gdy stanął bliżej i z lampą w dłoni obejrzał twarz szturmowca, zdawał się uspokoić. Oczy jednak wciąż zdradzały lęk i niepewność. Duch rozbity w mak, owinięty całunem szaleństwa.

– O czym chcesz mówić, Josef? – zapytał szeptem, próbując ukryć przed osobami trzecimi swój głos.

– Wie pan, co dzieje się w okopach, majorze?

– Uzupełniamy straty, mam rację? – odpowiedział z wahaniem Matthias, rozglądając się na boki. – Porucznik, tak, Wilhelm

wszystkiego pilnuje.

– Tak, majorze, ale…

– W takim razie wszystko w porządku, opuść mnie teraz. – Oficer pokręcił głową, odsuwając się od Seppa.

– Pańscy ludzie oddają cześć bożkowi, który zawisł nad ziemią niczyją – wtrącił szybko.

Major zatrzymał się w połowie drogi do swojego legowiska. Stał plecami do Seppa. Blade dłonie zadrżały nerwowo. Spuścił głowę, ponownie kręcąc nią w geście wyparcia. Następnie spojrzał po kątach, uniósłszy lampę. Pojedynczy szczurzy pisk, który usłyszał, mógł być jednocześnie kolejną iluzją, jednak ciągle ich nasłuchiwał. Nie był pewien, czy cokolwiek tu jest rzeczywiste.

– Wie pan o tym, majorze? – Sepp podszedł o krok, ale nie odważył się już postawić kolejnego.

– Porucznik Wilhelm ma wszystko pod kontrolą.

– Porucznik też oddaje cześć temu diabelstwu, majorze – stwierdził szybko. – Widział pan, co jest nad ziemią niczyją?

– Nie wychodzę stąd, Josef – odparł Matthias, odwracając się ponownie w stronę młodzieńca. – Nie mogę, a ty powinieneś mieć więcej zaufania do dowództwa.

– O jakim upiorze pan mówił?

– Dość pytań! Wyjść, szeregowy. To rozkaz. – Major złapał się za głowę.

Sepp stał przez chwilę nieruchomy, wpatrując się w ten przerażony cień człowieka. Już po jego spojrzeniu spodziewał się, że niewiele wskóra. Wilhelm miał pełną kontrolę nad batalionem, a wyższy stopniem oficer nie opuszczał swojej kwatery. Nie chciał

nawet słuchać. Zrezygnowany młodzieniec wsparł się na tyczce i pokierował kroki w stronę wyjścia.

– Na pański oddział dybie jakaś tajemnicza siła. Bestia na szczycie czarnego muru. Pan jedyny może cokolwiek wskórać, majorze. Jeśli i do pana przemawia, proszę jej nie słuchać. Jest pan ostatnią nadzieją swoich ludzi.

– Nie ma we mnie nadziei, szeregowy.

– Dlaczego nie może pan wyjść, majorze?

– Bo to moja klatka, Josef. Każdy z nas ma takową, tylko nie każdemu dane zobaczyć kraty.

– Może je pan wyłamać, majorze. – Przystanął w pobliżu wyjścia. – Musi pan.

– Nie łudź się, szeregowy, że ktokolwiek może. Tam pod Verdun…

– Tak? – Sepp uniósł podbródek, bacznie wpatrując się w plecy Matthiasa.

– Przepadliśmy. Przywieziono nas tutaj, ale tam przepadliśmy. To jest ta klatka. Teraz odejdź.

Po tych słowach Sepp opuścił kwaterę. Matthias spoglądał za nim przez dłuższą chwilę, po czym gwałtownie odstawił latarnię i cały ciałem obrócił się do wyjścia. Spętany chaosem wzrok wodził chwilę po zasłonie, którymi było okryte. Chciał podejść bliżej, ale każdy krok w tamtą stronę bolał i ciążył mu coraz bardziej. Oddech przyśpieszył, tak jak i bicie serca. Nawet zdołał przebyć niewielki odcinek ku ujściu jamy, lecz w efekcie złapał się za pokrytą gęstym zarostem twarz i potrząsnął głową bezsilnie. W umysł wdzierały się panika i zwątpienie na samą myśl o opuszczeniu kwatery. Miał wrażenie, że za moment dostanie zawału serca. Legł na kolanach,

a jedyne, co mu pozostało to zanieść się szlochem, nie mniej bezsilny niż zwierzę zaszczute w klatce.

***

Rozbrzmiały pieśni, do których grupa żołnierzy skocznie tańczyła. Wielu było już pod wpływem alkoholu, całkiem zapominając o troskach. Zbieranina znacznie się powiększyła i w sali zrobiło się tłoczno ponad jej miarę. Gnieździli się wokół stołu i przy ścianach, kosztując okopowych trunków lub pochłaniając skromny posiłek racji żywnościowych. Towarzyszyła im duchota, w której wilgoć ścian mieszała się z tytoniowym dymem i odorem berbeluchy. Wszyscy już zupełnie popadli w sidła bluźnierczej atmosfery widowiska, które sami stworzyli.

Pomiędzy nogami szturmowców bezwstydnie harcowały szczury. Nie kąsały, zdawały się być wręcz naturalnym elementem krajobrazu, bez ustanku przeszukując każdy centymetr terenu w poszukiwaniu łupów. Chwytały jedzenie, które komuś upadło. Wchodziły na stół i inne meble, omijając kości, śmieci, naczynia i broń. Ich piski mieszały się ze śmiechami, śpiewem i rozmowami. Zdobywczy, ząbkowany bagnet, wbity po środku blatu, wydawał się stanowić centrum ich zainteresowania. Przy nim gromadziło się najwięcej szczurzych ogonów, a siedzący na rękojeści gryzoń porucznika dyrygował całym towarzystwem.

O ile pupil i przeklęta broń były ogniwem spajającym przebiegłe stworzenia, tak Wilhelm gromadził wokół siebie ludzi. Reinhard stał tuż przy nim, a otaczający ich żołnierze trwali w okultystycznym transie. Prusak oraz porucznik wymienili uprzejmości naczyniami i napili się okopowego trunku. W tradycję tej sali weszło

wzbogacanie napitków o skruszone kości poległych. Ta dwójka takich kosztowała.

– Myślisz, poruczniku, że wrócimy pod Verdun? – zapytał Wujaszek.

– Jestem przekonany, że nie będziemy musieli – odparł z lekkim uśmiechem na zwykle surowej twarzy. – A chciałbyś wrócić, Reinhard?

– Pójdę gdzie i pan pójdzie, poruczniku. – Uniósł dumnie podbródek i stuknął obcasem.

Wilhelm zaśmiał się krótko na ten gest swojego rozmówcy. Wyuczona postawa Reinharda nie opuszczała Prusaka nawet podczas tej skromnej biesiady.

– A Anna i dzieci? – napomknął rozbawiony oficer – Nie jest ci już spieszno do rodziny?

– Poczekają – odpowiedział Prusak po chwili namysłu.

Rozmowę przerwały dwie postacie, które właśnie wkroczyły do piwnicy. Na ich widok rozległ się wiwat żołnierzy, a szczury nasiliły swoje popiskiwanie. Pierwszy szturmowiec okryty był dużym kawałkiem czarnego materiału i ściskał w lewej dłoni złamaną, starą kosę. W prawej ręce trzymał kij, na którym uwieszono szkielet. Kościotrupowi brakowało wielu kości, a te, które były na swoim miejscu, połączono kolczastym drutem. Drugi śmiałek miał ze sobą własną kukłę. Była nią słomiana postać, ubrana w wielobarwne kawałki brudnego materiału. Na głowie równie kolorowa czapa z gołębim piórem, a w wolnej ręce kij, który, sądząc po przybitym gwoździem jelcu, miał imitować miecz.

Obaj szturmowcy przemierzyli salę, a przy każdym ich ruchu kukły poruszały się wesoło, jak żywe. Wreszcie dwójka żołnierzy

zatrzymała się za plecami Reinharda i Wilhelma. Zaczęli zataczać krąg wokół bohaterów, poruszając się iście tanecznym, groteskowym krokiem. Przedstawienie powiększyło grupę skupioną wokół porucznika, a roześmiani mężczyźni bacznie śledzili rozwój wydarzeń.

To był obraz w krzywym zwierciadle, szybko przynoszący na myśl prace renesansowego artysty Albrechta Dürera, którego prace Wilhelm miał niegdyś okazję podziwiać w czasach pokoju. Śmierć z kosą, zataczając kręgi, ścigała landsknechta, niemieckiego żołdaka. Symbol dobrze znany w kulturze, a jeszcze lepiej jej bohaterom. Kostucha stale obecna przy żołnierzach, czyhająca na nich tuż za rogiem. Ścigająca ich bez przerwy i bez wytchnienia, niezależnie gdzie przyszło im walczyć. Władała polami Flandrii i Francji, Cesarstwem oraz Austrią, a także każdym innym miejscem, tak kiedyś, jak i dziś.

Porucznik i Wujaszek rozejrzeli się wokół siebie, a ten pierwszy zaśmiał się krótko i odstawiając naczynie, klasnął w dłonie. Reinhard jedynie pokręcił głową. Z trudem powstrzymywał uśmiech. Wreszcie śmierć dogoniła landsknechta i oboje zaczęli odgrywać niezgrabny pojedynek rodem z najbardziej amatorskiego teatru kukiełek. Widowni jednak taki obraz bardzo się spodobał; okrzykom oraz wiwatom nie było końca. Dudnili dłoniami o blat stołu, imitując wojenne werble. Podnosili czaszki i zabawnie kołysząc nimi na boki, wyciągali je w stronę aktorów. Inni zanosili się śpiewem o dzielnych żołdakach sprzed wieków. Ci byli obecni i w tych czasach, w 1916 roku. Opowiadały o nich pieśni niemieckiej armii.

Dudnienie o stół nasilało się, zamieniając w gęsty, prawie ciągły dźwięk. Gdy nadszedł kulminacyjny moment, porucznik gwałtownie

wyrwał z blatu ząbkowany bagnet i ściął głowę postaci landsknechta, a ta poturlała się po podłodze. Nastała cisza. Wilhelm momentalnie wzniósł przeklęte ostrze ku sufitowi.

– Niech żyje śmierć!

– Niech żyje śmierć! – zawrzała sala.

***

Sepp stanął przed kwaterą majora i dopiero po dłuższej chwili zebrał się, aby ruszyć w drogę powrotną. Podtrzymując się na tyczce, stawiał topornie krok za krokiem. Rezygnacja całkiem ogarnęła jego zmęczony umysł i nawet wszechobecna, nocna cisza nie przyniosła ukojenia. Wprowadzała jedynie niepokój, bo wiedział, że Wielki Czarny Szczur dybie na niego z horyzontu. Gdzieś tam opalowe ślepia śledziły z ciemnego nieboskłonu najmniejszy ruch straceńców. Jakby tego było mało, sprytni słudzy w każdym momencie mogli na nowo rozpocząć swoje harce.

Młodzieniec słyszał pogłoski o szaleństwie Matthiasa, ale nie dowierzał temu, póki nie zobaczył na własne oczy. A nawet jeśli major podjąłby jakieś kroki, nie było pewności, czy autorytet Wilhelma nie zmiażdżyłby go doszczętnie. Naturalna wojskowa hierarchia brała w łeb przy sposobności do darwinistycznej natury rzeczy. Silniejszy brał te przerytą ziemię we władanie, a jeszcze potężniejszy od niego, w objęcia opalowego spojrzenia.

Josef dotarł do pierwszej linii okopów i przystanął na moment, chcąc złapać oddech. Oparł się plecami o obłożoną belkami ścianę i ściągnął z głowy hełm. Tyczkę położył obok siebie i zmierzwił włosy, spuszczając głowę. Na dłoni pozostały ślady błota. Chwilę wpatrywał się w liczne pęcherze niegdyś gładkiej skóry. Powoli opadł

na nią płatek śniegu. Rozpuścił się, a na jego miejsce spadły dwa kolejne. Sepp oglądał je w zamyśleniu, aż nagle poderwał głowę i spojrzał na ziemię niczyją, szeroko otwierając oczy. Znak od bestii, w którą nie wierzył, czy też przypadek, niestosowny w tej ciężkiej chwili? Oziębłość i martwota czy spokojny sen pod białą pierzyną? Przekleństwo czy dar? Jakkolwiek złorzecząc, mógł to interpretować wyłącznie dla samego siebie.

– Mróz – szepnął więc jedynie.

ROZDZIAŁ XII

Wiosenne oziębienie nie należało do rzadkości. Potencjalnie odchodząca zima lubiła o sobie przypomnieć w najmniej oczekiwanym momencie, gdy roślinność budziła się do życia. Żołnierze w okopach ciężko znosili wszelkie spadki temperatury poniżej zera. Niejednokrotnie było to tragiczniejsze w skutkach niż wszechobecne jesienią i wiosną błoto. Surowe zimy zabierały nieostrożnych, którzy zasypiali na mrozie. Transporty zaopatrzenia docierały z dużym opóźnieniem. Utrzymywanie ciepła, mieszkając w ziemnych jamach, nie należało do łatwych zadań, a i samo ich drążenie stawało się wyjątkowo trudną pracą. Zamarzała woda i ludzie, których następnie przykrywał śnieg. Dopiero roztopy odkrywały niezliczone ciała nieszczęśników. W skostniałej glebie ciężko kopało się groby.

Ingo pocierał zmarznięte dłonie. Zdążył przyzwyczaić się już do myśli, że zima poszła w zapomnienie, więc mróz tym bardziej dawał mu się we znaki. Coś go zbudziło; nie wstał jeszcze świt, a ciemnica dalej trzymała niebo w uścisku. Po nieprzyjemnej pobudce usadowił się przed jamą, skostniałą dłonią tląc tytoń. Co jakiś czas spoglądał w horyzont, gdzie czaiła się potworność. Spodziewał się, że to jej wpływ odebrał mu sen. Poza tym sługi Czarnego Szczura nie ustępowały w swoich harcach jak cesarskie pozycje długie i szerokie. Ponownie nikt nie stawał z nimi w szranki, nawet żółtodzioby dały sobie spokój. Zaszczurzenie zalewało okopy bardziej niż kiedykolwiek jak niepowstrzymana fala.

Młodzieniec myślał o rodzinie i towarzyszach broni. Rozdarcie nie ustępowało, tęsknota do domu i ziemi, zmartwienie stanem zdrowia ojca, a jednocześnie lojalność wobec przyjaciół. Niezależnie od tego, czy spoglądali w opalowe ślepia bestii, czy pozostali wierni Bogu, nie chciał ich opuszczać, ale bezsens wojny i nieustające cierpienia stopniowo zacierały w nim każdą iskrę, dzięki której mógł się ogrzać. Ciemnica, transzeje, ziemia niczyja i śmierć… To wszystko dręczyło.

Siedząc tak, dostrzegł ruch po swojej prawej stronie. Szybko skierował spojrzenie w tamtym kierunku. Wyglądało na to, że coś mu się przewidziało z tego sennego zamroczenia. Minęło parę chwil, a ponownie to zauważył. Prędko sięgnął po karabin i podniósł się powoli na zmarzniętych nogach. Wtedy też tajemnicze poruszenie pojawiło się po raz trzeci. Przed Ingo stanęła dziewczynka, którą on i Sepp znaleźli w młynie.

Uniosła głowę, patrząc na niewyspaną twarz żołnierza. Wyciągnęła w jego stronę trzymaną w rękach pajdę chleba, po czym utkwiła spojrzenie w ziemi, jakby zmieszana własnym gestem. Ingo był tak zaskoczony jej widokiem, że przez dłuższą chwilę nie wykonał najmniejszego ruchu. Wręcz zapomniał oddychać. W końcu jednak ukucnął, a następnie przyklęknął na jedno kolano. Wzrok padł na oblicze dziewczynki, na nijak chroniące przed zimnem łachmany i wreszcie na chleb, który przyniosła. Pokręcił głową.

– Jak się tu dostałaś? – szepnął i odłożył karabin na bok. – Nie powinno cię tu być.

Dziewczynka wydusiła z siebie cicho jakieś słowa po francusku, których blondyn nie zrozumiał. Wtedy też przysunęła się bliżej i położyła prezent na dłoni Ingo. Po tym geście cofnęła się o krok.

Szturmowiec przyjął podarek, zdając sobie sprawę, że najpewniej został upieczony z mąki, którą zdobyła w młynie. Przyszła się podzielić. Nawet w tym dziecku, której wojna odebrała dzieciństwo, znalazła się iskra człowieczeństwa. To była wdzięczność, której się nie spodziewał.

– Poczekaj tu. Uważaj, czy ktoś nie idzie – polecił i rozglądając się na boki, wstał z miejsca.

Blondyn wrócił się do jamy i po cichu, aby nie zbudzić pozostałych, chwycił swój koc. Jakże niebywałe, że mała dziewczynka swobodnie przebyła wieś Craonne, a następnie przekroczyła wszystkie linie okopów, pozostając niezauważoną. Coś, co obie strony konfliktu próbowały osiągnąć w nieustających natarciach i przemienianiu krajobrazu w piekło na ziemi. Ona zaś była sprytna i metodyczna niczym mysz przemykająca po kątach za doborową zdobyczą.

Wreszcie wydostał się na zewnątrz z pledem w dłoni. Był przekonany, że taki prezent dziewczynkę ucieszy, a przynajmniej pozwoli okryć się czymkolwiek w przenikliwym zimnie. Przypomniała mu o domu. A jeśli nie o nim, to o czymkolwiek innym niż szalejąca wojna, zapaść i rozpad. Stojąc na zewnątrz, zdał sobie sprawę, że dziewczynki już tu nie ma. Zniknęła, gdy tylko płatki śniegu znowu zaczęły sypać się z nieba.

***

Pojawiły się pierwsze niewielkie paleniska, przy których próbowano się ogrzać. Ledwie wstał świt, a frontowa rzeczywistość szybko dała o sobie znać. Prószący śnieg oznaczał nie tylko zimną noc, ale także dzień pełen zmagań z dokuczającym chłodem. Teraz

wszelkie koce i cokolwiek, czym można dostarczyć sobie odrobinę ciepła, było na wagę złota. Jednak mimo tych niedogodności batalion wydawał się trwać w dobrym nastroju. Od momentu rutynowych zbiórek nie cichły rozmowy. Żołnierze rozmawiali zwłaszcza o wczorajszym szturmie, a żółtodzioby przekrzykiwały się w zmyślonych lub realnych opowieściach o czynach.

Reinhard wydostał się ze swojej jamy, przecierając niedbale oczy. Na głowę naciągnął pikelhaubę i gdy po krótkich oględzinach pierwszej linii okopów dostrzegł Seppa, od razu do niego podszedł. Młodzieńcowi nie dane było zmrużyć oka pomimo zmęczenia. Szczury harcowały przez długi czas, a wydarzenia ostatnich dni jedynie się nawarstwiały, obciążając umysł do skraju wytrzymałości. Josef obrócił głowę w stronę Wujaszka i podpierając się na tyczce, stanął na równe nogi.

– Widziałeś porucznika, Sepp?

– Nie, sam chciałbym z nim pomówić.

– Do diabła – charknął Reinhard.

– To aż tak pilne? – zapytał lekko zaskoczony Josef. – Jeszcze dobrze świt nie wstał.

– Pilne? – pokręcił głową i uniósł dłoń, wskazując na horyzont. – Widzisz to?

– Ziemia niczyja. – Sepp wzruszył ramionami.

– Zamarznięta ziemia niczyja – wycedził Reinhard, otwierając szerzej oczy.

Sepp ponownie obrócił głowę w stronę horyzontu, gdzie omen na swoim tronie szczerzył pysk. Młodzieniec już chciał zadać Prusakowi kolejne pytanie, gdy nagle z szaroczarnego nieba runęły pociski na niemieckie przedpole. Były inne, całkiem niepodobne do

tych, które zdążył do tej pory ujrzeć. Uniósł się z nich zgniłożółty dym, w jednej chwili tworząc niewielkie obłoki. Te z kolei, pchane wiatrem, niczym bestie z krwi i kości podążyły w stronę okopów. W mgnieniu oka zamieniły się w potężną, gęstą ścianę.

– Gaz! – warknął Reinhard, a jego słowo rozniosło się niczym echo.

Wrzeszczeli je dowódcy i podlegli im szturmowcy. Żołnierz walczący w okopach niczego tak się nie obawiał jak ataku gazem bojowym. Agonia przy styczności była wyjątkowym cierpieniem i równie strasznym widokiem dla kamratów. Wraz z rozprzestrzenianiem się trującej chmury nadchodził szturm.

Błoto, które wczoraj uniemożliwiło Francuzom kontynuowanie ataku, za sprawą mrozu przestało być przeszkodą. To miał na myśli Reinhard. Przeorana wojną ziemia sprawiała wrażenie twardej jak skała. Obrzydliwa breja, która pochłaniała ciała, zmieniła się w nieregularną skorupą. Liczne kaniony, wyrwy i koleiny, gdzie dotychczas zalegała deszczówka, przeistoczyły się w zamarznięte jeziora. Zdradliwa ziemia niczyja nawet w taką pogodę miała swój plan. Jeśli poziom wody był w takowej transzei dostatecznie wysoki, żołnierz, wpadając w nią, mógł już nigdy nie wyjść spod lodu.

– Wkładać maski, raz, raz, raz! – grzmiały przytomne rozkazy.

Minęła ledwie chwila od salwy z gazem bojowym, a francuska artyleria zesłała deszcz szrapneli. Pociski eksplodowały z odbierającym zmysły hukiem. Początkowo niecelnie, padały w przypadkowe miejsca, jednak stopniowo były coraz bardziej skoncentrowane. Wstrzeliwali się w pozycje, kierując ogień dział na przedpole, rzędy zasieków oraz okopy. Pożoga ponownie wyrywała kawały ziemi, zasypywała dotychczasowe transzeje i otwierała

całkiem nowe. Metalowe lotki, kamienie, resztki umocnień i kolczastego drutu świstały nad głowami żołnierzy. Kolejnych przysypała zmarznięta gleba. Z jękiem przerażenia i szoku próbowali się spod niej wydostać.

Najgorszy był jednak sam gaz. Chlor wpełzł do okopów jak bezkształtna, żądna krwi masa, chaotyczny upiór szukający ofiar. O ile stare wygi przez ostatnie dwa lata częściowo nawykły do ataków gazowych, tak żółtodzioby miały to jeszcze przed sobą. Wielu niedokładnie wkładało maski, kolejni w ogóle nie zdążyli. W amoku uciekali przed żółtawymi obłokami, a wtedy w krwistą breje zamieniały ich szrapnele. Inni haustem wdychali śmiertelne opary, bezskutecznie wstrzymując powietrze. Szybko zanosili się kaszlem, oczy łzawiły, obraz rozmazywał się. Później pieczenie w płucach, kłucie, aż jakby ktoś rozżarzonym do czerwoności ostrzem gmerał przy tchawicy. Część żołnierzy już na zawsze traciła wzrok. Ci, którzy się go nawdychali, zaczynali pluć krwią i konali w męczarniach. Ich drogi oddechowe przemieniały się w maź.

Niewielu udawało się to przeżyć, a jeszcze mniejszej liczbie wyjść zupełnie bez szwanku. Pozostawali kalekami na całe życie, a nawet nie mieli bezpośredniej styczności z wrogiem. To był kres ich wojennej ścieżki; dotarli do wód Styksu. Całe rzędy ślepych w przytułkach. Wiecznie zajęte łóżka lazaretów z potwornymi oparzeniami. I szpitale psychiatryczne po brzegi wypełnione tymi, którym rozszalały obłok złamał umysł.

– Na pozycje! Ruszać się! – grzmieli biegający w tę i z powrotem sierżanci. – Karabiny maszynowe!

Niemiecka artyleria rozpoczęła kontrostrzał wycelowany w ziemię niczyją. Ogień francuski momentalnie nasilił się jeszcze

bardziej. Do uszu nie docierało już nic innego prócz kakofonii huków i eksplozji. To oznaczało, że piechota wroga rozpoczęła natarcie. Tak potężna wrzawa miała przyszpilić żołnierzy do samego dna okopów, aby odebrać im możliwość strzelania do szturmujących. Mimo to w niektórych punktach rozgrzmiał terkot karabinów maszynowych. Zaczęły na oślep ciosać krajobraz, stawiając własną ścianę kul, wspomagającą cesarskie działa w niszczycielskiej furii.

Ci, którzy mogli, ujrzeli ich. Nacierali przez zmarzniętą ziemię po ciałach kompanów, poległych poprzedniego poranka. Wyrywani w powietrze i obracani w miazgę niemieckim huraganem ognia oraz stali produkcji Kruppa. Parli wśród sypiącego z nieba śniegu, docierając z każdą minutą coraz bliżej okopów. Artyleria zniszczyła część zasieków, zmniejszając czas potrzebny na uporanie się z zaporą kolczastego drutu. Twarze zakryte maskami przeciwgazowymi, karabiny najeżone bagnetami. Pęd w furii i zemście za wczorajsze niepowodzenie oraz śmierć kolegów. Nagle ostrzał ze strony francuskiej ustał. To mentalnie poderwało sierżantów na równe nogi.

– Ognia!

***

Ingo kulił się na dnie okopu. Dociskał do siebie karabin, jakby broń miała go ochronić przed wszelkim niebezpieczeństwem. Plecy ciasno przylegały do ściany. Tuż obok leżało podziurawione szrapnelami ciało żołnierza, ale w gęstych obłokach gazu widział jedynie nienaturalnie powykręcane nogi. Maska przeciwgazowa również utrudniała rozpoznawanie detali, znacząco ograniczała widoczność. Blondyn ukradkiem spoglądał na zwłoki, a przeciążane

nerwy coraz bardziej dawały o sobie znać. Widok truchła od zawsze paraliżował go swoją okropnością.

W takich chwilach, niezależnie ilu braci po karabinie i bagnecie znajdowało się wokół , żołnierz zawsze był sam. Zdany na własne siły, mierząc się ciałem i duchem z horrorem frontu, stale balansując na granicy załamania, jakby stawiał kroki po rozchwianej linie życia i śmierci. To był niekończący się test woli, ostateczny sprawdzian.

Gdy ustał ostrzał artylerii, Ingo poczuł szarpnięcie za ramię, które wyciągnęło jego umysł z paraliżu. Ujrzał przed sobą maskę przeciwgazową, a w niej ślepia tak szeroko otwarte, jakby miały zaraz wypaść z oczodołów. To był sierżant, który przed chwilą mało nie potknął się o zwłoki leżące obok. Szarpnął jeszcze raz, tym razem za oba ramiona. Coś krzyczał, ale częściowa głuchota wywołana hukiem ostrzałów uniemożliwiała zrozumienie czegokolwiek. Ponownie szarpnięcie. Teraz blondyn sam zaczął się podnosić.

– Rusz się, Ingo! Nacierają! – krzyczał wściekle, rozpalony ogniem walki. – Do broni!

Gdy stał już na równych nogach, sierżant momentalnie pobiegł dalej. Miał sporo pracy. Żołnierze często byli zbyt przerażeni lub ogłuszeni, aby z własnej woli stanąć do walki. Ingo dopiero teraz odczuł, jak mocno zaciska dłonie na swoim karabinie. Niemrawo poruszył palcami i uniósł na chwilę głowę, aby spojrzeć po przedpolu. Chciał psioczyć na widok szturmujących Francuzów, ale nie był w stanie wydusić ani słowa. Na miękkich nogach przeskoczył na swoją pozycję strzelecką i wymierzył.

Pierwszy strzał, chybiony. Szybkie przeładowanie mechanizmu mausera. Drugi, wróg runął na glebę trafiony w nogę. Przeładowanie, wręcz szarpnięcie za zamek. Trzecie pociągnięcie za spust, umysł

wrzał. Kolejnego nieszczęśnika zostawił na zmarzniętej ziemi niczyjej. Świsty, odpadł kawałek chroniącej go belki, gdy z przeciwległego dołu runęła salwa. Szarpnięcie za zamek, zacięty. Jeszcze raz, klął w myślach. Pociągnął znów, odblokowany. Strzał, kolba karabinu dociskała się do barku, jakby miała się z nim zrosnąć.

Uniósł na krótko wzrok ponad tumany gazu, pyłu i dymu. Ujrzał potworność na szczycie czarnej ściany i nijak nie rozumiał, jak Francuzi byli w stanie walczyć, mając ten omen nad swoimi głowami. Szczurzy pysk zdawał się zanosić rozradowanym śmiechem. Długie wąsika ciągnęły się smugami, jakby poruszane wiatrem. Bestia syciła mordem opalowe ślepia, złakniona ludzkiej męki i niedoli. Odgłosy walk, eksplozji i wystrzałów zdawały się być jej głosem, który wrzał: więcej, więcej, więcej.

Blondyn wściekle zacisnął zęby i wycelował broń w horyzont, mierząc w Czarnego Szczura. Nienawiść wezbrała w sercu jak niepowstrzymana fala. To ten wojenny totem obrócił kamratów w czcicieli diabła, odrywał od rodzin, by prowadzić na zgubę. Wystrzelił piąty nabój i naciskał spust po raz kolejny, słysząc przy uchu jedynie dźwięk pustego magazynku.

– Do Francuzów celuj, niemoto! – pogonił go wściekle sierżant.

***

Wojna pozycyjna ukazała swoje prawdziwe oblicze. Ludzkie życie nie było warte więcej niż kolejny przebyty metr w szturmie przez ziemię niczyją. To wysiłek żołnierskiej masy, każdy krok ku pozycjom wroga okupiony ofiarą. Rzecz w tym, że składanie nieszczęśników na rytualnym ołtarzu najlżejszą ręką przychodziło naczelnemu dowództwu. Ono szastało cudzym żywotem jak

popadnie. Choć regularnie wprowadzano wiele taktycznych i technologicznych niuansów, na nic zdawały się w ograniczaniu liczby zabitych.

Mimo że wiatr zdążył już pchnąć gaz w dalsze rejony, wciąż wiele jego zdradzieckich obłoków osiadało na dnie pierwszej linii okopów. Każde stanowisko karabinu maszynowego nieustępliwie ciosało krajobraz ogniem. Nawet jeśli ktoś z obsługi ginął, zaraz następny żołnierz zajmował jego miejsce. Artyleria nie ustawała w wysiłkach, posyłając w nacierającego przeciwnika tony pocisków. W paru miejscach Francuzom z impetem udało się dostać do cesarskich okopów. Zazwyczaj były to rejony, gdzie ostrzał artyleryjski i chlor wykonały swoje zadanie. Zniszczone zasieki, przerzedzone szeregi, naruszone umocnienia. Tam, gdzie drut kolczasty pozostał na miejscu, Niemcy zbierali krwawe żniwo wśród nacierających.

Reinhard przemieszczał się pośpiesznie wzdłuż ściany z nisko pochyloną głową. Nad nim szturmowcy wymierzali kolejne strzały, prędko przeładowując mausery. Sepp próbował nadążyć. Potykał się co jakiś czas, wolną dłonią nerwowo dociskając do twarzy swoją maskę przeciwgazową. W uszach huczało, pot spływał po plecach. Buzująca w żyłach adrenalina mieszała się z lękiem i zagubieniem. W tym zamęcie ciągle tracił Wujaszka z oczu. Chcieli odszukać porucznika.

Nagle Prusak ryknął gardłowo i podrywając ciało ze skulonej pozycji, zamachnął się na odlew kolbą karabinu. Rozbił napotkanemu przeciwnikowi głowę. Sepp legł na ziemi, znikąd pojawił się drugi Francuz, który staranował go, nacierając na Reinharda. Saperka starła się z mauserem. Josef momentalnie

wyrwał zza pasa pistolet i leżąc, bez wahania strzelił w plecy napastnika, gdy ten siłował się z Prusakiem. Ciało osunęło się bezwładnie, zachłystując krwią. Młodzieniec spróbował podnieść się, opierając o ścianę okopu.

– Granat! – krzyknął ktoś z lewej.

Nawet nie zdążyli złapać oddechu. Ogłuszająca eksplozja przyniosła uszom ciszę, przerywaną jedynie irytującym dzwonieniem. Reinhard leżał na dnie okopu. Seppa przywaliła ziemia i ciało żołnierza, który przed chwilą próbował odrzucić wiązkę granatów do jego właściciela. Wybuch był na tyle silny, że rzucił martwym szturmowcem na znaczną odległość. Obaj bohaterowie tkwili w bezruchu. Żyli, jednak powrót do rzeczywistości z nagłego szoku zajmował kolejne, długie minuty.

Do transzei wpadła czwórka francuskich żołnierzy. Ich twarze w maskach przeciwgazowych obróciły się wokół w poszukiwaniu obrońców. Bagnety czekały na karabinach, gotowe, aby zanurzyć ostrza w ciałach wrogów. Padł strzał, posłali kogoś na tamten świat. Później komendy po francusku i ruszyli przed siebie, przeczesywać dalszy odcinek umocnień. Na dwójkę nie zwrócili uwagi, uznali ich za martwych. Reinhard zaczął się wreszcie powoli podnosić, ściskając w dłoniach karabin. Sepp z trudem zrzucił z siebie straszliwie poszarpane ciało. Grudki ziemi zsunęły się z niego, gdy po raz drugi z bólem spróbował wspiąć się po ścianie okopu.

Przez przedpole przeskoczył kolejny Francuz i z impetem wparował na pozycje obronne. Jego bagnet zagłębił się w barku Wujaszka. Ten z warkotem odepchnął napastnika karabinem. Wymiana pchnięć. Sepp mierzył z pistoletu, ale nie mógł wycelować bez ryzyka trafienia kompana. Reinhard naparł jeszcze raz, jednak

przeciwnik zdołał wykorzystać zadaną wcześniej ranę i powalił osłabionego szturmowca na glebę. Przyszpilił go nogą i podniósł karabin, chcąc zadać śmiertelne pchnięcie. Wtedy w dłoni Reinharda znalazł się ząbkowany bagnet. Pchnął nim, raniąc w udo. Francuz zachwiał się, a Prusak zaraz zdołał go powalić. Przygniótł przeciwnika kolanami i zagłębił ząbkowane ostrze w trzewiach straceńca.

***

Linia osłabła pod bardziej intensywną nawałą. Jednak cesarscy żołnierze z całą agresją odpierali kolejne szturmy nacierających. Obecność wojennego totemu dodawała im odwagi i wigoru. Wojna w swojej okropności stała się dla wyznawców Czarnego Szczura żywiołem, którego pragnęli. Osobliwy triumwirat, śmierć, żołnierz i tajemniczy bożek. Tworzyli razem nieustępliwą machinę; nie rozpatrywali za i przeciw, nie prowadziły ich ludzkie emocje, a jedynie wola. Ona była w sercach, umysłach i ogarniała po szpik kostny. To duchowe uniesienie, połączenie z nieznanym i wyczekiwanym, przywrócona wiara w zwycięstwo Cesarstwa Niemieckiego.

Blondyn cofnął się ze swojej pozycji strzeleckiej, zmieniony przez innego żołnierza. Sięgnął po naboje i zaczął przeładowywać karabin. Przyśpieszony oddech, wzrok nerwowo spoglądający co rusz w stronę przedpola. Walka nie ustawała, a Francuzi wyglądali na zdecydowanych do zdobycia odcinka pod wsią Craonne. Teraz nie walczył z tych samych pobudek, co stare wygi. Nawet nie towarzyszyły mu rozterki żółtodziobów. Toczył bój o przetrwanie.

Bezmyślny, jak zwierzę pragnące przetrwać jeszcze jeden dzień, osaczone przez drapieżników.

W ogniu nie było myśli o rodzinie i domu. Wyłącznie ten rozszalały pożar w duchu, który jednych wpędzał w panikę, a drugim nakazywał walczyć o siebie i kompanów do utraty tchu. Ingo już miał wrócić na pozycję niesiony żarem, lecz ujrzał jak jego zmiennik legł na zmarzniętej glebie, trafiony w szyję zbłąkanym pociskiem. To osłabiało siłę ognia.

Ingo jednak ani drgnął. Spojrzenie tkwiło w wylocie jamy, którą zamieszkiwał. Wkrótce obrócił się całym ciałem, nie zważając na krzyki sierżanta nawołującego do dalszego oporu. Powoli postawił kroki w stronę swojej kwatery. Czuł, jak uginają się pod nim kolana, a rozszalałe serce zwalnia swój rytm. Klęknął, kładąc broń obok siebie. Rozpętana wszędzie wokół bitwa stała się dla niego jedynie nic nieznaczącym tłem.

– Nadchodzą! Ingo, na pozycje do cholery! Gdzie ty idziesz?! – niknął w eterze głos dowódcy.

Patrzył na leżącą nieruchomo dziewczynkę. Jama rzucała cień na jej ciało. Przysunął się bliżej, łapiąc za drobny nadgarstek. Nie wyczuł nawet najdelikatniejszego pulsu. Jej twarz była blada jak kreda i gdyby nie ślady krwi pod wargami, najpewniej wyglądałaby na śniącą sny o lepszym świecie. Umarła, zanosząc się przed śmiercią potwornym kaszlem. Gaz bojowy zabrał kolejną ofiarę. Ingo ułożył jej dłoń na klatce piersiowej i pogładził brudne od pyłu włosy.

Gdzieś za plecami Czarny Szczur sycił opalowe ślepia widokiem swojego królestwa. Nawet ją zabrał w podróż do krainy cienia. Na nic zdało się morderstwo oficera i darowane dziewczynce życie. Worek ziarna, pajda chleba i czekający na nią koc. Znikła we mgle myśl

o przetrwaniu, nie zanosiło się nawet na szlochanie i poczucie krzywdy. Zgasła ostatnia z iskier, która na tę krótką chwilę pojawiła się u wrót piekła.

***

Rana Reinharda sączyła się krwią, a w uszach dalej dzwoniło po eksplozji granatu. Uciskał ramię, jednak w trwającym wciąż szturmie nie odczuwał większego bólu. Adrenalina wrzała w żyłach. Każdy metr do przebycia wzdłuż ściany okopu był niemałym wyzwaniem. Nie było wiadome, co czai się za rogiem. Sepp pędził za Prusakiem, ciągle się potykał i krył głowę po sobie. Wokół śmierć, ciała zawisły na kolczastym drucie. Ktoś wrzeszczał, granat urwał kończynę. Próbowali go zabrać, ale na darmo, trzeba było bronić pozycji. Kolejnemu nieszczęśnikowi stalowy odłamek otworzył jamę brzuszną. Mamrotał coś słabo pod nosem, policzkiem dociśniętym do ziemi, wpatrzony tępo w czerwony śnieg i szron. Przekłuci bagnetami, nieruchomi, tak jak i ci na przedpolu. Jedynie wiatr i śnieg w ostatnim tchnieniu trzymał ich dłoń.

Niemcy na przełamanych sektorach zażarcie kontratakowali. Do walki włączyli się powierzchownie ranni, którzy tworzyli na drugiej linii coś na wzór wsparcia. Francuzi z trudem utrzymywali zdobyte pozycje. Bez stałego impetu żołnierskiej masy siły momentalnie topniały. Nawet gdy kolejna fala uderzenia znalazła się blisko uchwyconego przyczółku, kontratak mógł już przynieść na tyle dotkliwe osłabienie, że trzeba było zdobywać odcinek od nowa. Taki problem jawił się jako stały element tej wojny. Dogodna pogoda, która zmroziła błotnistą breję, okazała się niewystarczającym sojusznikiem, jednak francuskie dowództwo nie chciało, aby taka

szansa wymknęła im się z rąk. Wściekłe szturmy trwały na całej linii, a stos trupów wyścielał następne fragmenty pola walki.

Dwójka szturmowców natknęła się na porucznika. Stał nieruchomo wśród rozszalałej wokół śmierci i pożogi. Patrzył spod stahlhelmu w opalowe ślepia wojennego totemu, kryjącego świat za swoją dymną ścianą. Wilhelm zdawał się rozmawiać z bestią, nie używając do tego słów, a przynajmniej nie takich, które człowiek mógłby usłyszeć. Nie miał na sobie maski przeciwgazowej, jakby to omen chronił go przed chlorem. Przy nim straż przyboczna, czaszki przytroczone do wojskowych pasów, bagnety najeżone, by chronić przywódcę. Nie wzruszał go żaden pocisk ani nacierający przeciwnik. Czarne szczurzysko przebiegało po ramionach i karku, ożywione walką.

Straż przyboczna podniosła groteskowy psalm, bluźnierczy w swojej wymowie. Chropowate głosy mieszały się z wojennym jazgotem w jedną ścianę dźwięku. Wkrótce kolejni żołnierze zaczęli dołączać do śpiewu mimo rumoru i ran. Ze swych schronień wyjrzały gryzonie, a ich ślepka błyszczały w ciemnościach jam, kolein, dziur. Jakby zespolony głos wezwał je do wyjścia na zewnątrz. Przyglądały się, nienaturalnie odważne w obliczu czającego się na nie wszędzie wokół niebezpieczeństwa.

– Co oni robią?! – krzyknął Sepp, nie dowierzając temu, co słyszy i widzi.

– Modlą się – odparł sucho Reinhard.

– Że co?! – Potrząsnął głową

– Modlą się do Wielkiego Czarnego Szczura.

– Ale o co?!

– O triumf śmierci i swój własny.

Faktycznie było w tym coś z religijnego uniesienia. Huk artylerii stał się tym samym w swoim wydźwięku, co głos żołnierza stojącego obok. Krzyk rannego wtórował drugiemu. Wystrzały i przeładowania mauserów pozostały w jedności z nimi wszystkimi. To oni byli wojną, bo bez nich by nie trwała. Oddawali hołd śmierci. Ona jest w tym miejscu najbliższą z towarzyszek. Śpiewali dla Czarnego Szczura. Bytu, który się o nich upomniał. Jedna wielka kakofonia, jakby chaos przegryzł szturmowców aż po sam rdzeń.

Reinhard zatrzymał się, intonując psalm na cześć wojennej pożogi. Głoski donośnie i chropowato wyrywały się z jego gardła, jakby maska osłaniająca twarz nijak ich nie tłumiła. Jedynie fakt, że Sepp pociągnął go dalej za ramię, sprawił, że całkiem nie zatracił się w tej chwili.

***

– Rusz się! – krzyknął sierżant i szarpnął Ingo za ramię. – Tchórz!

Oficer uznał, że blondyn unika walki, chowając się do swojej jamy. Wyciągnął go więc za rękę, plecami przeciągając po ziemi. Nim zdążył puścić żołnierza i wydać kolejny rozkaz, wzrok utkwił w martwej dziewczynce. Palce powoli rozluźniły się na ramieniu młodzieńca. Spotkał się z wieloma rzeczami na froncie, ale widok martwego dziecka zawsze zostawiał jeszcze jedną, głęboką szramę na sercu. Ingo zdążył się już podnieść. Bez werwy, jak nieboszczyk, którego całkiem opuściły wszelkie siły. W milczeniu oboje wpatrywali się w drobne, blade ciało. Wojna toczyła się gdzieś na krawędzi umysłu. Nie ona, lecz ten widok odzierał z człowieczeństwa i napawał lękiem.

– Kto to? Skąd się tu wzięła? – wydusił z siebie sierżant, ale ledwie go było słychać w szalejącym rumorze walki.

– To tylko sierota, panie sierżancie – odpowiedział mechanicznie blondyn, nie odrywając od niej oczu.

Kolejny trup szturmowca zaległ gdzieś za ich plecami. Nie zwrócili uwagi. Wybuch granatu również ich nie wzruszył. Na lewo i prawo nieustający przelew krwi, uchodzące życia straceńców, a oni zawieszeni w środku tego chaosu nad ciałem maleństwa. Kolejny huk, znacznie bliżej. To wyrwało oficera z letargu. Spojrzał na blondyna, dłoń z pistoletem zadrżała nerwowo. Podniósł broń i wymierzył w skroń młodzieńca.

– Na pozycje – rzekł ponuro, ale z naciskiem.

Zdążył się otrząsnąć. Dobrego oficera nie powinien zatrzymać na dłużej żaden widok.

Ingo stał przez moment nieruchomo. Wreszcie spuścił głowę i podniósł swój karabin, teraz dopiero spoglądając na twarz sierżanta. Milczał, a oblicze blondyna nie wyrażało niczego. Nie było w nim żalu i smutku, a nawet prostego gniewu. Trudno nazwać to obojętnością; martwica ciasno obejmowała wnętrze. Podszedł do swojej pozycji strzeleckiej i ponownie wymierzył broń w przedpole. Widział zaległe ciała i kolejne eksplozje wyrywające w ziemi koleiny. Ponad tym widokiem skrzyżował wzrok z opalowymi ślepiami Czarnego Szczura.

Chciał nacisnąć spust i strzelić do nadbiegającego Francuza. Nie zdołał, dłonie całkiem odmówiły mu posłuszeństwa. Pot spłynął po czole. Bicie serca nagle przyśpieszyło jak dudniący młot fabryki Kruppa. Ponownie spróbował oddać strzał, lecz nic z tego. Widok martwej dziewczynki stanął przed zielonymi oczami.

Pękło w nim, umysł już niczego nie kontrolował. Nic nie czuł ponad tym, jak gaśnie ostatnia iskra. Cofnął się gwałtownie i ze wściekłym warkotem cisnął stahlhelm o ziemię. Sierżant obrócił głowę od poganiania kolejnego nieszczęśnika, aby spojrzeć na ten rumor. Blondyn sięgnął po bagnet, który drżącą dłonią założył na mausera.

– Hej! Co ty robisz?! – rozległ się głos oficera.

– Ingo! – krzyknął Sepp, wkraczając z Reinhardem do tej części okopu.

Doszło do wymiany spojrzeń pomiędzy trójką. Zdawało się im, że widzą swojego towarzysza broni, a jednak z oczu zionęła pustka, jakby patrzyli w ślepia nieboszczyka. Blondyn zerwał się ze wściekłym rykiem i przeskoczył przez ścianę swojej pozycji strzeleckiej, lądując butami na przedpolu. W moment podniósł się na równe nogi i ruszył biegiem w dół na ziemię niczyją, nacierając z najeżonym ostrzem bagnetu. Nie dowierzali własnym oczom temu szaleństwu, a jednak ani drgnęli z miejsca. To była eksplozja rozpaczy, którą nasiąkał przez te dwa lata. Tu, przemierzając kolejne metry, zapomniał o rodzinie, chorym ojcu i domu. O Bawarii i jej złotych polach. Nawet o sobie samym.

Przebiegł przez przedpole, przebijając żołnierza, do którego nie mógł wystrzelić. Wyszarpnął bagnet, przeskoczył nad ciałem. Ledwie minął zasieki w swoim oszalałym pędzie. Padł strzał, nie wiadomo skąd. W żaden magiczny sposób lub inny od tych, które obie strony ze sobą wymieniały. Ingo legł ciałem w jeden z wielu lejów po eksplozjach, bezwładnie staczając się na jego ścianę. Karabin gdzieś obok. Krótki kaszel, złapał się za klatkę piersiową. Krew spłynęła po

brodzie. Samobójstwo bez pożegnalnej przemowy. Był martwy, jak setki i tysiące innych w machinie wojennej Kaisera.

***

Psalm żołnierzy ucichł. Słońce wschodziło coraz wyżej, zawstydzone widokiem śmierci. Przyćmione ciemnym majestatem wojennego totemu nie mogło przebić się swoimi promieniami i rozjaśnić mrok pola walki. Temperatura jednak wzrosła, a mróz musiał jej ustąpić. To z kolei oznaczało, że ziemia niczyja ponownie przemieniała się w jedno wielkie grzęzawisko. Śnieg, który zdążył spaść, topniał i stopniowo łączył się z ziemistą breją pod butami żołnierzy. Wkrótce nie było po nim nawet śladu. Francuzi zaczęli tonąć w odmętach błota. To już nie trwało długo, szturm ugrzązł razem z ich obuwiem. Pole walki natomiast na nowo naznaczyły ofiary ataku i obrony. Bez celu i osiągnięć, zwyczajnie złożone przed obliczem Czarnego Szczura.

ROZDZIAŁ XIII

Stopniały śnieg nasączył okopy jeszcze większą masą wody. Choć nie był to rwący potok, wystarczył, aby szturmowcy znowu zaczęli moknąć i przedzierać się przez zwały błota. Nawet tak niewielkie roztopy potrafiły sprawić, że latryny wybijały, tworząc śmierdzący ściek. Usuwanie ciał zabitych stało się trudniejsze. Ciężkie, oblepione mułem, przemoczone trupy ślizgały się w rękach. Rannych odprowadzano na tyły i do szpitali polowych we wsi Craonne. Tam czekała ich dalsza droga przez mękę, choć niektórym trafiała się okazja na powrót do domu. Niekoniecznie w całości; zostawiali tu kończyny i dusze. Zabierali ze sobą oblicze bestii, rany i blizny do końca żywota.

Wśród tego ogólnego zamieszania żołnierze tłoczyli się wokół Wilhelma. Niewzruszony porucznik bacznie oglądał szare twarze swoich ludzi. Co rusz kogoś poklepał po policzku, innego po ramieniu. Milczał, a szczurzysko przebiegało po jego barkach i karku, przystając jedynie na chwilę, aby wraz z towarzyszem przyjrzeć się szturmowcom. Ich spojrzenia były pełne ślepej czci wobec przywódcy, jego pupila i wojennego totemu. Nawet żółtodzioby, gdy posmakowały już zapachu prochu i zgrozy, zaczęły zwracać się w stronę mrocznego kultu. Porzucali uprzedzenia, całkowicie przekonani, że dzięki Czarnemu Szczurowi przeżyli to piekło.

– Wielu zabitych i rannych, panie poruczniku – odezwał się jeden z młodzieńców, gdy Wilhelm poklepał go po policzku.

– Bracia wspólnie dzielą niedolę – odpowiedział oficer.

– Będą jeszcze szturmować, panie poruczniku? – zapytał kolejny, gdy tytan cesarskiej armii stanął przed nim.

– Z pewnością. – Uniósł podbródek. Szturmy nigdy się nie kończyły.

– Jesteśmy z panem, poruczniku – krzyknął ktoś zza jego pleców. – Ile by nie przyszło nam zapłacić!

– To oni zapłacą.

Wśród tych głosów kolejne szeregi wynosiły ciała poległych obu walczących stron. Ogrom pracy był znacznie większy niż poprzednim razem. Przez ten żałobny marsz uporczywie przedzierał się goniec. Wprawiony w swym fachu, z niezwykłą gracją omijał kolejnych żołnierzy i prowizoryczne nosze. Wyglądał na uradowanego, co jednych martwiło, a innych zastanawiało.

– Zając kica – rzucił ktoś z tłumu.

Tak go nazywano z racji na skoczny i zręczny sposób przemieszczania się. Choć rzadko brali bezpośredni udział w walce, zadanie tych dzielnych ludzi było nie mniej niebezpieczne. Często musieli przemykać pomiędzy pozycjami poszczególnych oddziałów i pozostać niezauważonymi. Przenosili informacje, plany, rozkazy oraz odmowy. Wielka odpowiedzialność wymagała szczególnej brawury, a zarazem ostrożności. Snajperzy – wyborowi myśliwi – uwielbiali polować na takie zające. Choć wykorzystywano również gołębie pocztowe, nie mogły one zastąpić zaradności śmiałków.

– Panie poruczniku! – Zając przepchnął się przez krąg frontowców, by stanąć na baczność przed oficerem i zasalutować. – Przywieźli pocztę polową.

– Doskonale, rozdać – odparł Wilhelm, zaraz dodając ciszej: – Coś dla Ingo i Reinharda?

– Tak jest, panie poruczniku. – Zając wyciągnął dłoń z pojedynczym listem.

Wilhelm spoglądał chwilę na pogniecioną kopertę. Odebrał ją w zamyśleniu. Ze względu na prywatną sympatię wydzierał pocztę dla Wujaszka i blondyna osobiście, aby nie musieli czekać. To był duży przywilej. Stos listów idących w jedną i drugą stronę mieliła wojskowa biurokracja, co czasami długo trwało. Całe rzesze oczekiwały wieści z domu, a w domostwach na doniesienia z frontu. Wreszcie oficer obrócił papier i spojrzał na adresata. Reinhard Witt. Pokiwał milcząco głową.

– Do Ingo nic?

– Ani śladu, panie poruczniku – odparł goniec.

– Może totem nie jest blondynowi przychylny – wtrącił ktoś po prawo od oficera.

– Może. – Wilhelm schował list za pazuchę munduru. – Starczy tego zbiegowiska. Doprowadzić nasze linie do porządku.

***

Sepp zszedł z warty po długim dniu obserwowania, jak wszyscy gorączkowo starają się przywrócić okopom ich pierwotny kształt. Mieli sporo pracy. Należało odblokować zniszczone ostrzałem transzeje, a także naprawić uszkodzone umocnienia i jamy. Niektórzy narzekali na konieczność snu pod gołym niebem. Śmiałkowie musieli reperować zasieki w ciemnościach kawałek po kawałku, niespuszczani z oka przez przeciwnika. Pobitewne otępienie ściskało żółtodziobów. Drugie starcie w tak krótkim czasie odbijało się na psychice. Jedni sypali się jak domek z kart, tępo

wpatrywali w błoto, drudzy okazali się wystarczająco silni, by znieść cały koszmar, a jeszcze inni całkiem to polubili.

Wciąż znajdowali się tacy, którzy we śnie szukali ukojenia. Za dnia krwiobieg w okopowych żyłach nijak na to nie pozwalał, a toczył się już przeszło dwa lata. To w wyniku nieopuszczających umysłu stukotu oficerskich obcasów, stale przemieszczających się żołnierzy w codziennych wędrówkach i nasłuchiwania eksplozji gdzieś z dala, poza zasięgiem wzrokiem. Zewsząd z hukiem ten pozorny spokój walił się w gruzy pod armadą artyleryjskich ostrzałów, szturmów, kontrszturmów i wypadów. Każdemu przyszło gnieździć się w jamach jak gryzoń, aż zaczął upodabniać się do swojego wojennego totemu na szczycie dymnej ściany. Umysły pękały setkami i tysiącami, gdy kazano brodzić po kolana w błocie i zawartości latryn. Nawet kruki Wotana nie zachodziły tu w gościnę. Wreszcie człowiek sam siebie otaczał kolczastym drutem.

Sepp przyzwyczaił się już, że wieczór niewiele różnił się od pełni nocy. Czarny Szczur z dbałością odbierał okopom światło. Przybyły zmiennik pozdrowił bestię salutem, a z młodzieńcem wymienił jedynie spojrzenia. Seppowi zostało ruszyć na spoczynek w głąb okopów. Widział, jak te całkiem toną w objęciach wojennego totemu. Nikt już nawet krzywo nie patrzył, stał się niezbędnym i uświęconym elementem krajobrazu.

Przez cały pobyt na warcie myślał o Ingo i jego szaleństwie. Scena, którą widział, powracała w umyśle, przysłaniając nawet widok porucznika, psalm i jego dzierżącą czaszki gwardię przyboczną. Miał wątłą nadzieję, że blondyn dostanie swój grób. Reinhard zdradził mu, że nikt nie będzie ryzykował wychodzenia za przedpole, by ściągnąć tu zwłoki.

Postanowił więc, że uda się w pobliże miejsca kaźni przyjaciela. Jedynie w ten sposób mógł potowarzyszyć nieszczęśnikowi w jego ostatniej drodze. Na zdrowy sen i tak się nie zapowiadało. Zdał sobie sprawę, że został sam jak palec. Bracia po karabinie i bagnecie byli mu obcy. Nawet nie miał za bardzo do kogo gęby otworzyć. Jednocześnie nie chciał tego miejsca opuścić. Zapuścił korzenie w gruncie walki, tak jak wielu przed nim. Pierwsza przelana krew, pierwszy huk eksplozji, a później już tylko skóra rogowaciała.

Zatrzymał się w swoim kulawym marszu. Choć noga wciąż doskwierała, tyczka zaczynała być zbędna. Jego uwagę przyciągnęła trójka żołnierzy, którzy kucali skupieni w kręgu przy ścianie okopu. Pomiędzy nimi leżało na plecach ciało jakiegoś Francuza. Głowa wisiała na strzępach skóry. Cios zadany saperką o mało nie oddzielił jej od tułowia. Hełm typu adrian tkwił gdzieś obok w błocie.

Dwa kroki do przodu, stanął bliżej. Spodziewał się grabieży, bo tutaj wszystko mogło się przydać. Szybko przekonał się jednak, że nie grzebią po kieszeniach. Pierwszy ze szturmowców upuszczał nieboszczykowi krwi, a drugi napełniał nią stalowy kubek. Trzeci w oczekiwaniu zacierał ręce. Młodzieńca zmroziło, otworzył szerzej zapadnięte, zmęczone oczy. Bluźnierczy akt bezczeszczenia zwłok przywodził mu na myśl opowiadania babki o alpach, wampirach z germańskich legend, które wysysały krew śpiących. Tu jednak nie było mowy o zabobonach. To rzeczywistość, oni faktycznie ściągali krew ze śpiącego.

Usłyszał ruch obok siebie, to dwóch żołnierzy z brudnymi od błota i krwi noszami. Byli zmęczeni; spojrzeli po trójce obojętnie, zupełnie nieprzejęci ich czynem. Na Seppa łypnęli tylko przelotnie, traktując jako czwartego uczestnika.

– Śpieszcie się, noc nadchodzi, a my musimy go jeszcze wynieść – burknął żołnierz z noszami, marszcząc paskudnie brwi.

– Już, jeszcze parę kropel – wymamrotał trzymający kielich szturmowiec.

– Dość – odparł z naciskiem. – Nie będziemy tu stać jak dwa słupy, dawać go.

Szkarłatna ciecz zafalowała pod gwałtownym ruchem. Żołnierz zaciągnął się zapachem i skinięciem głowy dał znać noszowym, że mogą zabrać już ciało. Ci leniwie przystąpili do zadania. Trójka szturmowców podniosła się tymczasem, a dzierżący naczynie wzniósł je ku ciemnemu niebu i ziemi niczyjej, w stronę i na cześć Czarnego Szczura. Sepp poczuł, jak cała scena wpędza go jeszcze głębiej w odmęty niedowierzania, nawet mimo tego, ile zdążył na froncie zobaczyć. Chciał odejść, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Podobnie wzrok nie chciał uciec od ponurego widoku.

– Co wy robicie? – wychrypiał. – To bezczeszczenie zwłok!

Na niegolonych twarzach pojawiły się pogardliwe uśmiechy. Żołnierz wzniósł kubek w toaście i upił łyk, przełykając krew z niemym zachwytem. Podał naczynie następnemu. Ten powtórzył czynność, wpatrując się spod porysowanego stahlhelmu wprost w oczy Josefa. Otarł usta, oblizał wargi, a bluźnierczy trunek powędrował do trzeciego. Szturmowiec zakołysał naczyniem, jakby wewnątrz znajdowało się najdorodniejsze wino. Wtedy też wziął swój łyk i powiedział:

– Pijemy krew dla Kaisera.

***

– Jeszcze chwila, Wujaszku, bez nerwów.

Medyk kończył owijać ramię Reinharda kolejnymi warstwami bandażu. Skupiony wzrok tkwił w ranie po bagnecie. Zmęczone powieki opadały raz za razem. Miał pełne ręce roboty, a świadomość, że i tak nie wszystkich można uratować, jedynie pogarszała sprawę. Prusak krzywił się wściekle, ale nie ze względu na ból. Rana była głęboka, ręka odmawiała mu posłuszeństwa za każdym razem, gdy próbował ją podnieść choć trochę ponad biodro. Niedołężność wprawiała go w wyjątkowo paskudny nastrój.

– Nie psiocz, mogło być gorzej – kontynuował spokojnie medyk. – Przed chwilą łatałem chłopaka bez ręki.

– Bez ręki? Tacy to już chyba grób mają wykopany – odburknął.

– Nie, temu szyłem tylko udo.

– Co? – Uniósł wzrok spod pikelhauby. – Mówiłeś coś o ręce.

– Takich posyłacie do walk. – Wzruszył ramionami. – Zaparł się na Czarnego Szczura, że do domu nie jedzie, choćby i dwie ręce stracił.

Reinhard pokręcił głową, wzdychając ciężko. Medyk kończył już swoje zadanie, zgrabnie sięgając po nóż polowy, którym przeciął związany bandaż. Poklepał Prusaka po poliku i zaczął chować swoje przybory. Mogło być gorzej, tutaj każdy tak drugiego pociesza. Rzecz w tym, że od tej chwili, kiedy jest naprawdę kiepsko, dzielą centymetry, sekundy i ślepy, zaborczy los.

– A ten skoczny, co zawsze za tobą lata, cały? – zapytał.

Prusak nie odpowiedział, jedynie grymas zawitał na jego twarzy. Wspomnienie Ingo zakołysało się w pamięci jak ciężkie wahadło, którego ruch nie tak łatwo dało się zatrzymać. Wreszcie skinął potwierdzająco głową na wyczekujące spojrzenie medyka. Ten, wyczuwając niechęć do dalszej rozmowy, odszedł bez słowa. Na jego

miejsce zaś kierował się porucznik Wilhelm. Reinhard, widząc oficera, ociężale podniósł się i zasalutował zdrową ręką.

– Poruczniku.

– Szukałem cię, Reinhard. – Wilhelm zatrzymał się i wyciągnął kopertę w kierunku Prusaka. – To z domu. Masz to, na co czekałeś.

List, światło w tunelu. Wujaszek obrócił go w dłoniach, jakby samemu nie dowierzając, że to faktycznie do niego. Korespondencja docierała z opóźnieniem, choć nie szczędzono wysiłków, aby zapewnić żołnierzom chociaż taki komfort. W chaosie wojny przesyłki niejednokrotnie ginęły. Ten na pozór nic nie warty skrawek papieru był dla odbiorcy tarczą dzielącą go od szaleństwa. Wspomnieniem, że gdzieś poza ziemią przerytą okopami istnieje inny świat, gdzie stal nie sypie się na głowę i nie obraca nieszczęśników w stos kości.

– Dziękuję, panie poruczniku – rzekł Reinhard i skinął głową w geście szacunku.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Wilhelm, spoglądając w toń okopu. – Do Ingo dalej nic.

– Ingo nie żyje, panie poruczniku – stwierdził sucho Prusak i wsunął kopertę do kieszeni munduru. Listy zwykł czytać w samotności. Delektować się nimi, tym wspomnieniem i pamięcią.

Zapadła cisza, przerywają jedynie podmuchem wieczornego wiatru. Wilhelm sięgnął po papierosa, którego nieśpiesznie odpalił. Obłok tytoniowego dymu uniósł się nad głowę. Czarne szczurzysko wypełzło z kaftana jego munduru, spoglądając na Reinharda paciorkowatymi ślepkami. Gryzonia wyraźnie zainteresował list. Skrawek koperty wystawał z kieszeni, a Prusak jakby instynktownie

próbował ukryć go głębiej przed ciekawskim spojrzeniem sługi wojennego totemu.

– Czarny Szczur ocali tych, którzy będą mu wierni. Pozwoli wygrać tę wojnę naszemu umęczonemu narodowi – zaczął na nowo porucznik. – Niech ma w opiece naszego chłopca.

– Wiem, panie poruczniku – odparł po żołniersku Reinhard.

– Jak ramię? – Kiwnął głową na bandaż.

– Bywało gorzej.

– Dostaniesz przepustkę, Reinhard. Przyjmij. Zobacz się z żoną i dziećmi.

– Ingo powinien dostać ją wcześniej – stwierdził, zaraz dodając: – Sepp dostał, a nie przyjął.

– Owszem. – Wilhelm uniósł podbródek. – Ty przyjmij. Zajrzyj też do Bawarii. Potem wrócisz, jesteś potrzebny naszemu batalionowi.

– Pan też, poruczniku… – Po tych słowach urwał.

Chciał coś dodać, ale wahał się. Wojna przeżarła go do tego stopnia, że nie potrafił już jej opuścić. Dla Wilhelma była jak kochanka, dla Reinharda niczym największy obowiązek. Opuszczenie towarzyszy broni w potrzebie zdawało mu się najgorszą zbrodnią i to nawet mimo polecenia dowódcy.

– Jedź do domu. – Wilhelm po tych słowach ruszył dalej.

– Rozkaz, panie poruczniku.

***

Noc nadeszła nad cesarskie okopy, a wśród ich rzędów zrobiło się mniej tłoczno. Oficerowie wystawili warty z co bardziej zdatnych do takiej służby mieszkańców. Po ciemku próbowano jeszcze co

nieco naprawiać. Było to stanowczo utrudnione z braku światła, ale dzielni szturmowcy robili, co mogli, aby zapewnić sobie i kolegom choć odrobinę lepsze bytowanie. Pary żołnierzy brały ostatni oddech przed wyjściem na przedpole w celu reperacji zasieków. Znaleźli się też śmiałkowie, którzy po ciemku postanowili kontynuować zabawę w poszukiwaniu czaszek na ziemi niczyjej. Nikt z wymienionych nie odczuwał strachu. Czarny Szczur czuwał nad nimi w ciemnościach niczym opiekun.

Sepp wspiął się po ścianie okopu przy użyciu drabiny, a następnie wyczołgał się kawałek na przedpole, aby mieć lepszy widok. Już z przyzwyczajenia trzymał głowę nisko. Co prawda mógłby usadowić się na pozycji strzeleckiej Ingo, jednak nocą niewiele by stamtąd zobaczył. Zastygł w bezruchu, ściskając w palcach gęste błoto. Poczuł ból w nodze, powinien sobie takie wyczyny darować. W zasadzie w ogóle nie powinno go tu być. Mimo odpartego szturmu wychylanie głowy z okopu było nie mniej niebezpieczne.

Firmament gwiazd jaśniał na bezchmurnym niebie. Gasł jedynie w pobliżu dymnej ściany i siedzącej na niej bestii. Świetliste punkty zdawały się lękać cienistego muru i tego, co za sobą kryje. Ciało Ingo leżało bezwładnie za zniszczonym kolczastym drutem, wewnątrz jednej z dziesiątek kolein po ostrzałach artyleryjskich. Zdawało się częściowo zapaść w błoto. Breja wyglądała tak, jakby otulało śpiącego pierzyną. Ułożony na boku blondyn odsypiał ten horror, który oglądał, odkąd wybuchła wojna. Karabin leżał obok, ledwie widoczny; stał się ozdobą grobowca.

Gdzieś po prawej za zasiekami przemknął cień. To jeden z żółtodziobów polował na trofea. Nikt nie kwapił się do zbierania

ciał poległych z porannej bitwy, były zbyt ciężkie. Ponadto czaszki nie miały twarzy. Zdawały się bezosobowe, podobnie jak wszelkie piszczele i kręgosłupy, a jednak dla kultystów Czarnego Szczura miały wartość. Reprezentowały straceńczy byt każdego, kto postawił stopę w okopach.

Josef wpatrywał się jedynie w poległego kompana. Ten obraz zbrukał mu umysł, choć od początku podświadomie akceptował myśl, że któryś z nich lada dzień może zginąć. Wojna wywarła na niego wpływ tak jak na każdego. Z tułacza stał się żołnierzem Kaisera, lecz podobnie jak Ingo nie zaprzedał duszy potworności u szczytu dymnego muru. Siał śmierć, a jednak stale żal mu było ją oglądać. Starych wyg nie stać już było na to uczucie. Towarzyszyło im w przebłysku wyłącznie na wspomnienie domu, jeśli jeszcze jakaś myśl o nim pozostała.

Usłyszał ruch tuż obok siebie. Spodziewał się sierżanta, który zaraz ściągnie go za nogi do okopu, jak zmora czająca się w ciemnościach. Intruzem okazał się być Reinhard. Leniwie podczołgał się do Seppa, psiocząc na bolące ramię, bo odmawiało mu posłuszeństwa. Mimo tego Prusak również przybył pożegnać kompana, z którym przebył tyle drogi przez bitewną zawieruchę. Długo się z tym nosił. Zaakceptował już wiele śmierci towarzyszy broni w swoim marszu wraz z machiną wojenną Cesarstwa Niemieckiego. Nauczył się podchodzić do tego na zimno. Tym razem trafiło na Ingo i nie potrafił przełknąć jego śmierci tak łatwo.

Przebiegli po sobie badawczym wzrokiem, jakby w oczekiwaniu, aż któryś nakaże drugiemu odejść. W efekcie jednak oba spojrzenia zatrzymały się z powrotem na martwym blondynie. Milczeli pod rozgwieżdżonym niebem, przed obliczem bestii. Każdy z nich

zmawiał w umyśle pożegnalne słowa, wracały też wspomnienia wspólnych trudów. Wyobraźnia podsuwała widok schorowanego ojca Ingo i gospodarstwa, które popada w ruinę z braku młodzieńczej siły. Zabrano ją na wojnę u stóp dymnego muru.

– Dzisiaj przyszła poczta – odezwał się Reinhard. – Znów brakło dla niego listu.

– Słyszałem, że przesyłki często giną – odpowiedział po chwili Sepp.

– Niemożliwe. – Pokręcił głową – Wysyłał całe mnóstwo listów i tyle samo dostawał, gdy wyruszyliśmy na front.

– Co sugerujesz?

– On odmówił mu ich dostarczenia – wycedził gniewnie przez zęby. – Ja swój list dostałem.

– Mówisz o poruczniku? – zapytał zdziwiony.

– Czarny Szczur – zacharczał Prusak. – Oddałem mu hołd i dostałem list. Ingo nie, więc dla niego brakło.

Młodzieniec uniósł zmęczoną twarz ku ciemności nocy, gdzie swój dom miał wojenny totem z ziemi niczyjej. Ledwie go dostrzegał w konturze niknących wokół niego gwiazd. Wiedział i czuł jednak, że Czarny Szczur stale tam przebywa i wyczekuje kolejnego poranka czasu apokalipsy, aby znów móc posilić swój nienasycony głód krwią straceńców. Umysł częściowo wierzył i jednocześnie bronił się przed słowami Wujaszka. Kolejny zabobon, a jednak nie potrafił mu zaprzeczyć. Wręcz jakby sam poddał się wyobrażeniu, plotkom i podszeptom. Aurze, która na nich wszystkich spadła. Istnienie czegoś takiego jest niemożliwe w obiektywnym, rzeczywistym świecie. Sepp jednak czuł i słyszał tę zgrozę siedzącą na tronie, tak jak inni.

– Do mnie też żaden nie dotarł. – Ciszę ponownie przerwał Sepp, spuszczając wzrok na obłocone dłonie. – To wszystko…

– To jego królestwo – wtrącił Reinhard.

– Gdy skończy się wojna, ono przepadnie w niebyt. Nie potrafi istnieć bez kości i okopów, ciał i błota.

– Nie, Sepp. – Spojrzenie spod pickelhauby padło na martwego Ingo. – Zawsze tu było.

Reinhard uniósł głowę odrobinę wyżej, gdy dostrzegł ruch na przedpolu. Wkrótce ta zmiana w martwym krajobrazie stała się jeszcze żywsza. To wiele maleńkich cieni okrążało ciało blondyna, przemieszczając się za linię zasieków. Mnogość ruchu zdawała się jednocześnie jedną masą, a przy tym jakby każdy jej element był osobnym, żwawym trybikiem. Piski przeszyły ciszę. Dziesiątki gryzoni zgromadziły się w grobie Ingo, przeskakując po ciele i wokół niego. W pewnej chwili przystanęły, wręcz zamarły w bezruchu. Dopiero na szum wiatru, jak na dźwięk oficerskiego gwizdka, ożywiły się ze zdwojoną siłą.

– Co one robią? – zapytał Sepp, szerzej otwierając zapadnięte oczy.

– Jedzą – odparł sucho Reinhard.

Dwójka szturmowców mogła jedynie patrzeć. Dziesiątki szczurów natomiast ucztowało na trupie niczym niepowstrzymana szarańcza. Nie lękały się, były u siebie, w królestwie swojego pana. Wpełzały pod mundur wśród pisków i drapania. Zdzierały skórę nieszczęśnika, żywiąc się nią, prąc ostrymi ząbkami po mięso. Przegryzały się do kości, zdzierały oblicze oraz resztkę świętej godności. Sepp zawahał się nad rzuceniem granatu, jednak Reinhard

go powstrzymał. Oboje wiedzieli, że to przerwie ucztę jedynie na chwilę. Nie było już dla nieboszczyka żadnego ratunku.

Za ich plecami w szeregach okopów usłyszeli kolejne skrobania i piski. Noc przyniosła szczurze harce, które stały się już codziennością w żywocie straceńców w stahlhelmach. Nikt z gryzoniami nie walczył, a wielu oddawało im cześć. Karmiono je i pojono. Piły krew dla Czarnego Szczura, tak jak szturmowcy pili ją dla Kaisera. Szarpały zwłoki, szukały resztek, drążyły w ścianach skomplikowane korytarze. Żołnierzy nie budziły już ze snu, a wszechobecny harmider był im niejednokrotnie kołysanką czulszą od matczynej. Dla obserwatora z zewnątrz kanonada dźwięków mogła brzmieć jak skowyt z dna piekieł, dla nich jednak była pieśnią na cześć Czarnego Szczura, Kaisera i Ojczyzny.

– Dostałem przepustkę – stwierdził Reinhard, niewzruszony tym toczącym się szaleństwem.

– Wracasz do domu? – zapytał Sepp, z trudem odrywając się od wewnętrznej walki z ciężarem harców.

– Tak, dawno mnie tam nie było.

– Więc pozdrów ojczyznę, Wujaszku.

Reinhard w odpowiedzi pokiwał jedynie głową. Następnie powoli sięgnął do pasa, aż nie poczuł pod dłonią rękojeści ząbkowanego bagnetu. Wyciągnął broń i obrócił zdobione zaschniętymi plamami krwi ostrze, oglądając je zgaszonym, ponurym wzrokiem. Młodzieniec przyglądał się orężowi w zastanowieniu. Nagle Prusak podniósł się wyżej i cisnął bagnetem do jednej z wielu kolein za przedpolem. Momentalnie podniosły się hałaśliwe piski wszystkich okolicznych gryzoni. Zostawiły Ingo w spokoju, gnając za artefaktem.

Po blondynie pozostał ledwie niedojedzony szkielet.

ROZDZIAŁ XIV

Najdroższa Anno!

Ofensywa pod fortem Vaux zakończyła się klęską naszego oddziału. Jestem zdrów, choć upadek tej nieszczęsnej zgrai zdawał się być nieunikniony. Zostaliśmy zdziesiątkowani. Ci, którzy ocaleli z rzezi, są w wyjątkowo podłych nastrojach. Major Matthias i wyżsi oficerowie obiecali nam wspaniałe zwycięstwo, parliśmy po nie w tym niekończącym się morzu błota. Zawiedliśmy, zginęło wielu moich przyjaciół, a osiągnięcia pozostały znikome. Nasza ojczyzna składa na ołtarzu wojny swoich najlepszych synów; dziś żyj, jutro umieraj – to nasza dewiza.

Ja sam pozostaje niezmienny. Przysięgałem Cesarstwu, Kaiserowi i armii wierność, ta jest we mnie niezachwiana. W jakiekolwiek piekło nie pośle nas los, zawsze będę maszerował u boku moich dzielnych towarzyszy broni. Staram się podtrzymywać ich na duchu. Wierz mi, Anno, to okropne oglądać, jak nasz niezwyciężony batalion popada w marazm, a jego stalowe oblicze pokrywa się rdzą i rozpada na moich oczach.

Nawet porucznik Wilhelm podupadł na duchu. Nigdy nie widziałem go w takim stanie, choć nieraz bywało ciężko. Widzę jak dwoi się i troi, aby wyciągnąć nas z tej trudnej sytuacji. Pozostaje dla mnie niezmiennym przykładem męstwa, odwagi i poświęcenia. Jestem przekonany, że coś wymyśli – zawsze wyciągał nas nawet z najgorszych tarapatów. Z kolei Ingo, mój drogi przyjaciel, o którym wiele razy ci pisałem, wesołkuje jak zwykle. Tego chłopaka chyba nic nie jest w stanie

ruszyć! Psia krew by go. Odnoszę wrażenie, że to jego sposób na odreagowanie tych wszystkich nieszczęść.

Ostatni list od ciebie dostałem w trakcie oczekiwania na szturm pod Verdun. Pisałaś, że Rolf dokazuje po berlińskich ulicach. Miej na niego baczenie. Wiem, jak Ci trudno pełnić jednocześnie rolę matki i moją, gdy ja jestem na froncie. Codziennie oglądam Wasze zdjęcia. Tęsknię za Twoim uśmiechem i śmiechem naszych dzieci.

Szykują się przepustki, jednak to nie czas, by wracać do domu. Nie chcę zostawiać naszego oddziału samemu sobie. W takich chwilach szczególnie potrzebni są ludzie wytrzymali na wszelką okropność, a nadto porucznik ma mnie za swojego zaufanego człowieka. Nie chcę zawieźć jego oczekiwań. Myśl o tym, że zostawiłem kamratów, nie dałaby mi spać po nocach.

Mają przysłać uzupełnienia. Potrzebujemy świeżej krwi, gdy tylu nas pomarło pod Verdun. Niedoświadczonych żółtodziobów trzeba jednak stale musztrować i pilnować. Czuję, że przypadnie mi to zadanie. Przynajmniej nasze nowe pozycje pod Craonne wyglądają trochę lepiej niż te, które kopaliśmy w pośpiechu podczas ofensywny. Niech wydarzy się jakiś cud.

Reinhard

PS. Mam nowego kompana, niedawno go przysłali. Ma na imię Sepp i jest strasznym durniem.

***

Wojskowe buty brodziły w błocie polnej drogi. Mimo tego, że Reinhard był setki kilometrów od linii frontu, gdzie cesarska armia

wkopała się w grunt, upiorna breja wyraźnie nie chciała go opuścić. Siąpił deszcz, którego zawsze uważał za wroga, choć tutaj sprzyjał roślinności i uprawom w marcowym przebudzaniu się do życia. Miał wrażenie, że całe wieki nie doświadczał takiego widoku. Zieleń przydrożnych drzew i pąki ich owoców, ciągnące się w nieskończoność uprawne pola Bawarii. Soczysta trawa z rozkoszą spijająca każdą kroplę z nieba. Kwiaty ostatni raz oglądał, gdy wyruszał na wojnę. W oddali wiejskie domostwa, nieopuszczone i niezniszczone. Ktoś uporczywie rąbał drewno, bez oglądania się za swoje plecy z lękiem w oczach.

Panujący tu spokój był zupełnie inny niż ta złowieszcza cisza ziemi niczyjej. Koił zmysły swoją prostotą i trwałością. Nie trzeba było stale wyczekiwać, aż zostanie przerwany kawalkadą ognia, stali oraz świszczących gwizdków w ustach oficerów. Jedynie to błoto, które mlaskało pod butami, przypominało mu, że jest na przepustce. Wojna wcale się nie skończyła, a na froncie żołnierze wciąż ginęli, cierpieli i wznosili bagnety ku chwale Czarnego Szczura.

Reinhard stanął przed drzwiami gospodarstwa i przez dłuższą chwilę wpatrywał się we framugę, zbierając myśli. Nałożył na głowę pikelhaubę, poprawił mundur. To był dom Ingo. Pasował idealnie do opowieści, które nieraz snuł blondyn. Zapadająca się stodoła z grubych beli i częściowo murowana obora tworzyły razem wnękę, która prowadziła do budynku mieszkalnego. Dalej jezioro, gdzie młodzieniec łowił ryby. Uprawne pola, a także łąka, na której pasły się cztery krowy. Był nawet mały kurnik. Ingo za dziecka krył się tam przed surowością rodziców.

Nastało południe, miał więc nadzieję zastać lokatorów na miejscu. Wreszcie zebrał się w sobie i zapukał. Odpowiedziała mu

cisza. Spuścił głowę z zawahaniem, dalej nie będąc pewnym, czy powinien się tu pojawić. Zapukał jeszcze raz. Zmarszczył brwi i sięgnął do klamki, ale właśnie wtedy drzwi otworzyły się, a w nich stanęła leciwa kobieta. Ostre spojrzenie jej zielonych oczu mogło zarówno oczarować, jak i napawać lękiem. Drobna, niska, o dłoniach i skórze zniszczonych słońcem oraz ciężką pracą na roli.

– Przepraszam, że niepokoję… – zaczął spokojnym głosem.

– Reinhard, prawda? – zapytała, oglądając zarośniętą twarz szturmowca.

– Tak – odpowiedział po chwili milczenia. – Przysłał mnie batalion, w którym walczył Ingo.

– Walczył – zauważyła sucho. Następnie otworzyła drzwi szerzej, zapraszając gościa do środka. – Ingo sporo o panu pisał.

– Wie pani, z jakimi wieściami przychodzę, prawda? – zapytał, wchodząc do pomieszczenia… To był chyba pierwszy raz, gdy brakowało mu pewności.

– Ta wojna wszystkim odbiera synów – odparła bez cienia wyrzutu, jakby pogodzona z faktem. – Prędzej czy później.

Teraz pozwolił sobie z powrotem ściągnąć pikelhaubę. Jego czarna, mokra czupryna kleiła się niedbale do czoła. Ruszył za kobietą przez nieduży korytarz, aż wspólnie weszli do większego pomieszczenia, które wyglądało jak połączenie salonu z kuchnią. Stare, poniszczone obrazy spoglądały na przybysza. Wśród nich dominowały typowe pejzaże przedstawiające polowanie, na to jednak Reinhard nie zwracał większej uwagi. Nieprzyjemny półcień otaczał kurtyną zapiecek, przy którym stała skrzypiąca ława. Okna niedbale pozakrywane poszarzałymi zasłonami. W nozdrza Wujaszka szybko uderzył duszny zapach paleniska z wilgocią wdzierającą się

w ściany domostwa. Izba zdawała się mieć najlepsze lata już dawno za sobą, stopniowo popadając w ruinę i zapomnienie. Niegdyś prosty dom, który należał do prostych ludzi.

– Ingo sporo wspominał o ojcu.

– Przyszedł pan mu powiedzieć, że syn nie żyje, mam rację? – zapytała, znikając na chwilę w cieniu.

– Porucznik mnie zobowiązał i sam z siebie czuję się zobowiązany.

– Mój mąż zmarł dwa miesiące po wybuchu wojny – oznajmiła, wyłaniając się z cienia z parującym kubkiem, który wręczyła Reinhardowi. – Ja odpisywałam na wszystkie listy.

Reinhard stał nieruchomo. Dopiero po chwili wyciągnął dłoń po darowany mu napitek. Poparzył się, a jednak to nie ból dłoni sprawił, że wypuszczone naczynie roztrzaskało się o drewnianą podłogę. Zmartwiony zdrowiem ojca blondyn miesiącami czytał i wysyłał listy, a ich adresat znajdował się już na tamtym świecie. Prusak pokręcił głową i ukucnął, aby pozbierać kawałki naczynia. Gospodyni spoglądała na twarz żołnierza; zaraz sama uklękła i ujęła jego policzki w dłonie.

– Cóż mogłam począć, Reinhardzie? – zapytała szeptem. – Ingo był przywiązany do ojca, a wojna…

– Zabiera synów – wtrącił na wydechu.

– I ojców – dopowiedziała.

– Co to znaczy? – zmarszczył brwi, patrząc w zielone, otoczone kurzymi łapkami oczy.

– Zgryzota. – Spuściła wzrok.– Mój mąż niewiele sypiał, odmawiał jedzenia, nie ruszał się z posłania. Każdego dnia martwił się o syna i przyszłość naszego domu.

Wujaszek jeszcze raz pokręcił głową, wyrywając ją tym samym z objęć kobiecych dłoni. Choć przedstawiona przez kobietę prawda była straszna, stała się dla niego zrozumiała. Nie żywił urazy, nie stać go było na takie uczucie. Ojciec blondyna zmarł nękany wizją utraty jedynego syna, a matka nie chciała obciążać go, straceńca otoczonego zasiekami i poczuciem winy. Niejeden postradałby zmysły. A gdyby jednak wrócił do domu? Cały i zdrów, może uśmiechnięty jak zawsze, ale jednocześnie na kolejną wojnę, wewnątrz siebie, gdyby się dowiedział o oszustwie matki.

– Jeśli będzie pani potrzebowała pomocy, jestem do usług – zaoferował się, tak jak postanowił w drodze do tego miejsca. – Domyślam się, że jest ciężko.

– Daję sobie radę. Sąsiedzi są bardzo pomocni – odpowiedziała, gdy oboje podnieśli się z resztkami kubka.

– Mimo wszystko. – Położył szczątki na blacie, a obok nich kartkę dobytą z kieszeni, gdzie wcześniej zapisał swój adres.

– Zanosi się na burzę, zostań, Reinhardzie.

Szczurze drapanie rozległo się w ciemnościach, gdzieś koło zapiecka. Pisk, który ledwie dało się usłyszeć ludzkim uchem. Prusak spojrzał w tamtą stronę, zastygając w bezruchu jak posąg ofiarny, wykuty ku pamięci poległych. Otworzył oczy odrobinę szerzej. Odsunął się o krok od kobiety. Dźwięk skrobania gryzoniowatymi pazurkami nasilił się jeszcze bardziej. Uporczywy, dobrze mu znany z koszmarów czyhających na froncie. Oddech przyśpieszył, ale jedynie na moment. Szybko zebrał się w sobie i założył pikelhaubę, szykując się do wyjścia.

– Mysz – stwierdziła spokojnie. – Ile ja bym dała, by się ich pozbyć.

– Szczur – szepnął. – Ich nie można się pozbyć.

***

– Ależ urosłaś, Ruth! Ledwie cię dźwigam.

Trzymał w rękach ukochaną córkę, swój najdroższy skarb. Dopiero co nauczyła się chodzić, a już obracała wszystko wokół w pierzynę. Nogi posiniaczone, kolana zdarte od licznych upadków. Z zarumienionej twarzyczki nie schodził uśmiech zaciekawienia. Ojciec z niechęcią odstawił ją z powrotem na podłogę skromnego mieszkania. Była niczym szczeniak, który po długim czasie ponownie ujrzał ludzkiego opiekuna. Obawiał się, że go nie pozna, ta jednak uczepiła się nogi Reinharda, jakby zaraz znów miał odejść.

W drzwiach prowadzących do sypialni stanęła Anna, żona Wujaszka. Splotła dłonie na znoszonym fartuchu i spojrzała na męża, niepewna wobec widoku, który jawił się przed jej oczami. Szukała w zarośniętej, ponurej twarzy mężczyzny, któremu składała przysięgę przed ołtarzem. Prusak pogładził brązowe włosy córy, jednocześnie patrząc na ukochaną. Postarzała się znaczniej, niż powinna. Niewiele zostało z młódki, którą wbrew temu, co przystoi, zabierał na berlińskie kabarety. Liczne bruzdy poniszczyły piękne oblicze. Niezdrowo wychudła, a niegdyś gęste, jasne włosy stały się płowe i przerzedzone. Jej zawsze delikatne dłonie drżały. Najgorszy był jednak smutek w niebieskich oczach, wyzutych z nadziei przez czas wojny.

– Witaj, Anno.

Nie wiedział, co powiedzieć.

– Wróciłeś, Reinhardzie.

Ona również nie wybrnęła z tego lepiej.

Przełamał się, z córą u boku podszedł do żony. Ujął w dłonie jej zapadnięte policzki i ucałował wargi, by następnie objąć nieszczęsną kobietę. Anna ułożyła głowę na ramieniu męża, na moment przymknęła oczy, ale przemoczony mundur Reinharda nakazał jej oderwać się i spojrzeć ponownie na twarz mężczyzny. Mimo własnej tragedii jej spojrzenie było pełne troski, a zarazem przesiąknięte lękiem. Trud życia nie odpuszczał.

– Jesteś mokry, przebierz się, najdroższy – wykrztusiła. – Zrobię nam kolacje.

Reinhard zdał sobie sprawę, że niewiele brakło, by z nawyku zasalutować na komendę. Jeszcze raz ucałował Annę i pogładził po włosach córkę, do której uśmiechnął się pogodnie na tyle, na ile potrafił. Wszedł do sypialni, gdzie znajdowały się ich rzeczy. Stara lampa naftowa rzucała przyjemne światło. Zauważył to samo niewielkie łóżko, gdzie spali ściśnięci we dwójkę, a także szafę z ubraniami, którą dzielili między sobą, oraz stolik. Na tym ostatnim stał wiklinowy koszyk ze stertą napisanych przez siebie listów. Ledwie dawało się je wszystkie pomieścić. Na blacie leżały starannie ułożone medale, które otrzymał. Nie nosił ich, od razu wysyłał do domu, a Anna oglądała je, gdy odpisywała na wiadomości. Panujący w pomieszczeniu porządek drastycznie różnił się od frontowego chaosu. W pierwszej chwili trudno było się zmysłom przyzwyczaić do ciszy i przyjemnego półmroku. Niemniej jednak cieszył się z powrotu.

Usłyszał odgłos zamykanych drzwi. Przebrawszy się, wyjrzał z sypialni, poprawiając prostą, białą koszulę. Anna stała u boku chłopca, wysokiego i barczystego jak na swój ledwie nastoletni wiek. Żarliwie ocierał krew spod nosa, którą kobieta starała się tamować

wilgotną ścierką. Zadyszany, bronił się przed tym, jak mógł, ale zupełnie na darmo.

– Znowu się biłeś, nicponiu. – Potrząsnęła głową. – Ile razy mam ci powtarzać, byś na siebie uważał? Ojciec będzie wściekły.

– Przecież ojciec jest daleko, matulu – fuknął gniewnie, zaraz dodając: – Witold cię obraził, to dostał w ten parszywy pysk.

Prusak zdobył się na odwagę, aby wyjść z sypialni. Spojrzał na syna w milczeniu; niegdyś byłby wściekły, jako że sam był chowany w pruskiej dyscyplinie i zbierał cęgi za takie zachowanie oraz język. Teraz jednak bitny chłopak wydał mu się jednym z najwspanialszych obrazów, jakie widział w życiu. Uśmiechnął się pod nosem i skrzyżował ramiona na piersi.

– Rolf, nie wyrażaj się przy mamie.

Chłopak obrócił gwałtownie głowę i zrobił oczy tak wielkie, jakby ujrzał ducha. Momentalnie zerwał z głowy szary kaszkiet i wyrwał się Annie, by prędko podbiec do ojca, w którego objęciach zaraz się znalazł.

– Wróciłeś, tato!

– Oczywiście. – Wytargał młodzieńca za policzek. – Dziękuję, że byłeś mężczyzną w tym domu pod moją nieobecność.

***

Wszechogarniająca ciemność zaległa w sypialni, gdy zgaszono światło lampy naftowej. Leżał na plecach, wpatrując się w sufit. Anna tuż obok, opierając policzek na ramieniu męża, a jej ciepły oddech odbijał się od szyi. Kolacja przebiegła spokojnie. Temperamentny Rolf miał naturalnie wiele pytań na temat wojny, jednak Reinhard mówił o niej zdawkowo, starając się unikać tematu. Również matka

gaiła syna za zbyt częste naciski na przywoływanie frontowych wspomnień. Ruth nie opuszczała ojcowskich kolan, nie chciała nawet jeść mimo ponagleń rodziców.

– Wrócisz na front? – zapytała Anna, przymykając oczy.

– Będę musiał – odpowiedział.

– Przysięga, lojalność, honor – naciskała na każde z wypowiedzianych słów.

– Oddział mnie potrzebuje, uzupełniono go o żółtodziobów – szeptał w ciemnościach, nie odrywając spojrzenia od sufitu. – Niewiele potrafią.

– I nie obędą się bez Wujaszka – dopowiedziała z żalem, a jednocześnie smutnym zrozumieniem.

Pogładził jej włosy, milknąc. Nie wiedział, co mógłby jej odpowiedzieć, w jaki sposób pocieszyć. Brała na barki niewiele mniej od niego, mimo że nie walczyła na froncie. Samotnej kobiecie z dwójką dzieci trudno było zmagać się z otaczającą rzeczywistością. Odczuła jednak chwilowe wytchnienie, gdy wrócił, a nie było tak łatwo o przepustkę w trakcie krwawych walk pod Verdun. Skryła twarz w jego szyi, pozwalając otoczyć się gojącym ramieniem. Obecność żony i dzieci wzmacniała również Reinharda, choć nie potrafił uciec od myśli o okopach i Czarnym Szczurze.

– Nie poznałeś mnie, Reinhardzie, prawda? – Zacisnęła wargi. – Wiem, jak wyglądam.

– Poznałem, nie martw się tym, Anno.

Nie poznał. Gdy ujrzał ją w drzwiach sypialni, to tak jakby zobaczył kompletnie obcą osobę. Nie taką ją zapamiętał. Urodę Anny również zabrała wojna, choć wcale na nią nie wyruszyła. Gdy miliony mężczyzn przywdziało mundury, zaczęły pustoszeć fabryki. Im dalej

w czas zmagań, tym więcej pożerała machina wojenna Cesarstwa, a także każdego innego kraju, który rzucił się w toń apokalipsy. Ktoś musiał wyrabiać amunicje do dział i karabinów, szyć mundury, wyginać stahlhelmy na głowy straceńców. Tłumy kobiet zastąpiły mężczyzn w przemyśle. Z każdym rokiem pracowały coraz dłużej i ciężej. Płaca wcale przez to nie urosła, a wzmagające się problemy ekonomiczne zrzucały na kark coraz potworniejsze obciążenie. Ciche bohaterki, które złożyły na ołtarzu krwawego marszu swoją urodę, zdrowie i życie.

– Zginął Ingo – szepnął.

– Twój przyjaciel – odpowiedziała – Nie pisałeś o tym.

– To było chwilę przed tym, jak dostałem przepustkę. – Zamknął oczy, przywołując w umyśle wspomnienie twarzy blondyna. – Odwiedziłem jego rodzinę, obiecałem pomoc.

– To dobrze. – Skuliła głowę. – Straszna to rzecz, stracić syna.

– Śpij, Anno. Jutro porozmawiamy.

– Spokojnego snu, Reinhardzie.

***

Uchylił oczy, rozbudzony natarczywym dźwiękiem. W półśnie nie odróżniał jeszcze jawy od koszmaru, który jarzył się gdzieś na krawędzi umysłu. Wyczuł Annę smacznie śpiącą w jego ramionach. Na moment podniósł głowę wyżej, rozglądając się w ciemnościach po sypialni, zaraz jednak ponownie opadł na poduszkę. W przypływie ulgi ze świstem wciągnął powietrze do płuc. Potrzebował chwili, aby zdać sobie sprawę, że nocna pobudka nie zastała go w środku wilgotnej, ziemnej jamy okopu, lecz we własnym łóżku, w Berlinie, z dala od wiru walki, ostrzałów artyleryjskich

i alarmów. Dźwięk tłuczonego szkła i psioczenia dobiegł zza zasłoniętego okna. Jakiś pijak stracił właśnie swoją pociechę na dzisiejszy wieczór. Dawniej ten rumor by go rozgniewał, teraz jednak uspokoił bijące serce.

Reinhard rozkoszował się ciszą, przerywaną jedynie spokojnym oddechem Anny. Odpływał już, gdy nagle do jego uszu ponownie dotarł ten sam dźwięk, który obudził go poprzednio. Mężczyzna uchylił powieki, nasłuchując. Zamilkło nawet pijackie psioczenie, jakby nigdy go tam nie było. Wtedy też rozbrzmiało skrobanie przy przeciwległej ścianie. Oczy żołnierza otworzyły się szerzej. Prawie był już pewien, że to jedynie umysł płata mu figle, gdy drapanie stało się dłuższe i znaczenie głośniejsze.

Szczurzy pisk rozległ się gdzieś pod łóżkiem. Oddech Prusaka przyśpieszył, a po czole spłynęła kropla potu. Podniósł głowę, a następnie wypuścił żonę z ramion, by powoli podnieść się z posłania i stanąć na podłodze. Baczne spojrzenie przebiegło po pokoju w poszukiwaniu kolejnych źródeł dźwięku, a jednak zastała go cisza. Umysł i nerwy były już jednak napięte, jakby na głowę miała spaść stal i płomień pocisków, a wszędzie wokół czaiły się karabiny najeżone bagnetami.

– Reinhard? – usłyszał za plecami senny głos żony. – Gdzie idziesz? Wracaj do łóżka.

– Przejdę się – odparł rozdrażniony. – Zaraz wrócę.

Po omacku znalazł swój stary płaszcz; zarzucił go na siebie i wyszedł z sypialni pośpiesznym krokiem, towarzyszyło mu wrażenie serca podchodzącego do gardła. Ciasno związał odzienie, przywdział buty i nie oglądając się za siebie, opuścił mieszkanie. Stanął na ciemnych schodach kamienicy. Następnie przywarł

plecami do zimnej ściany, łapiąc oddech jak po gigantycznym wysiłku. Pot spływał mu po twarzy, a dłonie drżały nerwowo. Obmacał płaszcz, zawsze trzymał w nim papierośnice na wszelki wypadek. Zwijka wkrótce tliła się w ustach tytoniowym żarem.

Pomasował skronie, ból głowy przyszedł szybko. Dźwięk drapania, który usłyszał, rozbijał się echem w zmęczonym umyśle. Powracały frontowe wspomnienia; gigantyczny, czarny omen na szczycie dymnej ściany, towarzysze broni przekłuwani bagnetami i łomot artylerii, krzyki rannych oraz przeżerające świsty oficerskich gwizdków. Pokręcił głową, zaszlochał. To nie buty, a dusza tonęła w błocie. Kolejne obłoki uleciały z ust, gdy żarliwie zaciągał się zwijką. Uniósł spojrzenie na drzwi rodzinnego mieszkania. Przesłyszało mu się, musiało mu się przesłyszeć. Znał Annę, z pewnością zwierzyłaby się z obecności gryzoni.

Tutaj naszła go wątpliwość. Choć wiedział, że to jego żona we własnej osobie, jednocześnie zdawała mu się kompletnie obcą osobą. Jej oblicze należało do kogoś innego. Czuła, opiekuńcza i kochająca, zwracała się do niego w ten sam sposób jak niegdyś. Jej gesty nie zmieniły się ani o jotę. jednak wszelkie bruzdy oraz zniszczenie, które obróciło jej twarz i dłonie w obcą mu formę, sprawiały, że nie widział w niej Anny. Przynajmniej póki sama mu nie przypomniała.

Na zewnątrz znów dźwięk tłuczonego szkła. Obrócił głowę w stronę schodów i wypuścił gniewnie powietrze. Ciężkim krokiem zszedł do zniszczonych drzwi kamienicy i zaraz wyszedł na zewnątrz, stawiając buty na berlińskiej ulicy. Ciemnice rozjaśniały jedynie miejskie latarenki. W pierwszej chwili zdawało mu się, że wokół nie było ani jednego żywego ducha. Osiedle przemysłowe, jakich wiele w stolicy Cesarstwa Niemieckiego; wszyscy śnili po

kolejnym dniu w omenie wojny lub też zapijali zmęczenie duszy i ciała, swój nieszczęsny los.

Tuż po jego prawej, pod ścianą budynku, leżał mężczyzna w średnim wieku. W dłoniach ściskał szyjkę po pobitej berbelusze, a wokół pijaka walało się pełno szkła po bezpowrotnie straconych butelkach. Mamrotał coś niewyraźnie. Gdy Reinhard podszedł bliżej, ujrzał pruski mundur. Zamiast więc pogonić, pomógł nieszczęśnikowi podnieść się. Pijany jak kłoda, zdołał jedynie oprzeć się plecami o ścianę, mętnym wzrokiem spoglądając na twarz żołnierza.

– Żeś się uchlał, brachu – stwierdził Reinhard. – Nie przystoi pruskiemu żołnierzowi taki stan.

– Może – wybełkotał pijak, zaraz wściekle dodając: – Tu wszystko przystoi!

– Gdzie mieszkasz? – Otrzepał biedaka z brudu.

– Nigdzie. – Zaparł się o ścianę, kręcąc głową. Ucichł na moment, po czym zasłonił twarz w przestrachu. – W moim domu szczury mieszkają.

Reinhard wpatrywał się w milczeniu w próbującego utrzymać równowagę żołnierza. Ten nie słysząc ani słowa odpowiedzi, zaniósł się śmiechem i jeszcze raz potrząsnął głową. Zaraz gniewnie cisnął szyjką butelki przed siebie, na ulicę. Rozpostarł ramiona i wskazał na twarz rozmówcy. Prusak oglądał tę scenę zaskoczony i już zdążył pożałować, że próbował pomóc pijakowi.

– Też je znasz, co? – bełkotał mężczyzna. – Wszędzie są, przyszły tu za nami.

– Poszedł stąd, pijaczyno, bo ci mordę pogruchotam – odparł Reinhard.

– Zabraliśmy je do domu!

– Precz!

***

Stał oparty łokciami o parapet i tlił nieśpiesznie kolejną już zwijkę. Chłodnawe, mokre powietrze wdzierało się do mieszkania, rozwiewając panujący wewnątrz zaduch. Starannie ogolił twarz, pragnąc zrzucić z siebie choć jedną z okopowych zmór. Pomoc w pozbyciu się kolejnej miał mu zapewnić widok berlińskich ulic. Te były zatłoczone, mimo że niebo zasnuły ciemne chmury i wyraźnie zanosiło się na deszcz. Za plecami Rolf i Ruth siedzieli przy zapiecku, próbując swoich sił w naprawie latawca. Zwykle o tej porze chłopca nie było już w domu, jednak dziś został, aby spędzić czas z dawno niewidzianym ojcem.

Reinhard oglądał stare kamienice, które pamiętały czasy niezwyciężonego Otto von Bismarcka. Berlin, mimo że przypisywano mu militarystyczny charakter z pruskim drylem, był stolicą nietuzinkową. To tu arystokratyczny tradycjonalizm mieszał się z postępem, kołując razem w walce i zgodzie jednocześnie. Nawet przed wojną częsty widok stanowili żołnierze, co nadawało miastu surowości, a jednak stale przyciągało artystów i intelektualistów.

Mieszkańcy mieli jednak całkiem inne zmartwienia. Przemieszczali się prędko ulicami, śpiesząc się do swoich spraw w coraz to cięższej sytuacji ekonomicznej ich kraju. W 1914 roku metropolię dotknęło widmo głodu, tymczasem propaganda forsownie przedstawiała obraz szybkiego zwycięstwa w wojnie. Zapasy wyczerpały się po ledwie kilku miesiącach, odkąd straceńcy wyruszyli na front. Z czasem było już tylko gorzej. Gwóźdź do

trumny przybiła blokada morska ze strony Wielkiej Brytanii, posiadającej ówcześnie największą i najpotężniejszą flotę świata. Wprowadzono racjonowanie żywności i kartki wskazujące, ile strawy przypada na głowę. Porcja ta wahała się od 225 do 200 gramów mąki lub 2 kilogramów chleba tygodniowo.

Dwa lata później narosłe problemy dało się zauważyć jak na dłoni. Strapienie na twarzach przechodniów było tego najlepszym dowodem. Ich zapadnięte oblicza z wyraźnie wystającymi kośćmi policzkowymi jawiły się upiornie. Głód zadomowił się na dobre. Nawet wskazana na kartce racja nie oznaczała, że ktokolwiek otrzyma tyle, ile mu zapisano. To stanowiło główny powód, dla którego młodziutki Rolf tak gnał przez berlińskie ulice. Wziął na swoje barki walkę z pustym żołądkiem.

Panował niepokój, widoczny na twarzach Berlińczyków, a także Niemców w innych częściach Cesarstwa. Wojna, która miała przynieść zwycięstwo, ciągnęła się już dwa lata. Wielu jednak wciąż wierzyło, że szalejące pod Verdun piekło przyniesie potrzebne przełamanie na zachodzie.

– Tato? – Reinhard poczuł pociągnięcie za rękaw.

– Tak, Rolf? – Obrócił głowę w stronę syna, odrywając wzrok od miejskiej panoramy.

– Dlaczego wybuchła wojna?

– Bo spiskowcy z zimną krwią zamordowali Franciszka Ferdynanda, arcyksięcia Austro-Węgier, a te wypowiedziały wojnę Serbii. Natomiast Rosja, sojuszniczka Serbii, w odpowiedzi wypowiedziała wojnę Austro-Węgrom. My, jako sojusznik Austro-Węgier… – odpowiadał automatycznie, bez zastanowienia i cienia emocji. Dopiero gdy spojrzał w oczy Rolfa, zreflektował się

i westchnął, sięgając dłonią do jego włosów. – Bo nic innego nam nie zostało.

Chłopiec zastanawiał się chwilę nad słowami ojca, początkowo zbity z tropu pierwszą częścią jego wypowiedzi. Potarł dłonie i zerknął na Ruth, po czym znów na oblicze żołnierza, jakby w ich obojgu szukał odpowiedzi na kolejne pytanie. Ojcowska dłoń zdała mu się teraz najlepszą opoką wobec brutalnej rzeczywistości czasu wojny. Reinhard zdał sobie sprawę, że towarzyszy mu problem w odbiorze innych bodźców niż rozkazy, okrzyki, gwizdki i symptomy, że za rogiem czeka śmierć na bladej lub czarnej klaczy. Potrzebował chwili, by zauważyć, że Rolfa coś nęka.

– O co chodzi, Rolf?

Zgasił niedopałek zwijki w blaszanej puszce na parapecie i ukucnął przed synem. Pogładził go uspokajająco po głowie, zdobywając się na uśmiech.

– Głodujemy, tato – stwierdził ciszej, jakby ze wstydem. – Matula płacze po nocy, a Ruth ciągle burczy w brzuchu.

– Wiem, mój drogi. To już długo nie potrwa.

– Czasem uda mi się przynieść coś prócz tego, co matula kupi.

– Jesteś bardzo dzielny.

– Wszyscy wokół są głodni – urwał. – Dlaczego głodujemy, tato?

Reinhard nie potrafił odpowiedzieć na zadane pytanie. Co zresztą miałby rzec? Żadna rzeczowa odpowiedź nie była wystarczająco dobra dla tak młodej duszy, by jednocześnie całkiem jej nie złamać w tym horrorze. Głodnego nie pocieszy nic prócz pajdy chleba, a tkwiącego w koszmarze, koniec mary. Wyczekujący, zmartwiony wzrok syna nakazał mu jednak powiedzieć cokolwiek.

– To się skończy, Rolf. Niemcy zwyciężą i będzie to nasza ostatnia wojna.

***

– Chodź spać, Reinhard.

– Już idę.

Siedział przy stoliku, oglądając swoje odznaczenia. Obracał je kolejno w dłoni, badając fakturę opuszkiem palca. Przyglądał się każdemu elementowi przy świetle lampy naftowej. Stale miał wrażenie, że znajduje w nich coś nowego. Nie tylko w elementach zewnętrznych, ale zwłaszcza pod kątem esencjonalnym. Każdy z medali wiązał się z osobnym wydarzeniem, które na stałe wyryło się w pamięć. Często okupione krwią, lękiem i nadludzkim wysiłkiem. Zawieszony nad nimi, ponury, mierzył się ze wspomnieniami.

Anna leżała już w łóżku. Przysypiała co chwilę, uchylając jedynie oczy, by spojrzeć mętnie na zwróconego do niej plecami męża. On spędzał czas z dziećmi, ona tkwiła w fabryce amunicji. Jak zwykle całkiem uszły z niej siły po wyczerpującej ponad ludzkie siły pracy. Niewiele przy tym jadła, starając się przede wszystkim wykarmić rodzinę. Czuła jak stopniowo, dzień w dzień, wyniszcza ją to do cna.

– Chodź, najdroższy – upomniała półszeptem. – Późna pora.

– Mamy w domu gryzonie? – zapytał, odkładając dbale medal na blat stołu.

– Nie, chyba nie – odpowiedziała sennie – Nawet jeśli, Rolf by o tym wspomniał. Czemu pytasz?

– Słyszałem nocą drapanie w ścianach.

– Sąsiad jest rzeźbiarzem, może coś dłubie po nocach – odparła po chwili namysłu.

Reinhard zgasił lampę i podniósł się z krzesła. Nieśpiesznie podszedł do łóżka, by zaraz ułożyć się u boku żony, a ta z niemrawym uśmiechem przylgnęła do jego ramienia. Choć jej dłonie były zniszczone, ich delikatny dotyk wciąż potrafił ukoić. Nie minęła nawet chwila, gdy zmęczona usnęła, odpływając w marzenia senne, daleko od głodującego i wykrwawiającego się Cesarstwa Niemieckiego. Prusak łypnął w ciemnościach na stolik z medalami i stertą listów. Przyciągały go, jakby nie dokończył religijnego rytuału.

W końcu przeniósł spojrzenie na sufit, starając się wyrzucić natręctwo z głowy. Zamknął oczy, palcami wodząc po włosach Anny. Ordery dalej czaiły się w jego umyśle, rysowane wyobraźnią. Krzyż Żelazny II klasy, ileż nosił w sobie dumy, gdy go nim odznaczono za lojalność i odwagę na polu walki. Gdzieś za jego kształtem mignęły mu opalowe ślepia bestii, czającej się w mroku. Wielki Czarny Szczur na szczycie dymnej ściany przyglądał mu się z wyczekiwaniem. Górował nad wszystkim, co znane. Nawet otaczająca go ciemność w jakiś nielogiczny sposób zdawała się być zupełnie przytłoczona obecnością wojennego totemu.

Poruszył niespokojnie głową, otwierając oczy. Niebawem jego wzrok przywykł do mroku, dostrzegł zarys mebli i wystrój sypialni. Cichy oddech śpiącej żony rozbijał się o szyję. Reinhard odczuwał frustrację. Nawet tak daleko od frontu nie mógł się uwolnić od widoku bestii. Odbierała mu sen. Stale nawoływała obrazami, wspomnieniami i przedmiotami, aby wrócił i broczył po kolana w błocie z innymi straceńcami. Wzywała do walki na bagnety oraz

śnienie w ciasnych, ziemnych jamach, do niekończącego się oglądania trupów, tworzenia stosów kolejnych i spoglądanie na szare twarze tych, którzy za parę chwil mieli się nimi stać.

W pogrążonym we śnie Berlinie zaczął padać deszcz, leniwie i uporczywie stukając o okno sypialni. Oddech Anny zwolnił jeszcze bardziej, gdy niemrawo powierciła się w swoim śnie. Reinhard spróbował zmienić pozycję. Nie mógł tego uczynić bez budzenia żony, więc zrezygnował i ponownie zamknął oczy. Myślał o dzieciach. Ruth i Rolf przynosili milsze wspomnienia, nawet pozwalające na moment oderwać się myślami od okopów i ziemi niczyjej. Ciosające szkło krople wprawiały go stopniowo w senną mantrę. Nadchodziła cisza, błogi spokój, oddech przed sztormem. Ten eksplodował z opóźnionym zapłonem.

Nadeszło skrobanie w ścianach. Początkowo ciche, które po chwili umilkło, by już po paru kolejnych rozbrzmieć ponownie. Natarczywie wdzierało się do usypiającego umysłu. Momentem przełamania okazał się pojedynczy pisk gryzonia, całkiem odbierający chęć na sen. Dźwięki zupełnie zdusiły spokój. Zawładnęły zmysłami i zdradziecko kąsały, sprawiając, że Reinhard kulił się w sobie, nasłuchując z daremną nadzieją, że ucichną na zawsze. Miał wrażenie, że któreś ze sprytnych stworzeń jest już pod pierzyną i zaraz go ukąsi. Sprawdził po omacku, nic. Frustracja wzrastała, wtulił jedno ucho w poduszkę, drugie zakrył dłonią. Anna smacznie spała.

Wstał z łóżka, umysł podpowiadał mu, że zaraz nadepnie na któregoś z gryzoni. Dźwięków drapania były dziesiątki, jakby cała gromada żyła od wieków w ścianach kamienicy. Rozejrzał się,

podszedł do ściany i ukucnął, po omacku szukając wyrw, z których gryzonie mogłyby buszować po sypialni.

– Reinhard, gdzie idziesz? – usłyszał za plecami zaspany głos Anny.

– Śpij – odpowiedział krótko.

– Co się dzieje? – zapytała.

– To te szczury harcują, nie słyszysz?

***

Prusak ponownie przesiadywał na zimnych schodach kamienicy. Po twarzy spłynęła pojedyncza kropla potu, wyraz fizycznego zmęczenia. To psychiczne było jednak znacznie gorsze. Zerkał na boki, ciągle nasłuchując, lecz gdy opuścił teren mieszkania, drapanie i piski momentalnie ucichły. Potarł skronie, przymykając żądne snu oczy. Serce biło gwałtownie, krew pulsowała w żyłach. Poprawiał włosy, drapał się po szyi, męczony natręctwami i frustracją. Docierało do niego, że zaczyna świrować, a przecież doskonale wiedział, co słyszał w ciemnościach sypialni. Czarny Szczur zawładnął jego domem, mimo że wojenny totem znajdował się setki kilometrów od głodującego Berlina.

– Reinhard? – Anna, wyraźnie zmęczona i senna, przysiadła się do niego w swojej białej halce. – Wszystko w porządku?

Milczał, jedynie krótko zerkając w jej stronę. Nie wiedział, co jej odpowiedzieć, nawet jak zacząć. Pogładziła ramię męża, które do niedawna zdobił jeszcze bandaż po ciosie bagnetem. Zamknął oczy, spiął się na dotyk, a jakiś nieokreślony gniew wezbrał wewnątrz. Odetchnął głębiej parę razy, próbując zebrać myśli. Głowa wrzała,

rozdarta pomiędzy omenem z ziemi niczyjej a niepewnym spojrzeniem Anny.

– Co się dzieje? – zapytała ciszej. – Martwię się.

– Szczury – odpowiedział z obrzydzeniem. – Słyszę je w ścianach, jak wydrapują w nich tunele. Ich piski i wezwania do totemu z ziemi niczyjej.

– Reinhardzie, my nie mamy w domu szczurów. Odkąd się tu wprowadziliśmy ani jednego – wyjaśniła spokojnie, a następnie pokręciła głową w zastanowieniu. – O jakim totemie mówisz?

– Spoglądał na nas z dymnej ściany po ostrzale artyleryjskim. Karmi się poległymi, których pochłonęło błoto w jego królestwie. Wielki Czarny Szczur, który łbem nieba sięga i zasłania horyzont.

Tym razem to ona zamilkła. Wpatrywała się w męża zaskoczona jego słowami, z trudem ukrywając zmieszanie. W listach nigdy nie pisał o żadnym wojennym totemie, a jeśli wspominał o szczurach, to tyle, że pełno ich w okopach. Zawsze było ich pełno, odkąd obie armie wryły się w grunt.

– Wierzysz mi, Anno? – zapytał niepewnie.

– Oczywiście – skłamała. – Chodźmy do domu.

Podniosła się ze swojego miejsca, pociągając męża za rękę. On z zawahaniem spojrzał w stronę drzwi, nie chciał tam wracać. Anna była jednak nieugięta i wkrótce oboje znaleźli się ponownie wewnątrz ciemnego mieszkania. Reinhard już od progu nasłuchiwał, jednak nie docierał do niego żaden dźwięk prócz deszczu dudniącego o dach i okna. Przetarł czoło, przynajmniej częściowo uspokojony. Obawiał się zamknąć oczy, aby znów nie ujrzeć wpatrzonych w niego opalowych ślepi. Żona wiodła go dalej ku sypialni, po cichu, aby nie obudzić dzieci.

– Widzisz? Nie ma żadnych szczurów – stwierdziła.

Nic nie odpowiedział. Czuł na sobie spojrzenia dziesiątek paciorkowatych ślepek, gdzieś z kątów, spod mebli i szczelin. Milczały, jakby wyczekując. Ciężko wypuścił powietrze przez nos, gdy przekroczył próg sypialni. Anna ucałowała jego usta i pogładziła policzki. Zdenerwowanie Reinharda nie uszło jej uwadze. Słyszała wiele od innych kobiet o przypadłościach ich mężów, którym udało się wrócić do ojczyzny. Wiedziała, że czeka ją jeszcze niejedna taka pobudka.

– Wszystko w porządku, najdroższy – szeptała, po czym usiadła na łóżku. – Połóż się, rano opowiesz mi wszystko.

W milczeniu podszedł do łóżka i gdy tylko miał dołączyć do ukochanej żony, zastygł w bezruchu. Dźwięk drapania ponownie trafił do jego uszu. Delikatny, niczym zapowiedź katastrofy, kolejnego już oddechu przed burzą. Obrócił gwałtownie głowę w stronę, skąd dobiegał odgłos. Ten nasilił się momentalnie, jakby gryzonie dostały istnego szału. Nie bacząc na żonę, cofnął się i podszedł do ściany, przy której prędko klęknął, po czym starannie obmacał. Wtedy też hałas dobiegł z przeciwległego kierunku, a potem z prawej, wyjścia do jadalni. Wzrok Reinharda wędrował wokół w przestrachu i gniewie. Poderwał się na równe nogi.

– Reinhard – zawołała Anna.

Prusak jednak kompletnie zignorował jej głos. Przebiegł przez pomieszczenie, chwycił stolik z medalami oraz listami i przewrócił go z hukiem na podłogę. Obmacał kolejną ścianę, szukając szczelin. W amoku zakrył uszy, potrząsnął głową. Harce jednak nie ustawały, wręcz przeciwnie – wrzały, jakby gryzonie opanowały całą kamienicę od fundamentów po dach.

– Reinhard, przestań!

Anna podeszła do męża i położyła dłoń na jego barku. Reinhard w amoku odtrącił kobietę tak, że ta mało nie upadła. Ponownie spróbowała go chwycić, błagalnym głosem starając się doprowadzić go do porządku. On jeszcze raz odtrącił jej rękę, a gdy nie chciała dać za wygraną, chwycił jej szyję. Gniew i agresja na jego twarzy nie różniły się niczym od tego, gdy toczył walkę na śmierć i życie w okopach. Szaleństwo w akompaniamencie szczurzych harców. Zaciskał palce na miękkiej skórze, dysząc. Anna próbowała walczyć, odepchnąć męża od siebie, ale na darmo. Z każdą chwilą słabła jeszcze bardziej.

Niknąca w ciemności twarz kobiety stała się już dla niego zupełnie obca. Bezimienna skóra, mięśnie i kości, które uśmiercał całkiem mechanicznie, wręcz odruchowo, jak każdego innego, kto stanął mu na drodze. W wypełnionych agresją oczach nie różniła się niczym od szarych twarzy żołnierzy wroga, których posyłał na tamten świat. Podszepty totemu z dymnej ściany i jego harcujące sługi potęgowały to odczucie w jego umyśle. Był pełen strachu i zimnej determinacji, co towarzyszyło mu również przed licznymi szturmami czy obroną.

Krzyczał wściekle, ale Anna nie była w stanie już niczego zrozumieć. Panicznie próbowała się uwolnić, ciemniało jej przed oczami i brakowało tchu. Żelazne dłonie zacisnęły się tak mocno, jakby miał w zamiarze całkiem zmiażdżyć delikatną krtań. W końcu siły zupełnie opuściły kobietę. Oddała ostatni dech, padając bezwładnie na podłogę. Reinhard stał nad nią jak oszalała bestia wśród popiskiwań gryzoni. Podniósł wzrok na drzwi do ich wspólnej sypialni.

– Tato?
Obudzone rodzeństwo stało w progu.

ROZDZIAŁ XV

Teraz i dla niego Bóg był martwy, podobnie jak dla wielu, z którymi dzielił los. Sepp nie spał po nocach, jedynie za dnia mógł zmrużyć oczy. Szczurze harce powtarzały się cyklicznie, za każdym razem w coraz obszerniejszym wymiarze. Z utęsknieniem wyczekiwał poranka, licząc mijające godziny, zaszyty możliwie najdalej od tego szalejącego rumoru. Był jednym z ostatnich, którego sytuacja napawała trwogą, pozostałym stała się wojenną kołyską i opoką. Mimo tego sumiennie wykonywał polecenia. Dyscyplina na stałe połączyła się z rdzeniem jego duszy, a karabin został najbliższym przyjacielem. Jawił się w tym jakiś tragiczny fatalizm, zwłaszcza gdy młodzieniec unosił wzrok na wojenny totem i starał się oprzeć jego podszeptom.

– Sepp! – Dogonił go jeden z sierżantów i klepnął w ramię, dając znak, aby ten się zatrzymał. – Nie słyszysz, jak się do ciebie woła?!

– Przepraszam, panie sierżancie. – Stanął na baczność i zasalutował. – Brak snu daje się we znaki.

– Mniejsza, nie mam czasu. – Skrzyżował dłonie za plecami, oglądając Josefa od stóp do głów. – Porucznik kazał cię wezwać do grupy egzekucyjnej. Idź do Craonne.

– Grupy egzekucyjnej? – zdziwił się, po czym zapytał beznamiętnie: – Mają mnie rozstrzelać?

– Gdyby mieli cię rozstrzelać, to bym cię tam sam zaciągnął. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Ruszaj się.

Po wymianie salutów skierował kroki w stronę najbliższej transzei, łączącej pierwszą linię okopów z drugą. Choć pozbył się już tyczki, ciągle kuśtykał, co zapowiadało, że postrzał jeszcze długo będzie dawał o sobie znać. Być może do końca. Ze stahlhelmu kapały krople deszczówki, ramiona chronił pod zwędzoną gdzieś śliską, dziurawą płachtą. Przywykł do warunków, w których stale trzeba kombinować, aby przeżyć.

Nie wiedział, czego spodziewać się na miejscu. Opowiadano mu już o dezercjach, ale nie spodziewał się ich w tym oddziale. Tutaj wszyscy mimo śmierci, brei i wiecznego niedostatku zapatrzeni byli w porucznika i Czarnego Szczura na szczycie dymnej ściany. Wierzyli w zwycięstwo. Trud, który przyszło im znosić, brali na swoje barki jak nigdy przedtem. Teraz okopy były ich domem, bezpiecznym schronieniem pod czujnym spojrzeniem opalowych ślepi.

– Raz, dwa, wielka wojna trwa.

– Trzy, cztery, bagnety na mausery.

– Pięć, sześć, szczurze harce nieść.

– Siedem, osiem, krwią nasiąka kłosie.

– Dziewięć, dziesięć…

Usłyszał żarliwie mamrotanie w transzei. Zaczął szukać źródła dźwięków i dostrzegł dwójkę żołnierzy ciasno dociskających plecy do ściany. Obejmowali podkulone nogi, szepcząc tę wyliczankę pomiędzy sobą, a ich twarze zasłaniały maski przeciwgazowe, częściowo tłumiąc dźwięk. Drżeli, najwyraźniej wciąż tkwiąc w jakimś niewysłowionym lęku. Skryci przed światem, dodawali sobie otuchy w ten dziwny sposób. Zdawali się nie zauważyć Seppa, jakby wewnętrznie odcięli się od otaczającej ich zgrozy.

– Co z wami? – zapytał, przerywając im dalsze mamrotanie. – Nie było alarmu do ataku gazowego.

Zapanowała cisza. Jedynie szkła masek zwróciły się w stronę Josefa, odbijając niemrawe światło. Wbili w niego spojrzenia, jakby był przybyszem z kompletnie obcego świata. Niebo zagrzmiało, przyszła burza. Na ten dźwięk żołnierze poderwali głowy, wypatrując czegoś na ciemnym horyzoncie. Sepp obserwował badawczo ich reakcje. Wiedział, czego szukają. Dźwięk burzy nie tak mocno różnił się od ognia artylerii. Mausery w pogotowiu, jak zwierzęta zapędzone w róg klatki. Teraz jedynie deszcz ich otulał, zlęknionych i straconych.

– Nie atakują – rzekł do nich Sepp. – Ile macie lat?

Ponownie odpowiedziała mu jedynie cisza i bezmyślne spojrzenia szkieł masek przeciwgazowych. Nie byli tu zbyt długo, o czym mogły świadczyć mundury i broń jeszcze w dobrym stanie. Zapewne przybyli z drugim rzutem żółtodziobów, a może nawet wraz z Josefem. Zawiesił się chwilę nad ich widokiem; zdawali się oglądać go jak obraz z sennej matni, nie rzeczywistości. Wtedy do niego dotarło, że obaj prawdopodobnie nie zdjęli masek od ostatniego szturmu, a przecież minęło już parę dni. Pozostali duchem w tamtej chwili, gdy do cesarskich okopów wdarły się obłoki gazu i francuskie bagnety.

Wstał i nie pytając już o nic więcej, zwyczajnie ruszył w dalszą drogę. Wiedział, że nie ma już dla nich ratunku. Stali się upiorami ostatniej bitwy, gdy przeciążony układ nerwowy pękł i rozsypał się w drobne kawałki jak potłuczone szkło. Nie do sklejenia, zwyczajnie straceni, martwi w połowie albo i całkiem. Uwięzieni w przeszłości.

***

– Pójdziesz z nami.

– Za co?

– Podżeganie do buntu, demoralizacja żołnierzy i osłabianie morale.

– Kto wydał rozkaz?

– Pan porucznik Wilhelm Strauss.

– Raczej bestia na szczycie czarnej ściany.

– Dość tego, wstawaj, starcze.

Brat Sigmund spoczywał tyłem do drzwi i przemawiającego żołnierza. Zajmował jeden z ostatnich, częściowo ocalałych budynków we wsi Craonne, gdzie urządził swoją kwaterę. Siedział przy przypalonym biurku nad książką Romana von Hermanna Lönsa o tytule „Wilkołak", w której namiętnie się zaczytywał, tak jak w wielu innych dziełach sztuki regionalnej. Dbale odłożył lekturę na blat i podniósł się ze swojego miejsca. Spojrzenie spod kaptura klasztornego habitu powiodło do sierżanta i dwójki towarzyszących mu szturmowców, którzy po niego przyszli. Widział w ich obliczach znak wojennego totemu, jakby mistyczną narośl w ich oczach. Chwycił laskę, o którą zwykł się opierać podczas chodzenia. Podłoga zaskrzypiała pod butami.

– Zawładnął wami po szpik kości, nie wrócicie żywi do domu – stwierdził twardo, ruszając powolnym krokiem w ich stronę.

– Ty z całą pewnością, bracie Sigmundzie.

Wyszli na zewnątrz, mżawka ponownie zaczęła rozbijać się o stahlhelmy i mniszy kaptur. Zagrzmiało, a błyskawica przeszyła krajobraz gdzieś za szczurzą potęgą na horyzoncie. Żołnierze

przybrali formacje, aby doprowadzić więźnia na miejsce. Jeden z tyłu, dwóch po bokach. Brat Sigmund szedł spokojnie i nie protestował. Jego aura napawała szturmowców niepokojem, mimo że kiedyś dodawała im odwagi i wyciszała zmysły podczas kazań, gdy zakonnik wizytował batalion. Buty brodziły w błocie. Zmierzali w kierunku dawnego rynku.

Na miejscu był już Wilhelm. Siedział na jednym z wielkich kamieni, pozornie na uboczu od tego, co miało tu zajść. Towarzyszące mu szczurzysko zdawało się być ucieszone nadejściem grupy, jakby w pełni świadome tego, w jakim celu ją wysłano i kogo przyprowadzili. Pupil dawał temu wyraz w groteskowym i żywiołowym tańcu na kolanach oficera. Porucznik jedynie nasłuchiwał zbliżających się kroków, a kolejne kręgi zataczane przez szczurzy ogon uświadamiały go, że szturmowcy z mnichem są już blisko.

Sigmund na polecenie żołnierza zatrzymał się na środku małego placu. Dłonie splótł na brunatnym habicie. Z grupy egzekucyjnej zjawiły się dopiero dwie osoby. Nie było mowy o ludziach specjalnie przeznaczonych do tego zadania; oddelegowywano zdrowych, silnych i wolnych z różnych części okopów, na prędko kompletując skład drużyny.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś, bracie Sigmundzie? – zapytał porucznik.

– Podżeganie do buntu, demoralizacja żołnierzy i osłabianie morale – odpowiedział chropowato. – Choć to nieprawda, poruczniku.

– To będzie widniało w papierach. – Wilhelm pokiwał niemrawo głową, a szczur z piskiem wspiął się na jego ramię, poruszony czymś.

– Wiesz, dlaczego naprawdę tu jesteś?

– Oświeć mnie.

– Rozmawiałeś z majorem.

Sigmund uniósł wzrok na czarny horyzont i z nienawiścią, bezsłownie przeklął bestię na szczycie dymnego muru, która odnalazła go po tylu latach. Jej opalowe ślepia oglądały całą scenę jak spektakl w teatrze kukiełek, niewzruszone gniewem duchownego. Do grupy egzekucyjnej dołączył kolejny śmiałek. Wszyscy przysłuchiwali się rozmowie; doszło do ponownego spotkania dwóch symboli batalionu, z czego jeden z nich miał zgasnąć już na zawsze.

– To jedyny sposób, poruczniku – padła beznamiętna odpowiedź.

– Szturm?

– Tak. Zdobycie francuskich pozycji uśmierci bestię, którą co dzień oglądamy. Nie ma przeciw złu innej drogi, niż mu się przeciwstawić, twarzą w twarz – wyjaśnił spokojnie.

– Major Matthias przystał na twoją prośbę. – Wilhelm uniósł głowę ku niebu, pozwalając, aby mżawka ochłodziła jego twarz. – Ale to nic nie da. Wielki Czarny Szczur jest wieczny, ponad nami, ponad tym wszystkim. Był tu zawsze.

– Oddajesz cześć potworności, która pożera naszych poległych braci, poruczniku.

Szczur ponownie zbiegł na kolano, a Wilhelm przejechał wierzchem dłoni po ciemnym, mokrym futrze. Gryzoń uniósł się na tylnych łapkach i zapiszczał, zaraz zataczając krąg wokół własnej osi. Łysy ogon zawirował jak bicz. Porucznik zdawał się słuchać zwierzęcia, czytać z jego ruchów i zachowania, jakby prowadzili

dialog bez użycia słów. To zjawisko stało się dla żołnierzy tak naturalne, że wręcz oczywiste. Ich przywódca ramię w ramię z posłańcem wojennego totemu.

– Ja też zabiegałem o szturm – stwierdził nagle Wilhelm, uśmiechając się krótko pod nosem. – Widocznie masz większy posłuch u majora niż ja.

– Jeśli i ty jesteś za atakiem, skąd ta decyzja o mojej egzekucji?

– Znasz powód, bracie Sigmundzie. – Spojrzał na zakonnika. – Pożera poległych braci. Będziesz naszym darem dla niego.

Sigmund nie odczuwał strachu przed śmiercią. Wiele razy w swoim życiu zdążył się jej naoglądać. Nieobce było mu cierpienie wszelkiego rodzaju i obrazy tak potworne, że umysł nie jest w stanie zapomnieć. Widział ciała bez głów oraz głowy bez ciał. Słuchał krzyków na granicy bólu, u progu żywota. Przemierzał francuską ziemię, by sypiać w błocie, pod gołym niebem. Jedyne, czego żałował, to faktu, że zginie zamordowany przez własnych pobratymców. Na dodatek w imię przeklętego bożka o opalowych ślepiach.

– Dlaczego ja? Mało pożarł już ofiar?

– Nigdy nie jest mu mało – odparł Wilhelm, po czym przekręcił głowę, by baczniej przyjrzeć się twarzy skazańca. – A ciebie ostatnim razem nie dostał.

– Nie dostał? – zdziwił się zakonnik.

– Wtedy.

– Skąd o tym wiesz, Wilhelmie? – zapytał po chwili milczenia, przymykając oczy, by powrócić wspomnieniami do tamtych dni. – O Froeschwiller.

– On pamięta – stwierdził z naciskiem. – I pewien żołnierz, któremu jadaczka się nie zamykała.

***

Sepp parł naprzód wśród zniszczonych domostw wsi Craonne. Potrzebował złapać oddech, a jednak nie zatrzymywał się na zbyt długo. Przed mijanymi towarzyszami broni nie dawał tego po sobie poznać, ale marsz przez trzy rzędy okopów był wyczerpujący, a obolała noga tym bardziej dawała o sobie znać. Wszechobecny Czarny Szczur spoglądał na niego gdzieś za plecami młodzieńca. Nawet poza okopami nie mógł uciec od podszeptów, które namawiały go do dalszego marszu. Odpędzał je wspomnieniem zmarłego Ingo, którego front powiódł do szaleństwa. Pomyślał również o Reinhardzie. Prusakowi wojenny totem darował podróż do domu; wiele dałby, aby Wujaszek został na miejscu. Sepp czuł się osamotniony, był zdany wyłącznie na własne siły w batalionie czczącym szczurzego bożka.

W jednym z mijanych budynków mieszkała zapewne niegdyś duża rodzina, pomyślał, lecz gdy o wieś upomniał się front, nie ocalał nawet ganek. Gdzieś za gruzowiskiem tkwiły powykrzywiane paliki, po których musiały rosnąć winorośle. Teraz służyły jedynie jako uzupełnienie pogorzeliska. Na horyzoncie, zza kurtyny gęstej mżawki ujawnił się dobrze mu znany młyn. Wspomnienie tego miejsca uderzyło momentalnie. Biedne dziecię i jej zmarły obrońca. Nawet nie wiedział, gdzie ją pochowano. Twarz zaszła posępnością, aż prawie zapomniał w jakim celu tutaj przybył.

W zamyśleniu wszedł na rynek i dopiero widok zebranych nakazał mu powrócić do rzeczywistości. Czwórka żołnierzy tworzyła

grupę egzekucyjną, a on miał być jej piątym elementem. Kolejna trójka pilnowała brata Sigmunda. Zawiesił spojrzenie zapadniętych oczu na zakonniku. Pamiętał słowa o jego własnej wojennej gorączce, natomiast samego mężczyznę jak przez mgłę. Nie spodziewał się nawet, że go tu zastanie, pewien, iż duchowny opuścił front. Seppowi zmroziło krew w żyłach, gdy uświadomił sobie, że to duchowny miał być rozstrzelany. Nawet nie musiał pytać o powód. Odwrócił więc wzrok i podszedł do pozostałych.

– Jesteś Sepp, nareszcie – odezwał się Wilhelm.

– Melduję się na rozkaz, panie poruczniku! – odparł.

– Byśmy tu zapuścili korzenie. Nie wiesz, co to ruchy? – zagadnął sierżant, ale machnął jedynie ręką, gdy młodzieniec miał się wytłumaczyć.

Bratu Sigmundowi nakazano stanąć pod jedną z ocalałych ścian. Jej szarzyzna i mech tworzyły wraz z zakonnikiem wyjątkowo ponury widok. Dwójka szturmowców pilnowała więźnia, choć nie było to konieczne. Sierżant maszerował za plecami piątki egzekutorów, którzy wyprostowani i jednocześnie nieruchomi, trzymali swoje mausery przy biodrach. Porucznik przyglądał się bacznie scenie, a jego pupil przeskakiwał po mundurze w żywiołowym tańcu, może nawet triumfalnym.

– Bracie Sigmundzie Holz, za podżeganie do buntu, demoralizację i osłabianie morale, zostaje brat skazany na śmierć przez rozstrzelanie – rzekł donośnie sierżant, gdy zatrzymał się u boku grupy egzekucyjnej. – Z racji wpływu, jaki miał brat na batalion, pozostaje bratu prawo do ostatniego słowa. Czy przyjmuje brat możliwość skorzystania z tego prawa?

Więzień uniósł wolną rękę i zrzucił z głowy szpiczasty kaptur habitu. Wzrok przebiegł po grupie egzekucyjnej, sierżancie i poruczniku. Wracając, zatrzymał się na Seppie, nieprzerwanie spokojny, jakby wręcz niewzruszony. Oddech w jego klatce piersiowej zdawał się zwolnić jeszcze bardziej. Czytał z twarzy szturmowców skleconych w grupę katów. Od razu potrafił rozpoznać, kto przystąpił do mrocznego kultu; ich lica były niemalże zupełnie pozbawione człowieczeństwa, jakby wyzuto je z wszelkiej emocji i przekuto na kształt wojennych upiorów.

Jedynie na zmęczonej twarzy Seppa malował się żal, mimo że stał tu, gotowy popełnić czyn, który mu nakazano. Sigmund skupił uwagę już tylko na młodzieńcu, pragnąc przed śmiercią widzieć człowieka, a nie bestie stworzone przez wojnę. Uchylił popękane, sine wargi i zaintonował melodię „Heil dir im Siegerkranz", wcześniej hymnu Prus, a teraz Cesarstwa Niemieckiego. Te tony miały być jego ostatnimi słowami. Kierował je do Josefa jako wspomnienie życia poza frontem, świętości ponad Czarnego Szczura.

Żołnierze spojrzeli po sobie zaskoczeni. Ich pytający wzrok padł na sierżanta, który zastygł w bezruchu, poruszony gestem Sigmunda. Seppa zakuło w sercu, a umysł przywiódł wspomnienie domu. Melodię ostatni raz słyszał przed wyjazdem na front. W pewnej chwili porucznik zsunął się z kamienia i idąc w stronę grupy, dołączył do intonacji hymnu.

Zapanowało częściowe zmieszanie i niepewność, które jednak nie trwało długo. Kolejno za Wilhelmem włączył się sierżant, a następnie każdy ze zgromadzonych, jeden po drugim. Melodia rozbrzmiała pośród zgliszczy wsi Craonne, choć żaden z nich nie

odważył się wprowadzić do niej słów. Mieli je w swoich umysłach, powtarzane jak najświętsze litanie ku czci ojczyzny i Kaisera, z błotem u stóp i mżawką nad głowami, wpatrzeni przed siebie. Tę niecodzienną scenę obserwowało szczurzysko na ramieniu porucznika, niemrawo poruszając wąsami. Nagle melodia z ust brata Sigmunda ucichła, osłabły też głosy żołnierzy. Nastała cisza.

Przerwał ją głos sierżanta, choć już nie tak pewny.

– Przygotować się do strzału.

Porucznik z pupilem odeszli z powrotem na swoje miejsce. Żołnierze podnieśli broń, dociskając kolby do barków. Zakonnik uniósł podbródek i splótł palce na habicie, nie odrywając teraz wzroku od pochmurnego nieba. Nie zmawiał modlitwy, nie prosił Zbawcy o ocalenie. Twarz nie zmieniła swojego wyrazu, pozostawała spokojna. Znów zapadła głęboka cisza, nawet mżawka zdawała się zelżeć. Nieruchome postacie wyczekujące komendy. Mierzyli do zakonnika, który niegdyś był ich opoką, ścianą wiary chroniącą przed rozpętanym w Europie piekłem. Zastąpił go Czarny Szczur, jemu mieli darować ofiarę z konkurenta.

W oczach katów nie było żalu, jawiła się za to twarda, nieludzka determinacja. Spokojne oddechy, wyczekiwanie na sygnał od oficera. Josef w pełni przypomniał sobie brata Sigmunda, dopiero gdy miał go na muszce mausera. Dłonie przestały drżeć, jedynie kostniejące z zimna palce mocniej ścisnęły karabin. Pośród ruin, z unoszącym się zapachem wilgoci, każda sekunda zdawała się trwać wieczność. Zmurszała ściana, pod którą stał duchowny, była niegdyś twierdzą czyjejś rodziny, gdzie żyły pokolenia. Dziś, przyozdobiona dziurami po kulach stała się ołtarzem ku czci śmierci.

Rynek okazał się tym samym miejscem, od którego Sepp rozpoczął swoją podróż w odmęty wojny. Jeszcze nie tak dawno stał na nim w znacznie bardziej rzęsistym deszczu, w szeregu, jako nieopierzony rekrut. Już nawet nie pamiętał, czy wówczas źle przedstawił się ze zdenerwowania czy zwyczajnie własnej głupoty. Teraz, w tym samym miejscu gdzie zlękniony prostował się jak struna przed oficerem, miał rozstrzelać człowieka. Morderstwo – to pierwsze albo któreś z kolei – w myśli innych lub we własnej słuszne czy też karygodne, zawsze stanowi pakt z mocami, które jednocześnie chronią i wpędzają w bezsenność.

– Ognia!

Padła komenda, a wraz z nią strzały. Ciało przeszyte kulami osunęło się na błotnistą ziemię. Pociągnięcia za spusty i szarpnięcia kolb, które zakończyły kolejny żywot w czasach apokalipsy. Nie było wyrzutów sumienia, nikt się nie zawahał, nikomu nie drgnęła ręka. Ku czci wojennego totemu zabili swoją legendę i tarczę. W umysłach wciąż rozbrzmiewała melodia hymnu, choć teraz niczym pożegnalny marsz. Jedynie kula Seppa utkwiła w ścianie; chybił, ale sam już nie wiedział, celowo czy z przypadku.

***

Zabrali ciało rozstrzelanego zakonnika zaraz po egzekucji. Większość żołnierzy zdążyła się rozejść. Na rynku Craonne pozostał Wilhelm, który niczym w dziwnym rytuale zataczał wojskowym nożem kręgi wokół towarzyszącego mu gryzonia. Zwierzę uniosło się na tylnych łapkach, raz za razem poruszając długimi wąsami, a paciorkowate ślepka bacznie usadowiły się na surowym obliczu

ludzkiego kompana. Porucznik zaczął mówić, zniżając stopniowo ton głosu aż do szeptu.

– Wiem, przyjacielu, musimy – zaczął. – Dobrze, że udało mu się namówić majora. Bez jego rozkazu nie możemy atakować. Sięgniemy po nich stalową ręką Cesarstwa Niemieckiego. Przełamiemy front, odciążymy Verdun. Z twoją pomocą przejdziemy przez ciemną ścianę u tronu Czarnego Szczura. Ochroni nas przed ogniem dział, bagnetami i błotem.

Sepp podniósł z błota łuskę po naboju, który wystrzelił, i chwilę obracając ją w palcach, skrył pamiątkę w odmętach munduru. Do uszu ledwie docierały szepty i niewiele był w stanie z nich zrozumieć. Jednak sam widok oficera rozmawiającego ze szczurem wydawał się dość osobliwy. W otoczeniu mżawki i ciemnych chmur wyglądali tak, jakby kryli się przed obecnością Stwórcy, knując spiski i plany obalenia jego monolitów. Stalowe oczy, stalowy hełm i paciorkowate ślepia jak jedno w ciemnej dolinie wojny.

– Panie poruczniku – odezwał się młodzieniec.

– Podejdź, Sepp – odpowiedział Wilhelm, wciąż skupiony na gryzoniu.

– Żołnierze wspominali o szturmie, to prawda? – zapytał, przystając nieopodal oficera.

– Tak, jutro o piątej.

Sepp przyglądał się gryzoniowi. Ten żywiołowo zataczał kolejne kręgi, aż w końcu zeskoczył z kolana Wilhelma, by wznieść łeb ku potworności na szczycie czarnej ściany. Zapiszczał, wzywając lub oddając w ten sposób hołd obliczu wojennego totemu. Dźwięk ten był przeszywający. Mimo że pojedynczy, Sepp podświadomie

wyczekiwał, aż odezwą się dziesiątki i setki szczurów skrytych w głębinach okopów, jam i wyrw.

– Pada deszcz, będziemy atakować w błocie – zauważył Josef, ale bez przekonania.

– Ochroni nas Wielki Czarny Szczur. Pozwoli przejść przez ziemię niczyją, przejąć i utrzymać francuskie okopy – odparł spokojnie Wilhelm, również podążając wzrokiem za gryzoniem. – Widzisz? Wzywa go, opowiada o tym, czego mamy dokonać.

– Nie obawia się pan porucznik, że pochłonie nas błoto? Że staniemy się ofiarami, które pożre tak jak Ingo?

– Gorzej niż pod Verdun już nie będzie – mruknął po chwili milczenia.

Kolejny pisk szczura rozniósł się pomiędzy ruinami zniszczej wsi. Tym razem odpowiedziały mu kolejne piski dobywające się z nor, fragmentów ścian i opustoszałych budynków. Wszechobecne, skryte przed ludzkimi oczami. Wychodziły jedynie o zmroku, a jednak ciągle zaznaczały swoją obecność. Sepp zacisnął zęby, spuszczając głowę. Porucznik uśmiechnął się pod nosem.

– Nie chciałeś wracać do rodziny, Sepp – zaczął Wilhelm. – Dlaczego?

– Sam nie wiem. – Pokręcił głową. – Nie po to uciekłem z marazmu i tułaczki, by do niej wracać. Może lojalność. Nie spodziewałem się jednak, że trafię w takie szaleństwo.

– Wojna tworzy więzy potężniejsze nawet od więzów rodzinnych.

– I równie prędko je łamie – zauważył. – Pan poruczniku nie pisze do swojej rodziny?

– Nie, mój dom jest tutaj.

– Pańska rodzina w Niemczech nie tęskni?

– Tego nie wiem.

Wilhelm nie pisał do żony, a w zasadzie to nie pamiętał, kiedy ostatni raz ją widział. Co prawda otrzymywał jakieś listy, ale wyglądało na to, że nawet ich nie czytał. Całkiem poświęcił się tej wojnie. Nie chciał opuszczać okopów, batalion był teraz jego rodziną.

– Jeśli wyjdziemy z tego żywi, niech pan wybierze się na suitę o Peerze Gryncie – rzekł Sepp po chwili zadumy, wpatrując się w błotnisty grunt.

– Słyszałem, że jesteś znawcą sztuki – odpowiedział raczej kpiąco.

– Jak pan wytrzymał tu tak długo?

– W pewnej chwili zwyczajnie przestaje się odliczać dni. – Spojrzał w stronę nawołującego gryzonia – Mówisz, że Czarny Szczur to szaleństwo, że w nie popadliśmy. Rzecz w tym, że gdy przekroczyliśmy granice Cesarstwa, ta burza już trwała, a my trafiliśmy w jej środek. Bestia, której tak się boisz, zawsze tu była, niewidoczna dla oczu. Wpatruje się w nas, odkąd przeryliśmy ziemię okopami, a może i jeszcze wcześniej. To nie ma znaczenia.

– A co ma, panie poruczniku? – Sepp uniósł spojrzenie.

– Reinhard nie żyje.

***

Wraz z nastaniem zmierzchu niemiecka artyleria otworzyła ogień. Świst pocisków przeszył ciemny nieboskłon w poszukiwaniu ofiar u podnóża czarnej ściany. Szturmowcy zdecydowali się na całonocny ostrzał francuskich pozycji, aby odebrać przeciwnikowi sen oraz zniszczyć jego umocnienia przed porannym szturmem. Już

wkrótce ziemia niczyja zapaliła się pożogą, tworząc chaotyczne łuny wśród ciskanego w powietrze błota.

Straceńcy oglądali ten widok, inni spali po deszczowym dniu. Tej nocy szczury nie harcowały. Ku zaskoczeniu ogółu żaden z gryzoni nie wychylił się ze swojej kryjówki. Nikt nie rozmawiał, zabrakło nawet psioczenia. Obawiali się wybudzać mniejszych obywateli okopów. Umysły żołnierzy wznosiły modły ku bestii na szczycie czarnej ściany. Front ponuro milczał, a ciszę tę przerywały jedynie kolejne, wściekłe salwy dział, jakby przed burzą, która o poranku miała się rozpocząć.

ROZDZIAŁ XVI

Światło lampy rozjaśniło część ciasnego pomieszczenia. Panował nieprzyjemny zaduch, a jednocześnie od murowanych ścian od razu wdzierał się w nozdrza zapach wilgoci. Reinhard nie rozpoznał nawet momentu, kiedy się tu znalazł. Jakby w mgnieniu oka wciągnął go wir wydarzeń i na krańcu gwałtownej podróży wypluł w obskurne miejsce. To musiała być jakaś piwnica, co dało się spostrzec po niewielkim, zasłoniętym okienku u progu sufitu. Przez ścianę słyszał niewyraźny rumor miejskiego życia. Znalazł się z dala od codziennych problemów, ukryty w świecie podziemia.

Wujaszek siedział przed topornym biurkiem. Było to jedyne widoczne wyposażenie w całym pomieszczeniu, prócz krzesła po drugiej stronie blatu i tego, do którego przykuto go łańcuchem. Chciał się szarpnąć, ale ciało odmówiło posłuszeństwa; nie miał w sobie siły, wycieńczony ponadludzkim wysiłkiem. Prezentował się niczym obdartus wyciągnięty z rynsztoku, z solidnie obitą twarzą i poszarpanym, brudnym ubraniem.

W ciemnościach rozległ się szczęk otwieranych drzwi, później dało się słyszeć trzask ich zamykania i kroki. Postać w schludnym uniformie policyjnym stanęła nad biurkiem i ściągnęła z głowy melonik. Mężczyzna był w sile wieku, a twarz zdobił elegancki, krótki wąs, choć liczne zmarszczki i bruzdy świadczyły, że sporo służby ma już za sobą. Usiadł nieśpiesznie i splótł dłonie.

Szturmowiec szybko zarejestrował plakietkę z nazwą Kriminalpolizei, gdy śledczy niedbale odłożył ją na blat biurka.

Podczas gdy w Berlinie wokół drobnych rzezimieszków krzątała się Schutzpolizei, tak wspomniana policja kryminalna zajęta była poważniejszymi przestępstwami. W czasach wojennych oba departamenty miały pełne ręce roboty. Naturalnie sprawą Reinharda powinna zainteresować się żandarmeria wojskowa, jednak nikt nie miał zamiaru obciążać wykrwawiającej się armii wyczynami byle żołdaka, w dodatku będącego na przepustce.

Badawczy, nieznoszący sprzeciwu wzrok padł na zmasakrowaną twarz Wujaszka. Funkcjonariusz głośno, z westchnięciem wypuścił powietrze przez czerwonawy nos. Wyraźnie miał dość tej roboty. Wreszcie dobył z walizki przybory do sporządzenia raportu.

– Imię i nazwisko – padła komenda.

– Reinhard Witt – odpowiedział słabo, po czym zapytał: – Gdzie jestem?

– Data urodzenia. – Funkcjonariusz zignorował pytanie.

– 7 czerwca 1885 rok – wydusił z siebie. – Może mi pan powiedzieć, gdzie jestem?

– Imiona rodziców.

– Oda i Josef, nie żyją od dawna.

Śledczy niedbale notował odpowiedzi. Był przy tym całkowicie obojętny, jakby podane informacje w rzeczywistości nie interesowały go w żadnym stopniu. Wyciągnął z więźnia jeszcze kilka danych dotyczących personaliów, natomiast każde zadane przez Reinharda pytanie zbywał milczeniem, kontynuując swoją pracę. Wreszcie, gdy wszystko zostało przelane na papier, schował kartkę i ponownie uniósł spojrzenie na twarz szturmowca.

– Jesteś w sali przesłuchań – oznajmił, a następnie spokojnie zapytał: – Wiesz, co zrobiłeś?

– Nie wiem.

– Nie dalej jak wczoraj o zmierzchu zamordowałeś swoją żonę oraz dwójkę dzieci.

Informacja uderzyła w Reinharda niczym piorun. Zaniemówił, wpatrując się w twarz funkcjonariusza, jakby w oczekiwaniu, aż ten zaprzeczy własnym słowom. To jednak się nie wydarzyło. Zamiast tego powróciły w umyśle obrazy ostatniej nocy, gdy oszalały udusił Annę, a do pokoju wkroczyli Ruth oraz Rolf. Krople potu popłynęły po zbolałej twarzy. Pobladł, a przykute do krzesła ciało zadrżało. Załkał na przebłyski wspomnień i szarpnął się w bezsilności.

– W życiu nie uczyniłbym im krzywdy. To Wielki Czarny Szczur na szczycie dymnej ściany przybył tu za mną i zmusił mnie do tego – wyjaśnił w maniakalnej plątaninie słów.

– Wielki Czarny Szczur, co? – zapytał kpiąco funkcjonariusz. – Z oględzin miejsca zbrodni wynika, że wręcz zmiażdżyłeś żonie krtań, a dzieci wybebeszyłeś nożem.

– To szczury za mną przyszły… – wymamrotał bezsilnie.

– Tak, w więzieniu też ich sporo – przerwał z naciskiem. – Jesteś żołnierzem na przepustce?

– Tak, puszczono mnie do domu.

– Tym gorzej, panie Reinhard, tym gorzej. – Pokiwał głową, nie odrywając wzroku od twarzy Wujaszka. – Radzę od razu się przyznać.

***

O czwartej rano rozgorzała furia francuskich dział. Była to odpowiedź na całonocny ostrzał armii niemieckiej, inaugurując tym samym artyleryjski pojedynek pomiędzy obiema stronami. Godzina rozpoczęcia szturmu była dla przeciwnika łatwa do przewidzenia.

Regularnie zasypywali się ogniem po zmroku, by o poranku rozpocząć atak piechoty. Kolejna, często powtarzająca się wariacja taktyczna, podobnie jak nacieranie bez ostrzeżenia tego rodzaju.

Najpierw z ciemnego nieba spadały pojedyncze pociski. Gaz bojowy ponownie zrzucono na cesarskie okopy, jednak gdy tylko pojawiły się obłoki budzących grozę upiorów, wiatr zmienił kierunek. Tym samym zagrożenie zostało wywiane z powrotem na ziemię niczyją. Mimo to wszyscy zdążyli już założyć maski i nie ważyli się ich zdjąć. Sprzyjające zjawisko pogodowe sprawiło, że wzniesiono okrzyki na cześć Czarnego Szczura. Dla szturmowców był to kolejny sygnał, że wojenny totem wciąż nad nimi czuwa.

Przygotowywano się, kompanie i drużyny formowały szeregi pod czujnym okiem oficerów. Jeszcze raz sprawdzano zamki broni i nakładano bagnety. Gdzieś na tyłach rozgorzały bębny jak w jednym wielkim wojennym rytuale. Toporne, gwałtowne uderzenia w kotły rozchodziły się echem i wdzierały w serca i umysły szturmowców. Niespotykany na froncie widok. Szare twarze skryte pod maskami przeciwgazowymi i stahlhelmami zachowywały zimny, stalowy wyraz. Wyczekiwali, a sierżanci spoglądali nerwowo na kieszonkowe zegarki, wykrzykując kolejne komendy. Francuski ostrzał gwałtownie się wzmocnił, wyrywając w szare niebo fontanny ziemi i kolczastego drutu. Eksplozje mieszały się z kolejnymi uderzeniami w bębny, tworząc razem bitewną symfonię.

Sepp wpatrywał się w plecy porucznika, stojącego tyłem do szeregu żołnierzy. Nie był już tym samym Josefem, który nie potrafił się przedstawić. Serce biło powoli, broń trzymał pewnie. Jedynie umysł uciekał myślami do przyjaciół, których poznał w błotnistych transzejach. Wieść o śmierci Reinharda napełniła go kolejną dawką

goryczy jak przelewający się kielich. Twarze Ingo i Wujaszka migotały mu przed oczami, odsuwając na bok widok rozpętanego przed nim piekła. Determinacja łączyła się z fatalizmem, pokarmem straceńców.

Szczur siedział nieruchomo na ramieniu Wilhelma, niezlękniony w żaden sposób rumorem. Jedynie łysy ogon poruszał się niemrawo, spływając po mundurze oficera. Pięć minut do rozpoczęcia szturmu. Porucznik odwrócił głowę, a jego stalowe spojrzenie przebiegło po szturmowcach. Był niczym bóg wojny, mający poprowadzić zastępy w dzień końca świata, z czystym umysłem, skupionym jedynie na wypełnieniu celu.

Ku zaskoczeniu żołnierzy Wilhelm ruszył nagle ze swojego miejsca i wspiął się po drabinie na przedpole. Nie wydano jeszcze rozkazu. Już na górze postawił parę pewnych kroków przed siebie i stanął wyprostowany, wpatrując się w ziemię niczyją. Następnie z podniesionym podbródkiem odwrócił się do swoich ludzi wciąż kumulujących się w transzejach. Wielki Czarny Szczur górował za jego postacią. Jawił się niczym monumentalna aura, którą miał emanować przywódca. Grad pocisków, szrapneli, ognia i stali zdawał się omijać porucznika, jakby magiczna bariera oddzielała go od szalejącego terroru. Nie dowierzali temu widokowi.

– Nie lękajcie się kul, gazu oraz błota! – zawołał głośno i gardłowo wśród pożogi, zrzucając maskę przeciwgazową. – Jesteście szturmowcami, najlepszymi żołnierzami świata, władcami pola bitwy! Głos Wielkiego Czarnego Szczura wzywa was, abyście przekroczyli dymną ścianę dla nieuniknionego zwycięstwa Cesarstwa Niemieckiego! Odciążymy naszych braci przelewających

krew na polach pod Verdun. Przyniesiemy chwałę, której oczekują od was rodacy i Kaiser!

Prezentował się w ich oczach jak święta relikwia, otoczona opieką przez szczurzego bożka. Gardłowy, nieznoszący sprzeciwu głos rozchodził się wśród nieustającego huku i bębnów z każdym uderzeniem coraz to żywszych i gwałtowniejszych. Ogień omijał jego ciało, chybiały szrapnele i odłamki. To oblicze wojny i apokaliptyczny krajobraz zdawały się być jedynie tłem dla jego postaci.

Sepp wpatrywał się w tę scenę oniemiały jak jeszcze nigdy dotąd. Zbłąkane kule lękały się stalowego oblicza. Płomień schodził na boki, nie ważył się podejść bliżej Wilhelma. Młodzieniec na własne oczy obserwował, jak rozszalały front ani tknie człowieka ze skóry i kości. Dopiero teraz rzeczywiście dał wiarę. Przykazania dotychczasowego świata legły w gruzach. Podszepty Czarnego Szczura skorzystały z tej szansy, wdzierając się głęboko w umysł Seppa. Widział już tylko porucznika, wojenny totem i zwycięstwo Cesarstwa Niemieckiego. Nasłuchiwał żarliwej przemowy i szeptu, chłonąc każde słowo.

– Oddajcie hołd wojnie, naszej matce! Niech żyje śmierć, Czarny Szczur i Kaiser! To nasza powinność zwyciężyć lub zginąć! Tego oczekuje od was naród niemiecki, dla tego cierpieliście w transzejach po ciemnicy i za jutrzenki. Szturmowcy! Za Czarnego Szczura, za Kaisera!

Bębny ucichły, wybiła godzina zero. Wśród okrzyków zdeterminowanych szturmowców rozgorzały gwizdki sierżantów nakazujące szturm. Niegdyś sprawiały, że serce podchodziło do gardła, wymiotowało się z lęku i przeciążanych nerwów. Niektórzy

mdleli lub zastygali przerażeni w bezruchu. Dziś jednak były jak pochwalny psalm dla bestii na szczycie dymnego muru. Oficerowie wspięli się po drabinach, poganiając żołnierzy; za nimi wchodzili dziarsko piechurzy, jeden po drugim, złaknieni zwycięstwa, krwi i śmierci. Ożywieni chwilą i religijnym uniesieniem ruszyli przez przedpole.

Porucznik stał na czele niczym dawny germański wódz, prowadzący plemię do walki w teutonburgskich lasach. Sepp trzymał się blisko Wilhelma, ściskając oburącz mausera. Kolejni żołnierze ruszyli do walki w odstępach pomiędzy sobą, aby nie tworzyć zwartych formacji, na które można by było skoncentrować ogień artylerii. Wściekłe okrzyki bitewne przeszywały gęste powietrze. Krajobrazu nie opuszczała szarzyzna, a wiatr wiał szturmowcom w plecy, jakby sam chciał ich ponieść i wesprzeć w agresywnym natarciu na francuskie okopy.

***

Splótł ze sobą drżące dłonie, w których przedtem co jakiś czas skrywał twarz. Prusakowi trudno mu już było odróżnić jawę od rzeczywistości. Spuchnięte oczy nalegały na sen, a jednocześnie umysł odrzucał jego możliwość. Gdy śnił, widział twarze żony i dzieci. Nawracały niczym klątwa za to, co zrobił. Jeśli zaś choć na chwilę udało mu się o nich zapomnieć, przytłaczały go obrazy krzyży na grobach, a później doły za wsią Craonne, bez jakichkolwiek oznak, że kogoś w nim ułożono. To była druga drużyna wbita na pale, gdy powracał z porucznikiem, Ingo i Seppem ze zwiadu. Widok ten dopiero teraz uderzył go z całą gwałtownością, jak i wszystkie inne

obrazy z frontu. Duszone, zbierane przez dwa lata niczym zdjęcia w albumie, w końcu znalazły ujście.

Reinhard siedział na kojo w ciasnej, więziennej celi. Wraz z nim było tam trzech innych. Najgorsi z najgorszych. Gwałciciel, który ukatrupił jakąś dziewczynę, po tym jak odebrał jej duszę. Morderca rabujący sklepy i magazyny, gotów na wszystko za parę marek do przepicia. Nałogowy podpalacz i wywrotowiec. Dla swojej pasji najchętniej puściłby z dymem cały Berlin. I jemu powinęła się noga, gdy spróbował z koszarami policji. Wreszcie, na końcu on, morderca własnej rodziny, szaleniec i frontowiec.

– Witt, czy jak ci tam, twoja pajda, żołnierzu! – usłyszał gwałciciela z progu, gdy wszyscy trzej wrócili z przesłuchania czy skądkolwiek, gdzie ich wcześniej zabrano.

– Nie łam się, Witt, gorzej już nie będzie – zarechotał morderca. – Chyba że się nasz płomyczek znowu zeszcza po nocy.

Nie opuszczały go szczurze harce, niezależnie od miejsca, w którym się znajdował. Ciągle nasłuchiwał skrobania i pisków gryzoni. Bez przerwy za nim podążały, jak nieustępliwy omen, który przywlókł tu ze sobą. Były z nim podczas przesłuchań, a także we wszystkich celach, które zwiedził. Nawiedzały go po zmroku, skryte w cieniu. Gdzieś na krawędzi zmysłów czuł, że wzrok paciorkowatych ślepek śledzi każdy jego ruch. Z tego powodu niezmiennie uciekał mu fakt, że podobnie jak jego nowi kompani, został skazany na śmierć.

– Spokojna głowa, Witt. – Kolejny rechot. – Ona niebawem i tak przestanie ci ciążyć.

Im już nie zależało lub skrzętnie kryli lęk. Bardziej prawdopodobne jednak, że najzwyczajniej w świecie oszaleli

i wszystkim pogardzali: śmiercią, życiem, ludźmi, moralnością oraz władzą. Choć w czasach pokoju zdarzali się tacy szubrawcy jak oni, to wojenny wysiłek Cesarstwa stał się fabryką, stanowczo powiększającą ich dotychczasowe szeregi. Więzienia pękały w szwach. Sądy nie nadążały za liczbą spraw karnych, a egzekucje przesuwały się w czasie. Niemcy zaczynały chwiać się w posadach.

– Do łóżek, miernoty! – rozległ się krzyk strażnika na korytarzu. – Jak was zobaczę poza nimi, to o następnej pajdzie zapomnijcie!

Reinhard również nie obawiał się śmierci. Zdawała się być teraz wybawieniem od nieprzerwanego koszmaru, dziejącym się we śnie i na jawie jednocześnie. Czekał, aż ostrze kata opadnie na kark i pozwoli już na zawsze zgasić przemielony wydarzeniami, oszalały umysł. Ociężale ułożył się na swoim kojo. Nie zwracał uwagi na wszechobecny w celi brud, wszy, wilgoć, zgniliznę i na te trzy martwe za życia upiory, współwięźniów. Skrobanie i piski rozległy się w ciemnych kątach, jakby na zawołanie, by do końca zadręczyć udręczonego. Słyszał je jako jedyny z całej czwórki albo kompani udawali, że do nich nie docierają.

***

Ziemia niczyja nasiąkała krwią z każdym przebytym metrem. Szturmowcy gnali przed siebie od jednej osłony do następnej, kryjąc się w wyżłobieniach, rowach i groblach, aby tam wyczekać odpowiedniego momentu do skoku. Gęste błoto więziło żołnierskie buty. Breja pragnęła wciągnąć w swoje odmęty, na zawsze już zabrać nieszczęśnika. Wczorajsza mżawka poodkrywała zwłoki tych, którzy szturmowali cesarskie okopy. Na poskręcanych ciałach ucztowało robactwo, a przede wszystkim gryzonie. Bezwładnie porozrzucane

kończyny, ofiary furii ogarów Kruppa. Nagie kości walały się jak okiem sięgnąć. To ślady walk straceńców, którzy trafili tu przed nimi. Jedno wielkie cmentarzysko pod czujnym wzrokiem opalowych ślepi bestii.

Francuska artyleria nie ustępowała, nieprzerwanie zrzucając na głowy żołnierzy kolejne pociski. Deszcz ognia i stali obracał ciała w strzępy mięsa, krwi i błota. Wyżłobione w ziemi, tymczasowe kryjówki zamieniały się w bezimienne groby. Za plecami niemieckie działa intensywnie ostrzeliwały cel, starając się zapewnić sojuszniczym atakującym jakąkolwiek osłonę ogniową. Rozszalałe piekło nie cichło ani na moment. Huk i agonalne krzyki przerywały jedynie ponaglające wrzaski oficerów.

Im bliżej podchodzili do Czarnego Szczura, tym robiło się ciemniej. Wschodzące słońce nie docierało przed oblicze wojennego totemu, jakby ten więził ziemię niczyją w krainie cienia, otaczał ją szpetnymi łapskami. Gigantyczny, szyderczy pysk o długich, smugowych wąsiskach szczerzył się złowrogo, uradowany amokiem w królestwie wojny. Każdy spadający pocisk napawał go dumą. Kolejny agonalny krzyk był mu najsłodszym darem i najwspanialszym hołdem.

Wilhelm pędził niestrudzenie ku czarnej ścianie. Żaden pocisk do niego nie docierał, a oficerskie buty nie zapadały się w błocie choćby na centymetr. Nie krył się po transzejach. Za jego plecami szturmowcy byli w tarapatach, a jednak wiara w Czarnego Szczura i widok niezłomnego przywódcy nakazywały im przeć do przodu. Nie odczuwali lęku w swoim fanatycznym zrywie. Stali się hordą, która w tym pędzie mogłaby wedrzeć się nawet do samego Paryża, gdyby tam ich poprowadzono.

– Za Kaisera! Za Czarnego Szczura! Za Cesarstwo Niemieckie!

Pokonali połowę drogi ku francuskim okopom. Szeregi stale się przerzedzały i jasne już było, że Wielki Czarny Szczur nie uchroni ich wszystkich, a jednak każdą ominiętą przeszkodę i pocisk, który chybił, traktowali jako znak, że wojenny totem czuwa nad nimi. Rozgorzał ogień karabinów maszynowych. Szczurzysko na ramieniu Wilhelma poruszyło się niespokojnie, zanosząc się piskiem. Kolejne skoki, kolejne metry po ciałach, nagich kościach, błocie i wyrwach. Przybywało ofiar.

Oddawali pierwsze strzały w kierunku francuskich okopów, odpowiadając ogniem na zaciekłość obrońców. Nawet Sepp nie odczuwał bólu, który zwykł mu przeszkadzać w codziennych czynnościach. Niczym wprawiony zając przeskakiwał do kolejnych osłon gdzieś za plecami porucznika. Umysł wrzał rozpalony i skupiony na celu. Wszystko inne było odległe i nieistotne.

Zeszli do najniższych instynktów wspartych agresją, a jednocześnie wspięli się na swoje wyżyny, gdzie rzeczy ludzkie przestały mieć jakiekolwiek znaczenie. Liczyła się tylko nieokiełznana wola wśród wybuchów i świszczących kul. Toczący się wprawnie industrialny, taktyczny porządek oraz dziki chaos legendarnych berserkerów. To był zarazem ich hołd i bluźnierstwo wobec śmierci. Dla Cesarstwa, rodzin, ziemi i świętości ponad wszelką materię. Jakby ostatnia szansa na krok dalej w walącym się ładzie Europy. Ponad góry, ku niebu i wyżej, gdzie mieczem Sygurda Fafnesbana mogli ściąć wrogie baszty.

Gdzieś z tyłu minęli transzeję, w której kryli się pewnej nocy przed czujnym okiem snajpera, oswobodzeni przez łaskę bestii. Lej pogrzebał paru kolejnych straceńców. Byli już tuż-tuż przed czarną

ścianą. Mrok narastał, a wojenny totem zdawał się być większy niż kiedykolwiek przedtem. Gigantyczny w swojej potędze, nieobjęty dla rozumu. Dostrzegali pojedyncze, świetliste punkty unoszące się w tym cieniu. To stanowiska karabinów maszynowych, ciosających ziemię niczyją.

Porucznik przeskoczył przez konar z gardłowym okrzykiem. Nagle szczurzysko zapiszczało raz jeszcze, a następnie zeskoczyło z barku kompana, lądując gdzieś u podnóża miniętej przeszkody. W jednej chwili ucichła niemiecka artyleria. Wilhelm otworzył szerzej oczy, a z twarzy prysła determinacja, jakby momentalnie opuściły go wszelkie siły, które do tej pory go wspierały. Nieopodal runął pocisk. Trafiony oficer legł w błotnistą ziemię, gdy szrapnel wypluł na zewnątrz zawartość swoich trzewi.

***

Nikt nie wierzył w oszalałe majaczenia mordercy o dziesiątkach szczurów podążających za nim, odkąd opuścił front zachodni. Naśmiewali się i stukali w czoło. W śmierdzącej, ciasnej celi nie było drogi ucieczki przed zgrozą. Nie pozostało nic poza klatką ze ścian przeżartych wilgocią. Odcięto go zupełnie od dawnego życia; zgasły ideały, pragnienia i miłość.

Reinhard siedział pod oknem, na podłodze. Nowi kompani dawno już spali w swoich kojach. Kraina marzeń sennych pozwalała wydostać się poza kraty, gdziekolwiek wyobraźnia mogła ponieść. Każdy z nich wiedział, że zostaną wkrótce straceni, a ich głowy potoczą się oddzielone od ciała. Taką karę przewidywało dla nich pruskie prawo. Nikt nie liczył dni i nie szukał nadziei, umarli wraz z zapadnięciem wyroku.

Słyszał, jak szczury skrobały ściany. Światło księżyca wpadało przez okratowane okienko, tworząc świetlisty wzór na podłodze przed butami Wujaszka. Wpatrywał się w to osobliwe zjawisko, dręczony winą. W pewnej chwili pojedynczy gryzoń wkroczył w pole światła i zatrzymał się, łypiąc paciorkowatymi ślepiami na żołnierza. Żywo poruszył długimi wąsiskami, a ogon utworzył półokrąg za drobnym ciałem. Jego widok sprawił, że Reinhard zadrżał, kryjąc twarz w dłoniach, z nadzieją, że gdy je zdejmie, szczur zniknie, tak jak i całe harce.

– Czego ode mnie chcecie? – wydusił słabym szeptem. – Straciłem żonę, dzieci i wolność. Czy to mało?

– Opuściłeś nas, Wujaszku – usłyszał.

Nie wiedział, skąd dochodził głos ani do kogo należał. W pierwszej, szaleńczej chwili pomyślał o wpatrującym się w niego gryzoniu, ten jednak jedynie pożerał zdobywcze okruchy po pajdzie. Reinhard pokręcił głową, jeszcze raz łapiąc się za nią w rozdzierającym wnętrze bólu. Szczur zatoczył okrąg, jakby poruszony gestem człowieka.

– To nie tak, porucznik mi kazał – wydyszał. – Wybacz mi, nie powinienem, moje miejsce jest z wami, w okopach.

– Wybaczam ci, Wujaszku – głos ponownie rozbrzmiał wśród szczurzych harców. – Dołącz do nas za czarną ścianą.

– Za czarną ścianą? – zapytał niepewnie, a następnie rozejrzał się, zdając sobie sprawę, że mógł obudzić współwięźniów. Ściszył głos do szeptu: – Jak dołączyć? Nie mogę. Jestem w więzieniu.

– Już dość wycierpiałeś, jest ci wybaczone. Już dość się posiliłeś po kątach, transzejach i ziemi niczyjej.

Słowa godziły w słuch, jednocześnie palące jak rozżarzony węgiel i kojące jak moment ostudzenia go.

– Szturmowali? – wydyszał.

– Czekamy na ciebie, Wujaszku, po drugiej stronie.

Szczur zniknął w ciemnościach. Prusak wpatrywał się w świetlisty wzór tępym, zmęczonym wzrokiem. Znowu zastanawiał się, czym lub kim właściwie była istota, z którą przed chwilą rozmawiał, ale ostatecznie nie mógł zebrać myśli. Czy to ten gryzoń, którego widział? Porucznik rozmawiał z podobnym. A może któryś z poległych towarzyszy przemawiał z zaświatów? Zacisnął dłonie w pięści i rozejrzał się po śpiących współwięźniach. Słyszał jedynie ich urywane, równe oddechy.

Podniósł się ze swojego miejsca, a następnie chwycił przepoconą, brudną koszulę. Momentalnie zdał sobie sprawę, co miał na myśli przemawiający do niego głos. Gdy wrócił na kojo, zaczął zwijać materiał, wiążąc pętlę. Żołnierze szturmowali pozycje francuskie i polegli. Miał do nich dołączyć za czarną ścianą, ponieważ tam na niego czekali.

Spojrzał w pętlę jak w tunel wiodący do zupełnie innego świata. Podróż w nieznane wraz z ostatnim oddechem. Zawiązał drugi koniec koszuli wokół kraty w oknie i szarpnął, aby sprawdzić, czy materiał należycie się trzyma. Szczury nie ustępowały w swoich harcach. Drapały ściany i piszczały, tworząc wokół Reinharda bacznie przyglądającą się widownie. Prusak wkrótce jeszcze raz usiadł, prędko opuszczały go siły. Przetarł pot z czoła i zamknął na chwilę oczy. W ciemnościach widział kolejne obrazy z frontu; twarz Ingo, Czarny Szczur łypiący opalowymi ślepiami. Na koniec martwa Anna i dzieci, których własnoręcznie posłał na tamten świat.

Czyżby tym był czarny mur, który wyrósł na froncie przed ich oczami? Bramą do zaświatów, których strzegł wojenny totem? Ich własną Walhallą, gdzie mieli spijać trunki i obłapiać dziewki pod okiem aniołów wojny? Może wszyscy polegli tam w ataku na Fort Vaux, a cały ten koszmar był jedynie czyśćcem w drodze ku zbawieniu pod czujnym spojrzeniem szczurzego bożka.

Wpadł w wir szaleństwa, który nie pozwalał utrzymać zamkniętych powiek na dłużej niż chwilę. Złapał się za głowę, a zaraz po tym chwycił pętlę, z trudem naciągając ją na szyję. Oddech przyśpieszył. Wszelka logika już dawno umknęła. Bolesny, zmęczony wzrok przeniósł się na drzwi celi. Przyszło zawahanie, lecz wiedział, że i tak go zetną. Ktokolwiek mu to nakazał, wskazał również inną drogę. Być może w niej szczurze harce zamilkną, a twarze przestaną jawić się jak powtarzające, natarczywe obrazy. Któryś ze współwięźniów poruszył się we śnie, wybudzając się z koszmaru. Teraz albo nigdy.

Puścił pętlę i uwiesił się na niej, pozwalając, aby zacisnęła się mocno na szyi. Nie doszło do przerwania rdzenia kręgowego, jak zwykle umierało się na szubienicy. Jedynym wyjściem było samouduszenie. W oszalały, wycieńczony umysł wdarła się panika. Szarpał się, obraz zachodził mgłą. W niej zamigotała twarz Anny i dzieci. Ingo uśmiechnął się w nieopuszczającym go entuzjazmie. Stalowy wzrok porucznika, kolejna głupota Seppa. Szczurze harce najpierw narastały jak w dopingu, a następnie cichły, ton za tonem, aż całkiem zgasły. Strażnik dudnił butami na korytarzu, ciszej i ciszej, wreszcie bezdźwięcznie. Wtedy nastała ciemność.

ROZDZIAŁ XVII

Niewielkie poruszenie w płytkiej koleinie było jedyną oznaką życia w martwym krajobrazie. Przysypany ziemią Sepp wygramolił się powoli spod błotnistej pierzyny. Przez dłuższą chwilę nie mógł otworzyć oczu. Ból głowy dudnił intensywnie, a kończyny zdawały się częściowo odmawiać posłuszeństwa. Zakaszlał nierówno, próbując złapać głębszy oddech. Czuł, że prócz ziemi przygniata go coś ciężkiego. Gdy tylko zdołał uchylić odrobinę niebieskie oczy, ujrzał jak przez mgłę leżące na nim ciało żołnierza. Nieszczęśnik był zupełnie zmasakrowany lotkami szrapnela. Młodzieniec sięgnął do niego obiema rękoma i ostrożnie zsunął ze swoich pleców. To wymagało wiele wysiłku, ale jedynie fizycznego. Otępiały umysł wciąż błądził w półśnie.

Gdy zdołał już uwolnić się spod trzymającej go pułapki, wspiął się wyżej po transzei, wbijając palce głęboko w lepki grunt. Wymacał karabin, nawet nie będąc pewnym, czy to jego własny. Obłocona twarz uniosła się ku niebu i horyzontowi. Nie wiedział, jaka jest pora doby. Bliskość Czarnego Szczura na szczycie dymnej ściany przysłaniała wszelkie światło, a niebo zasnute było gęstymi, burzowymi chmurami. Policzkiem opadł w breję, wyrównując oddech. Otępiający ból z niegdysiejszych ran postrzałowych dał o sobie znać.

Ponownie uchylił zapadnięte oczy. Rozmazany obraz ujawnił ulatujące ku niebu kłęby dymu wśród dołów, kamieni i nagich kikutów drzew. Bezwładnie porozrzucane ciała szturmowców tonęły

w błocie. Wielu z nich było tak zniszczonych, że jedynie po strzępkach mundurów i stahlhelmach dało się rozpoznać, że ta krwawa miazga to pozostałość po którymś straceńcu. Jednego z nich kawał zardzewiałej blachy przybił w tułowiu do złamanego świerka. Martwy nieszczęśnik wisiał w pokłonie przed wojennym totemem. Dwóch innych zastygło tuż przy sobie, jakby szlochali w ostatnich tchnieniach.

Kątem oka dostrzegł nieopodal niewielki ruch, prawie na wyciągnięcie ręki. To był porucznik Wilhelm. Leżał na plecach, oddychając płytko, a pod nim falowała breja błota oraz krwi, którą wysączył przez liczne rany. Blady i słaby uchylił powieki. Niegdyś zimny wzrok stalowych oczu stał się niewyraźny, bezsilny. Oficer poruszył ręką, ale nie był w stanie jej podnieść. Uchodziło z niego życie. Wokół panowała cisza, agresywny szturm został złamany, nim nawet zdążył dotrzeć do czarnej ściany ze swoim władcą u szczytu.

– Poruczniku – wydusił słabo Sepp. – Jestem tutaj.

– Sepp? – Rozpoznał głos i powoli zwrócił głowę w stronę koleiny, skąd nawoływał go młodzieniec.

Porucznik spróbował obrócić się na bok, jednak okazało się to niemożliwe. Opuściły go wszelkie siły, nie czuł własnego ciała. Jeszcze raz spojrzał w stronę Josefa, który sam wyglądał jakby ledwie uciekł śmierci. Następnie przebiegł wzrokiem po samym sobie i już przy krótkich, ledwie połowicznych oględzinach zdał sobie sprawę, w jak fatalnym stanie się znajduje.

– Szturm nieudany, panie poruczniku – ponownie rozległ się słaby głos Seppa. – Zawiedliśmy.

Wilhelm wydał z siebie słaby jęk, przysłuchując się słowom młodzieńca. Stahlhelm zsunął się z głowy i potoczył, lądując tuż

przy ciele. Twarz uniosła się ku dymnej ścianie i Czarnemu Szczurowi. Opalowe ślepia wpatrywały się w dwójkę jak w scenę wieńczącą spektakl w jego teatrze. Wąsiska bestii poruszały się miarowo, niezależnie od podmuchów wiatru. Szyderczy pysk wojennego totemu jakby wstrzymywał oddech w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń.

– Nie, Sepp, nie zawiedliśmy – zakaszlał porucznik. – Opuścił nas.

***

Nie usłyszał odpowiedzi. Sepp zamilkł i znieruchomiał w swojej kryjówce. Wilhelm ponownie odwracając głowę w stronę kompana, przyjrzał się krawędzi i widocznej, bladej dłoni zatopionej w brei. Za nią, na przeciwnej ścianie, kolejny martwy nieszczęśnik. Trzymał się za klatkę piersiową. Bez maski, z szeroko otwartymi ustami i pustymi oczami wlepionymi w niebo. Może to wilgoć, a może łza zawisła na krawędzi brudnej twarzy.

– Sepp, mów do mnie – wydusił Wilhelm. – Któryś szturmowiec musi wrócić do domu.

Josef jednak nie odpowiadał. Ostatni przy duchu spróbował podnieść rękę, aby przekręcić się i przeczołgać w stronę koleiny, gdzie tkwił młodzieniec. Choć był zdolny nią poruszyć, brakowało mu sił, by choćby czegokolwiek się chwycić. Był sparaliżowany, niezdolny do ruchu wymagającego większego wysiłku. Stalowe oczy niebawem zastygły na opalowych ślepiach bestii. Wiedział, że już po nim. Wielokrotnie uchodził z tarapatów, często ranny i z niewielką szansą na przeżycie, teraz jednak obrażenia były zbyt rozległe,

a powrót z ziemi niczyjej niemożliwy. Czytał to z tej czerni wieńczącej dymną ścianą.

Szarpnął się, przewracając na bok. Nie odczuł nawet namiastki bólu z licznych ran, ciało było jak z drewna. Świat zakołysał się przed oczami, które z trudem na nowo otworzył. Zaszły mgłą, niezdolne wyostrzyć obrazu przed sobą. Zbyt słaby, pęknięte ostrze germańskiej dumy.

– Sepp.

Wyciągnął dłoń, aby wbić palce w błoto i podciągnąć się w stronę transzei. Kolejny czyn ponad siły. Ledwie zdołał zebrać ku temu oddech, gdy rozległ się odgłos wystrzału, echem przerywając ciszę. Kula trafiła w bok, brocząc królestwo kolejną dawką użyźniającej ją krwi. Porucznik jedynie głucho jęknął, a jego surowe, blade oblicze przywarło do gleby. Mętny wzrok uniósł się jeszcze raz na czarną ścianę.

– Dlaczego nas opuściłeś?

Pytanie ledwie rozbrzmiało z jego ust, jednak nie doczekał się odpowiedzi. Pozostał sam na sam ze swoim bożkiem. Wojenny totem głucho milczał, choć zawsze uwielbiał zapełniać podszeptami umysły straceńców i ich przywódcy.

Prędko zdał sobie sprawę z powodu tego milczenia. Stali się ofiarami dla Czarnego Szczura. Wiecznie złakniony krwi, ciał i wojny ponownie zebrał to, co należało do niego. Nie było ważne, czy smakołyk pochodził z francuskich czy niemieckich okopów. Liczyła się wyłącznie zdobycz zalegająca w ciemnym królestwie gazów bojowych, błota, dołów i szrapneli. To tu posilali się jego sprytni słudzy podczas harców, dając mu siłę. Rozkoszował się oazami kości i czaszek na tej grząskiej pustyni usianej bezimiennymi grobami.

Cieszył go widok zasieków, niczym najpiękniejszy żywopłot w ogrodzie.

Wielki Czarny Szczur o opalowych ślepiach z sprzymierzeńca stał się najgorszą zmorą. Wilhelm porzucił dla niego wiarę w Stwórcę, poświęcił mu każde odebrane życie. Wznosił dla niego pochwalne pieśni, okrzyki i prowadził ceremonie, które miały go honorować. Zatracił ku jego czci duszę swoją i swoich ludzi. Człowiek robi z miłości szalone rzeczy i nawet pomimo tego wszystkiego najgorszy był ból porażki wobec obowiązku oraz przysięgi, jaką złożył Kaiserowi i ojczyźnie. To dla Cesarstwa wyruszył na wojnę, zostawiając w Niemczech najbliższych. Pole bitwy stało się jego domem, a żołnierze rodziną. Sprzymierzył się z tą tajemniczą siłą na szczycie dymnego muru, by ocalić batalion od rozpadu, by jeszcze raz poprowadzić swoich ludzi do walki i zwycięstwa.

Gryzoń, który zeskoczył z ramienia porucznika podczas szturmu, teraz pojawił się znikąd. Wraz z nim kolejne szczury, od najjaśniejszej do najciemniejszej barwy sierści. Przystanęły, badawczo poruszając wąsami. Paciorkowate ślepka niedawnego kompana wbiły się w oficera i skrzyżowały z żołnierskim spojrzeniem. Zdawali się wymieniać bezgłośnie ostatnie zdania. W pewnej chwili Wilhelm zamknął oczy, układając głowę w błocie pola walki. Wydało się mu wygodnym miejscem jak przy domowym zapiecku. Ostatni gest ze strony bestii.

– Więc pożryjcie mnie, skoro on tego chce – wydusił. – Ale jeśli to, co wieszczysz, jest prawdą, niech w zamian oszczędzi nas nad Sommą.

***

Z nieba ponownie lunęła mżawka, jak domykająca spektakl kurtyna. Sepp uchylił powieki, gdy deszcz skropił jego twarz. Ociężały umysł potrzebował dłuższej chwili, aby zrozumieć w jakiej sytuacji się znajduje. Leżał u szczytu płytkiej koleiny. Szybko zdał sobie sprawę, że musiał stracić przytomność i wciąż tkwił na ziemi niczyjej. Dłonie brodziły w błotnistej mazi. Tępy ból głowy nie ustępował. To był chyba pierwszy raz w ostatnim czasie, gdy dane mu było przespać się choć odrobinę. Starał się zebrać myśli i wtedy też gwałtownie oderwał policzek od ziemi.

– Poruczniku? – zawołał.

Nie dostrzegł nigdzie Wilhelma. Jedynie duży ślad krwi zmieszanej z breją zaświadczał o tym, że ktoś tu niedawno leżał. Zauważył również odciski licznych małych łapek, które otaczały miejsce, gdzie ostatnim razem widział oficera. Serce zadudniło panicznie. Wiedział, że go zabrały, podobnie jak Ingo i wielu innych, którym przyszło dokonać żywota na ziemi niczyjej. Poderwał spojrzenie w stronę okropności na czarnej ścianie.

Odnosił wrażenie, że nastał ranek, ale nie był do końca pewien swojego przeczucia. Wokół unosiła się gęsta mgła, którą miał już okazję poznać. Tu, prawie u stóp wojennego totemu i dymnej ściany, każda godzina zdawała się być tą samą, co obecna, poprzednia i następna.

Josef zsunął się niżej. Butem potrącił trupa, którego poprzednio zrzucił ze swoich pleców. Zadrżał, zaciskając skostniałe dłonie w pięści. Twarz nieboszczyka niczym już nie przypominała ludzkiego oblicza, kompletnie poszatkowana odłamkami. Sepp obrócił ciało na

brzuch, nie chciał tego oglądać. Przysiadł jednak obok, tuż przy zmarłym, wyrównując oddech. Głowa wciąż wrzała w katorżniczych spazmach, nie mniej jak ból pulsujący w kończynach.

Pozostał sam w tej rozległej na cztery strony świata martwocie. Szkielet Ingo zdobił któryś z dołów u podnóża cesarskich okopów. Reinhard nie żyje, nawet nie wiedział jak i dlaczego. Porucznika zabrały szczury, poddani jego bożka. Wspomniał słowa, które wypowiedzieli, gdy wspólnie, w czwórkę, leżeli przygwożdżeni w leju podobnym do tego. „Zaginiony", tak plasowali się w jego umyśle, a niebawem w taki sam sposób zostaną odnotowani w biurokratycznej machinie armii niemieckiej. Został tylko on i nie potrafił sobie odpowiedzieć, czy to zbieg okoliczności czy jakiś plan, uknuty przez Czarnego Szczura o opalowych ślepiach.

Dno koleiny wieńczyła obfita kałuża. Przez brudną taflę był w stanie dostrzec zarysy stahlhelmu, nie pokusił się jednak, aby sprawdzić czy to kolejny, bezimienny grób. Zawieszony nad tym widokiem pomyślał o przeczołganiu się na własne linie. Gęsta mgła umożliwiała mu przemknięcie niezauważonym. Tyle tylko, że nie miał powodu, by tam ruszyć, przepadli wszyscy. Kolejne daremne ofiary złożone na ołtarzu wojny pozycyjnej. Poza tym nie miał również zamiaru wracać do ojczyzny, jakby był to krok wstecz w tułaczce, którą rozpoczął przed laty. Mógł jedynie przeć naprzód w szturmie przez cykl życia, ziemię niczyją każdego z osobna.

– Dlaczego nas zdradziłeś? – Uniósł spojrzenie na horyzont, gdzie tkwiła bestia o opalowych ślepiach.

Podniósł się, chwytając obłocony karabin. Buty ślizgały się po brei, próbując odnaleźć stały grunt. Wpatrywał się wprost w Czarnego Szczura, który zdawał się nie odmawiać mu wymiany

spojrzeń. Milczące ślepia bestii tkwiły w Seppie, gdy tylko wynurzył głowę ponad kryjówkę.

– Psia mać mnie! – tym razem krzyknął, a dłonie wzniosły mausera nad głowę. – Dlaczego zdradziłeś porucznika i batalion?!

Ociężale wyszedł z koleiny i opuścił karabin, wciąż trzymając go oburącz. Wpatrzony wprost w potężną czarną ścianę i wojenny totem u jej szczytu. Bagnet migotał swoim stalowym jestestwem poprzez okrywające go błoto. Zziębnięte dłonie drżały, ból głowy dudnił cierpiętniczą melodię. Nogi uginały się pod ciężarem ciała, munduru i wojskowego rynsztunku. Jedynie żal i wściekłość wybudziły się i wrzały.

– Dlaczego go zabrałeś?! – ponownie krzyknął. – Ja i Ingo byliśmy przeciw tobie, ale porucznik?! Reinhard też ci wierzył! Szturmowcy byli ci lojalni!

Postawił pierwsze niepewne kroki przez błoto w kierunku czarnej ściany i francuskich pozycji. Niedawne rany paliły, roznosząc ból na kończyny. Przekrwione, zapadnięte oczy Seppa nie odrywały się od oblicza bestii na swym tronie. Ruszył przed siebie, przyśpieszając mimo ciała odmawiającego mu posłuszeństwa. Karabin z bagnetem bujał się miarowo przy każdym postawieniu stopy. Buty grzęzły w brei, ale parł nieprzejednanie naprzód w samotnym szturmie. Nie zwracał już nawet uwagi na mijane ciała towarzyszy broni, bezwładnie rozrzucone w królestwie Czarnego Szczura.

– Oszukałeś ich! – wrzał młodzieniec. – Wykorzystałeś ich cierpienia pod Verdun, aby twoje pomioty mogły się posilić!

Mgła gęstniała z każdym przebytym metrem. W końcu stała się tak wszechobecna, że nie widział już wiele więcej prócz wyłaniającej

się z niej dymnej ściany. Był coraz bliżej, a mimo to nikt do niego nie strzelał. Nie napotykał po drodze francuskich żołnierzy, którzy mogli by skorzystać z okazji do zwiadu, wypadu lub naprawy umocnień. Jedynie jego wściekłe krzyki wypełniały martwą ciszę ziemi niczyjej. Marsz zamienił się w trucht, a następnie w bieg. Ból rozdzierał ciało, głowa jakby zaraz miała pęknąć, krew wrzała.

– Odpowiedz!

Żadna odpowiedź jednak nie nadeszła. Dotarł do dymnej ściany, stale falującej, jakby poruszał ją wiatr, choć takowego już nie było. Czarny Szczur całkiem zniknął mu z oczu, znajdując się na szczycie tego gigantycznego muru. Stał tuż przed nim, miał go na wyciągnięcie ręki. Płytki, szybki oddech po przebytym dystansie stopniowo zwalniał. Początkowo Sepp dotknął nieprzejednanej czerni i powoli cofnął dłoń, aby ją obejrzeć. Nie zauważył niczego szczególnego. Mauser znów trafił do obu rąk; młodzieniec zacisnął zęby i wkroczył w ciemność.

Za kurtyną, u jego stóp, znajdowały się liczne koleiny po ostatnim i wielu poprzednich ostrzałach artyleryjskich. Ciągnęły się w nieskończoność jak okiem sięgnąć, tworząc ogromne połacie terenu przeryte ogniem dział wzdłuż i wszerz. Wojna zdawała się tu trwać nie od dwóch, lecz dziesiątek lat. Wszechobecna, gęsta mgła nagle zniknęła, jakby nigdy jej nie było. W gardło wdarła się dziwna duchota i smak, który przypominał mieszaninę rdzy i krwi.

Dalej ziemia wznosiła się, tworząc zbocze, w którego stronę Sepp powoli skierował swoje kroki. Niebieskie oczy bacznie rozglądały się po zastanym terenie. Zanosił się kaszlem, nie mogąc w pełni znieść aż tak przytłaczającego zapachu żelastwa i śmierci. Na horyzoncie jaśniała czerwona łuna rodem z apokaliptycznej wizji

końca świata. Mijał bezwładnie porozrzucane zasieki, już dawno pordzewiałe i zniszczone, jakby nikt nie naprawiał ich od wielu, wielu lat. Wojskowe buty stąpały po kościach, które wyłaniały się z grząskiego gruntu. Liczne szkielety leżały w napotykanych dołach, zwykle samotnie, czasem w parach lub trójkach.

Tuż przy bucie Seppa przystanął szczur. Nie był zainteresowany człowiekiem, szperał za czymś po ziemi. Kolejne dwa gryzonie gnały za nim, zlęknione, że smaczny kąsek trafi się tylko temu jednemu. Grzebały dziury mały łapkami. Zaglądały do nich nawzajem, z troską sprawdzając, czy kompan nie odnalazł w swojej za dużo. Pojawiały się kolejne. Rozgorzały wściekłe piski. Josef odwrócił głowę i jedynie krótko spojrzał za siebie na czarną ścianę.

Słabnąc, wspinał się na wzniesienie. Zapadnięte, oderwane od rzeczywistości oczy w dalszym ciągu poszukiwały jakichkolwiek śladów świadczących o obecności francuskiego wojska. Nie dostrzegł nawet fragmentu okopów, mimo iż powinny się znajdować właśnie w tym miejscu. Nagle odczuł, jak ciało przeszywa przyjemne ciepło, a dłonie przestają drżeć. Im bliżej szczytu, tym ból stawał się coraz to mniej intensywny, aż jego ogniska zaczęły gasnąć.

Gdy dotarł na górę wzniesienia, nogi odmówiły posłuszeństwa i padł na kolana. Ledwie utrzymał karabin w słabych słoniach. Ból głowy topniał z każdą chwilą, zastępowany jednak przez wrażenie, że umysł za chwilę pęknie pod natłokiem emocji, a zarazem z niemożności ich opisania. Do uszu dotarła melodia liry. Sepp uniósł wzrok. Instrumentowi zawtórowały huki wystrzałów dział. Ciche, gdzieś daleko stąd. Łuna jeszcze mocniej nabrzmiała czerwienią. Tam, gdzieś daleko, musieli toczyć zażarte boje o każdy metr terenu.

Za plecami rozbrzmiało więcej pisków, jakby szczury buszowały w setkach i tysiącach, ogarnięte amokiem. Ich głosy wzrastały niczym salwa. Nieustępliwe w swojej woli przetrwania, gotowe na wszystko, opanowały grunt, szczeliny i doły. Jedne zlęknione, inne wręcz brawurowe. Większe, mniejsze, wychudzone i opasłe. Wraz z nimi ich królestwo, do którego przybyły.

Josef nie patrzył już na gryzonie. W dole łysego zbocza, na tle gorejącej łuny, ujrzał małą, zieloną polanę. Zupełnie nie tknęła jej wojna. Na niej barwny, postawny landsknecht i odziana w czerń kostucha wirowali w radosnym tańcu śmierci.

EPILOG

Młody podporucznik wszedł marszowym krokiem do kwatery majora Matthiasa. Już w progu bacznie rozejrzał się wśród panującej wewnątrz ciemności. Odwiedzał przełożonego regularnie. Zajmował się dostarczaniem mu żywności i innych potrzebnych rzeczy, gdy ten odmówił opuszczania swojej jamy, zaraz po tym jak batalion zasiedlił linie okopów pod wsią Craonne. Tym razem nie miał ze sobą jedzenia. Nerwowo wyginał splecione za plecami palce.

Matthias siedział przy biurku, zawieszony nad jakiś kawałkiem papieru. Martwy wzrok majora uniósł się na przybysza, a drżące dłonie odsunęły kartkę na bok, jakby w oczekiwaniu na posiłek. Jego ruchy były powolne i ociężałe. Wyraźnie zmuszał się do najmniejszej czynności, zupełnie pozbawiony woli i siły. Co jakiś czas zerkał po kątach, bacznie szukając oznak pojawienia się cienia, tak skrupulatnie namawiającego go do szturmu. Ten jednak nie zjawiał się już od dłuższego czasu. To jednocześnie uspokajało i martwiło oszalałego dowódcę.

– Panie majorze – zaczął przybysz.

– Wejdź – odpowiedział krótko.

Podporucznik przeszedł przez ciemnicę, przestając zwracać uwagę na jej ponury wystrój. Słabo jaśniejąca lampa naftowa rzucała światło jedynie na biurko i zniszczone oblicze Matthiasa. Gość wreszcie zatrzymał się i zasalutował, kątem oka spoglądając w stronę kartki. Major, wyraźnie bez powodzenia, próbował napisać na niej list.

– Szturm nieudany, nie osiągnęliśmy nawet pierwszej linii francuskich okopów – zaraportował prosto żołnierz.

Matthias przeniósł wzrok na rozmówcę. Puste spojrzenie zaszło tak niewysłowioną paniką i lękiem, że można było odnieść wrażenie, jakby major miał zaraz dostać zawału serca. Dłonie zadrżały mocniej, palce zacisnęły się na krawędzi mebla. Słowa utkwiły w gardle, a wargi poruszyły się w niemym wyrazie. Wspomnienia spod Verdun uderzyły momentalnie, jaskrawsze i żywsze niż przez cały czas pobytu tutaj. Pokręcił głową i złapał się za skronie, zdoławszy wykrztusić jedynie proste pytanie:

– Wrócili?

– Nikt nie przeżył, panie majorze. Ataki do ostatniego żołnierza, wbrew wszelkiemu rozsądkowi – odpowiedział spokojnie podporucznik, przyzwyczajony do zachowania przełożonego. – Przykro mi.

Nikła nadzieja prysła wraz ze słowami gościa. Matthias potrząsnął głową raz jeszcze, jakby usilnie próbował wyrzucić tę informację z myśli. Powoli podniósł się ze swojego miejsca i odwrócił tyłem do podkomendnego, nie chcąc na niego patrzeć.

– Jest coś jeszcze, panie majorze.

– Co takiego? – zapytał ledwie słyszalnie.

– Ma nas zwizytować wyższe dowództwo. Chcą zobaczyć stan batalionu po uzupełnieniach.

– Kiedy?

– Podobno jutro.

Major odwrócił się gwałtownie, ponownie chwytając się biurka. Oszalały wzrok wbił się w twarz podporucznika, jednak nie padła żadna odpowiedź. Kartka osunęła się z blatu na podłogę.

Podporucznik zasalutował i odszedł, doskonale zdając sobie sprawę, że jego dalsza obecność jest zbyteczna. Jedynie światło lampy niemrawo zamigotało pod wpływem ruchu, odbijając się od bladej, opływającej potem twarzy Matthiasa. Zgasł w niej wszelki wyraz emocji poza torturą i zapaścią.

– Pomóż mi – wycharczał nagle.

– Majorze? – Podporucznik odwrócił się, stojąc już w progu.

– Wyprowadź mnie stąd.

Mężczyzna zdębiał, nie będąc pewnym znaczenia słów wypowiedzianych przez majora. W końcu ponownie wkroczył w głąb kwatery. Dowódca kręcił głową, a biurko samo zaczęło drżeć pod jego dłoniami. Wydawało się, że zbiera siły. Wreszcie oderwał się od blatu i wyszedł zza niego, skulony, marny. Podkomendny zatrzymał się tuż obok i po przepraszającym geście wziął majora pod ramię. Ten w dalszym ciągu próbował dojść do siebie, zdeterminowany, by przełamać kraty. Oddech przyśpieszył, lęk odbierał kontrolę nad zmysłami.

– Krok po kroku, panie majorze – rzekł spokojnym głosem podporucznik.

Podtrzymywany przez żołnierza Matthias postawił pierwszy krok. Pot obficie spływał po bladej twarzy. Zamglone, przerażone spojrzenie nie odrywało się od wyjścia. Czuł się jak w podróży przez ciemny tunel bez światła na końcu. Brnął wprost do paszczy nieznanego potwora, czającego się na krańcu drogi. Drżał na całym ciele, a jednak obaj parli do przodu. Łkał bezsilnie, zatrzymując się przy każdym kroku, sprawiającym mu nieopisany trud. Wpadał w panikę, jednak trzymany przez podporucznika w końcu uspokajał się, aby postawić wojskowy but dalej.

– Nie mogę. To za daleko, za ciężko mi – wydusił z siebie major. – Na wieki już tu zostanę.

– Już czas, majorze.

– To ten cień, podporuczniku, mój przyjacielu. – Matthias zaszlochał. – Zostawił mnie, przykuł do tych czterech ścian. Zaraz znów mi się objawi.

– To nie cień, majorze, nigdy go tu nie było.

– Więc co? Kto? Ta bestia na czarnym murze, o której mówił ten szeregowiec?

– To wina, majorze, poczucie winy.

Oficer żałośnie pokręcił głową, składając dłonie na twarzy. Niewyobrażalnie lękał się widoku świata poza własną kwaterą. Mimo to postawił kolejny krok przy pomocy kompana. Potem nadeszły kolejne, topornie i lękliwie stawiane w ciemnościach. Choć kwatera była niewielka, przemierzał wręcz bezkresną drogę najeżoną wilczymi dołami podjętych, śmiałych decyzji. Przeżarty marnością był w tym marszu niczym osierocone, błądzące we mgle dziecko.

Zdał sobie sprawę, że to nie jakaś niewidzialna siła trzymała go w tej pułapce, lecz lęk przed tym, co uczynił pod Fortem Vaux. To jego pożądliwa pogoń za zaszczytami i sławą zatrzasnęła za nim wrota ziemnej jamy. Fakt, że poświęcił swoich dzielnych ludzi wbrew wszelkiemu rozsądkowi dla nakarmienia własnej ambicji. Choć czyniło tak wielu oficerów Wielkiej Wojny, wiedział, że zawiódł straceńców, którzy pognali na śmierć pod wpływem jego nalegań. Ta niemożność spojrzenia im w oczy była realnym upiorem.

Zatrzymali się tuż przy wyjściu. Major dotknął zasłony oddzielającej go od zewnętrznego świata, którego nie widział tak wiele dni. Podporucznik przyglądał się bacznie twarzy Matthiasa. On

zaś niepewnie własnej dłoni. Wreszcie żołnierz dał znak, aby dowódca postawił ostatni, najtrudniejszy krok. Wtedy też wyszli na zewnątrz.

Nikłe światło dnia uderzyło w oczy oficera, oślepiając na dłuższą chwilę. Padał deszcz, wróg każdego szturmowca. Żołnierze tłoczyli się przy krawędziach okopu, wypatrując powrotu Wilhelma i jego ludzi. Nie docierała do nich myśl, że wszyscy mogli polec. Wznosili bluźniercze psalmy i modły ku czci Czarnego Szczura, a stosy upolowanych czaszek zdobiły poszczególne transzeje jak w najmroczniejszych wizjach świata pozagrobowego. Wszelkie działa dawno ucichły. Umysły i serca wrzały jednak w gorączkowym, religijnym uniesieniu dla bożka o opalowych ślepiach.

Okoliczni zwrócili swoje szare twarze ku majorowi. Nie rozpoznali go, jakby był zupełnie obcym człowiekiem. Jedynie oficerskie pagony zaświadczały o pozycji. Postura, duch i wzrok całkiem przeciwnie. Tworzyły obraz skarlałej istoty, która nigdy nie opuszcza podziemi, aby ogrzać się w świetle słońca. Szybko stracili zainteresowanie.

Matthias zapłakał nad widokiem, który ujrzał. Skrzyżował oczy z bestią na szczycie dymnej ściany. Oszalałe ślepia oficera otworzyły się szeroko, jakby wszelka wiedza napełniła jego umysł. Pojedyncze błyskawice przeszyły nieboskłon. Żołnierze zawrzeli w przestrachu. Major wskazał na wojenny totem, rozpoznając jego oblicze w sobie i tysiącach innych, których przez ostatnie dwa lata widział dzień w dzień. Gwałtowny wiatr poruszył ziemią niczyją jak pełen furii skowyt szturmujących żołnierzy. Przemienił się w rozszalałą, świszczącą potęgę. Psalmy ucichły, zapanowała cisza i brzęczały

jedynie zasieki. Wichura rozwiała i zabrała ze sobą czarny mur oraz bestię na jego szczycie.

Bartosz Matkowski (ur. 1992 r.) - człowiek ze wsi, znikąd. Fascynat kultury i historii europejskiej, zwłaszcza okresu średniowiecza oraz obu wojen światowych. Niepokorna dusza na stałe związana z ziemią. Pustelnik o melancholijnym usposobieniu, co przekłada się na styl twórczości.

NASZE WYDAWNICTWA

FANTASTYKA

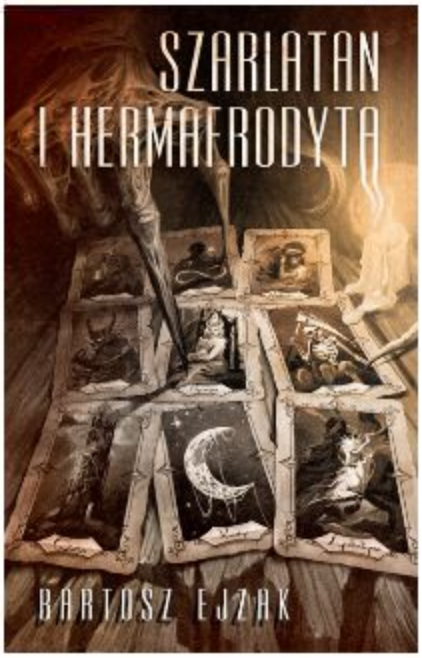

Bartosz Ejzak

-

Szarlatan i hermafrodyta

Rzeczywistość pokracznieje i staje się coraz dziwniejsza. Po traumatycznych przeżyciach dwoje rodzeństwa postanawia wrócić do rodzinnego miasteczka, by zmierzyć się z przeszłością. Podczas podróży ożywają wspomnienia. To właśnie tutaj, w Tszczycach, pewien szarlatan, opętany pragnieniem nadludzkiej potęgi, zawiązał niegdyś pakt z diabłem i zabił swoją ukochaną.

NASZE WYDAWNICTWA

FANTASTYKA

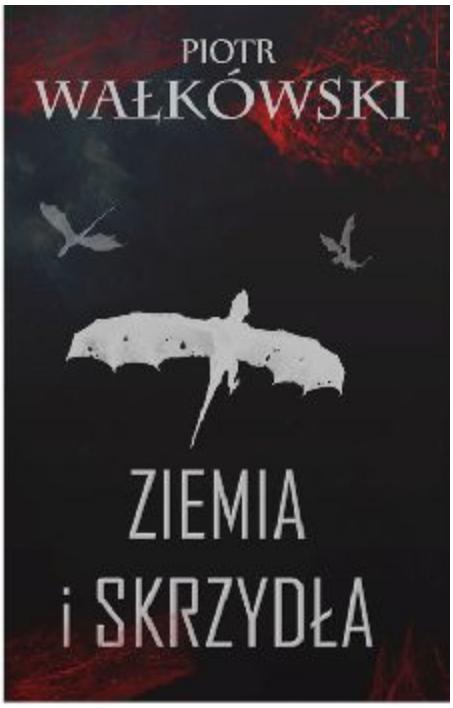

Piotr Wałkówski

-

Ziemia i skrzydła

Intrygująca fantastyka eklektyczna! XXV wiek. Na wyniszczonym wojną atomową świecie panuje kruchy pokój. Nowe państwa zapewniły dobrobyt tylko nielicznym. Żyjące w nędzy masy niewiele jednak dzieli od rewolucji. Europa. Pozbawiony tronu władca Cesarstwa Polskiego udaje się na emigrację. Dwugatunkowe społeczeństwo kraju, w którym wspaniałe pałace otoczone są przez morza slumsów, ma wreszcie szansę dokonać ogromnych zmian.

NASZE WYDAWNICTWA

FANTASTYKA

Michał J. Sobociński

-

Srebrny Kruk

Srebrny Kruk to opowieść osadzona w autorskim świecie Oculum Mundi. Historia o zakulisowych rozgrywkach największych stronnictw Cesarstwa Ingradyjskiego. To pięć pozornie niepołączonych ze sobą historii, prowadzących do ukrytego celu. Zanurz się w splot kłamstw, niepewnych aliansów

i krzywoprzysięzców, gdzie wszystko, co spontaniczne – zostało dokładnie zaplanowane.

NASZE WYDAWNICTWA

FANTASTYKA

ANTOLOGIA
KRAWĘDZIE OTCHŁANI
Drecka-Szymańska I Sokołak I Raj
Sobociński I Dąbrowski I Wałkówski
Mohylowska I Borys I Walasek I Ofiarski
Kanik I Kubisiak I Wandzel I Bednarczyk
Ejzak I Kapczyński I Hensoldt

Antologia

-

Krawędzie otchłani

17 autorów, 17 opowiadań, 17 wizji tego, co czyha tam, gdzie światy stają na krawędzi. Antologia “Krawędzie światów” jest owocem naboru opowiadań, które naszym zdaniem odzwierciedlały ducha hasła przewodniego zbioru. Wśród wyróżnionych prac znajdują się debiutanci, ale i doświadczeni pisarze.

COPYRIGHT © BY
Bartosz Matkowski
COPYRIGHT © BY
Wydawnictwo Abyssos
WYDANIE I

ISBN: 978-83-960455-8-4
Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka, ani żadna jej część, nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowywana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy lub autora.

Redakcja: Michał J. Sobociński, Michalina Łuczak
Korekta: Paweł R. Ofiarski
Projekt graficzny okładki: Grzegorz Kiszycki
Wineta: Weronika Stolarczyk
Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWCA:
Wydawnictwo Abyssos
Ul. Marii Konopnickiej 16
67-106 Modrzyca
NIP: 9252066581
REGON: 386321883
www.abyssos.eu
kontakt@abyssos.com
www.facebook.com/czasabyssos

OBSERWUJ

BĄDŹ NA BIEŻĄCO

facebook.com/czasabyssos

instagram.com/wydawnictwo_abyssos